

Śląski kalendarz robotniczy

na rok zwyczajny

Rocznik XIX.

1939.

Rocznik XIX.



Materiały męskie

Materiały damskie

GUSTAW POLLAK
CIESZYN ZACHODNI

Towary jedwabne

Dodatki krawieckie

Rok zał. 1908.

Rok zał. 1908.

PIERWSZA

polska fabryka likierów, rumu, soków i win

NA ZAOLZIU

poleca swe specjalności ziołowe

BOTANIK

FRYSZTACKĄ GORZKĄ

Franciszek Kubanek, Fryształ.

Śląski kalendarz = robotniczy =

na rok zwyczajny

1939.

Rocznik XIX.

Redaguje Wiktor Sembol.



Nakładem i drukiem Ludowej Drukarni Sembol i Ska
we Fryszacie.



CZ 3560

Rok 1939**ZBIORY
S. ZAHRADNIKA****jest rokiem zwyczajnym o 365 dniach.****Planeta panująca.**

Panującą planetą w r. 1939 jest Mars. W rządzie wielkich planet zajmuje on czwarte z kolei miejsce po słońcu. Jego średnia odległość od słońca wynosi około 228,000.000 km; średnica blisko 6.900 km. Objętość Marsa stanowi dziewiątą część objętości ziemi. Swoją drogę około słońca odbywa Mars w 687 dniach. Marsa okrążają w bardzo nieznacznej odległości dwa księżyce: Fobos i Deimos.

Oglądany gołym okiem, Mars wydaje się jasną gwiazdą o uderzającej barwie pomarańczowo-czerwonej. Zapomocą teleskopu można dostrzec na Marsie, zależnie od pory roku, białą plamę bieguna północnego lub południowego, które nie bez słuszności porównać można z formacjami lodowymi na biegunach naszej ziemi. Inne jaśniejsze plamy przecięte są delikatnymi liniami — kanałami, czasem podwójnymi.

Zaćmienia.

W r. 1939 będą dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, z których tylko pierwsze zaćmienie słońca i drugie zaćmienie księżyca widzialne będzie w naszych okolicach.

I. Pierścieniowe (obraczkowe) zaćmienie słońca 19 kwietnia 1939. Zaćmienie widzialne będzie w północno-wschodniej części oceanu Spokojnego, północno-wsch. części Azji, Ameryce Północnej, na oceanie Lodowatym Północnym, w północnej części oceanu Atlantyckiego, oraz na zachodzie i wschodzie Europy, jako też w Europie środkowej (w różnych miejscach, jako zaćmienie częściowe).

W Polsce początek o godz. 18 min. 24.

II. Całkowite zaćmienie księżyca 3 maja. Początek zaćmienia widzialny w Alasce, na oceanie Spokojnym, w Australii, Polinezji, na oceanie Lodowatym Południowym, na oceanie Indyjskim, oraz w Azji wschodniej i środkowej. Koniec widzialny w zachodniej części oceanu Spokojnego, Polinezji, Australii, Azji, na oceanie Lodo-

watym Południowym, na oceanie Indyjskim, na Madagaskarze z wyjątkiem części północno-zachodniej, oraz w Europie wschodniej.

W Polsce nie będzie widzialne.

III. Całkowite zaćmienie słońca 12 października. Zaćmienie widzialne w Australii południowo-wschodniej, Polinezji, na oceanie Lodowatym Południowym i na południowym krańcu Ameryki Południowej.

W Polsce nie będzie widzialne.

IV. Częściowe zaćmienie księżyca 28 października. Początek zaćmienia widzialny w Europie, z wyjątkiem najdalego wschodu, w Afryce zachodniej, na oceanie Atlantyckim, w Ameryce Północnej i Południowej, wschodniej części oceanu Spokojnego i północno-wschodnich krańcach Azji. Koniec widzialny w północnej części oceanu Atlantyckiego, na oceanie Lodowatym Północnym, w Ameryce Północnej i Południowej, na oceanie Spokojnym, w Polinezji, Australii wschodniej i północno-wschodniej Azji.

W Polsce początek o godz. 5 min. 54 rano.

Cztery pory roku.

Wiosna rozpoczyna się 21 marca o godz. 13 min. 29, w którym to czasie słońce wstępuje w znak Barana. Wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Lato rozpoczyna się 22 czerwca o godz. 8 min. 40, w którym to czasie słońce wstępuje w znak Raka. Letnie przesilenie dnia z nocą; najdłuższy dzień, najkrótsza noc.

Jesień rozpoczyna się 23 września o godz. 23 min. 50, w którym to czasie słońce wstępuje w znak Wagi. Jesienne zrównanie dnia z nocą.

Zima rozpoczyna się 22 grudnia o godz. 19 minut 6, w którym to czasie słońce wstępuje w znak Koziorożca. Zimowe przesilenie dnia z nocą; najkrótszy dzień, najdłuższa noc.

Ogólny stan pogody.

Rok 1939 będzie więcej suchy, niż wilgotny.

Zima będzie zrazu ostra, o obfitych opadach śnieżnych, pod koniec zaś łagodna, bezśnieżna i wietrzna.

Wiosna będzie sucha, przykra, chłodna; częsty szron.

Lato będzie gorące, noc bardzo ciepła.

Jesień będzie również bardziej sucha niż wilgotna. Przed adwentem nie należy się spodziewać śniegu i chociaż już w październiku będą przymrozki, to listopad będzie naogół ciepły.

Nowa zima nie będzie zrazu zbyt ostra.

Dwanaście znaków niebieskich.

Znaki wiosenne:

 Baran
 Byk
 Bliźnięta

Znaki letnie:

 Rak
 Lew
 Panna

Znaki jesienne:

 Waga
 Niedźwiadek
 Strzelec

Znaki zimowe:

 Koziorożec
 Wodnik
 Ryby

Święta ruchome w roku 1938.

Środa popielcowa 22 lutego.

Wielkanoc 9 kwietnia.

Dni krzyżowe 15, 16, 17 maja.

Wniebowstąpienie Pańskie 18 maja.

Karnawał rozpoczyna się dnia 7 stycznia a kończy się 22 lutego zatem 46 dni.

Zielone Świątki 28 maja.

Niedziela św. Trójcy 4 czerwca.

Boże Ciało 8 czerwca.

Serce Jezusa 16 czerwca.

Tablica świąt ruchomych.

Lata	Popielec	Niedziela Wielkanocna	Wniebowstąpienie Pańskie	Niedziela Zielonych Świąt	Boże Ciało	Pierwsza niedziela adwentu
1940	7 lutego	24 marca	2 maja	12 maja	23 maja	1 grudnia
1941	26 lutego	13 kwietnia	22 maja	1 czerwca	12 czerwca	30 listopada
1942	18 lutego	5 kwietnia	14 maja	24 maja	4 czerwca	29 listopada
1943	10 marca	25 kwietnia	3 czerwca	13 czerwca	24 czerwca	28 listopada
1944	23 lutego	9 kwietnia	18 maja	28 maja	8 czerwca	3 grudnia

Spis alfabetyczny najczęściej używanych imion słowiańskich.

Aldona 11. października	Bronisław 18. sierpnia,	Prokop 5 lipca	Szczęsława 15. lutego
Boguchwał 17. marca	3. września i 6. października	Przemysław 12. kwietnia i 29. listopada	Wacław 14. kwietnia i 28. września
Boguchwała 29. maja	Czesław 12. stycznia	Radosław 1. marca	Wanda 23. czerwca
Bogumił 1. czerwca	Czesław 19. kwietnia	Radosława 8. września	Wawrzyniec 19. sierpnia
Bogumiła 20. grudnia	Czesław św. 20. lipca	Sebastjan 20. stycznia	Wit św. 15. czerwca
Bogusław 20. marca	Danuta 26. lipca	Sobiesław 20. sierpnia	Witold 12. listopada
Bogusława 23. września	Janusz 21. listopada	Stanisław św. 8 maja	Władysław 27. czerwca
Bogusz 24. lutego	Jarosław św. 24 kwietnia	Stanisław św. 13. listopada	Włodzimierz 6. stycznia i 25. lipca
Bogdan 6. lutego	Jarosława 21. stycznia	Świętopełk 1. czerwca i 25. września	Wojciech św. 23. kwietnia
Bohdan 19. marca	Jerzy św. 23. kwietnia	Świętosław 31. sierpnia i 3. maja	Zbigniew 16. i 31. marca
Bolesława 22. lipca	Jordan 13. lutego	Świętosława 7. stycznia i 2. sierpnia	Zdzisław 29. stycznia
Bolesław 19. sierpnia	Kazimierz św. 4. marca	Szczęśny 30. sierpnia	Ziemomysł 14. września
Borys 9. sierpnia	Kazimiera 21. sierpnia		Ziemowit 19. października
Borysława 25. maja	Ludomił św. 7. maja		Żegota 1. lutego
Błażej 3. lutego	Mieczysław 1. stycznia		
	Mirosława 26. lipca		



Styczeń

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 N	Nowy Rok	Nowy Rok	
2 P	Makarego	Abla i Seta	
3 W	Imienia Jezus	Enocha	
4 Śr	Szymona	Izabeli	
5 Cz	Telesfora ☼	Szymona	
6 P	Trzeci Króli	Trzeci Króli	
7 S	Walentego	Izydora	
8 N	Seweryna	Erharda	
9 P	Marcjana	Marcjana	
10 W	Jana Dobrego	Pawła	
11 Śr	Honoraty	Marty	
12 Cz	Ernesta ☾	Reinholda	
13 P	Weroniki	Hilarego	
14 S	Hilarego	Feliksa	
15 N	Pawła	Maura	
16 P	Marcelego	Marcelego	
17 W	Antoniego	Antoniego	
18 Śr	Stol. św. Piotra	Pryski	
19 Cz	Kanuta	Sary	
20 P	Fab. i Seb. ☼	Fabiana i Seb.	
21 S	Agnieszki	Agnieszki	
22 N	Wincentego	Wincentego	
23 P	Rajmunda	Emeryka	
24 W	Tymoteusza	Tymoteusza	
25 Śr	Nawr. św. Pawła	Nawr. św. Pawła	
26 Cz	Polikarpa	Polikarpa	
27 P	Jana Złotoust	Jana	
28 S	Flawiana ☾	Karola Wielk.	
29 N	Franciszka Sal.	Waleriana	
30 P	Martyny	Adelajdy	
31 W	Piotra	Wirgiliusza	

Zjawiska niebieskie.



Pełnia dnia 5 o godz. 22 min. 30.
Pięknie.



Ostatnia kwadra dnia 12 o godz.
14 min. 10.
Zmiennie.



Nów dnia 20 o godz. 14 min. 27.
Deszcz, śnieg, burzliwie.



Pierwsza kwadra dnia 28 o godz.
16 min. 0.
Pogodnie.

Długość dnia.

Z początkiem stycznia długość
dnia wynosi 7 godzin 48 minut,
a przy końcu 9 godzin 0 minut.
Dnia przybywa o 1 godz. 12 min.

Prawdopodobny stan pogody:

Do 23 stycznia sucho i nie bardzo zimno;
potem aż do końca miesiąca zmiennie.



Luty

ma 29 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 Śr	Ignacego	Brygidy	
2 Cz	NMP. Gromn.	Oczyszcz Marii	
3 P	Błażeja	Błażeja	
4 S	Weroniki	Weroniki	
5 N	Agaty	Agaty	
6 P	Doroty	Doroty	
7 W	Romualda	Ryszarda	
8 Śr	Jana z Maty	Salamona	
9 Cz	Apolonii	Apolonii	
10 P	Agatona	Gabriela	
11 S	Dezydery	Eufrozyny	
12 N	Modesta	Eulalia	
13 P	Grzegorza	Kastora	
14 W	Walentego	Walentego	
15 Śr	Faustyna	Fausta	
16 Cz	Juliany	Juljany	
17 P	Konstancji	Konstancji	
18 S	Symeona	Zuzany.	
19 N	Konrada	Gabinusza	
20 P	Leona	Eucharusza	
21 W	Feliksa	Eleonory	
22 Śr	<i>Popielec</i> St. św P.	<i>Popielec</i> Kat	
23 Cz	Piotra D.	Seweryna	
24 P	Macieja	Macieja	
25 S	Wiktora	Wiktora	
26 N	Aleksandra	Bogusława	
27 P	Juliany	Leandra	
28 W	Romana	Romana	

Prawdopodobny stan pogody:
Już w początku lutego i potem od 14—19
śnieg i wiatr, potem aż do końca nadzwyczaj zimno.

Zjawiska niebieskie.

Pełnia dnia 4 o godz. 8 min. 55.
Deszcz przy wietrze wschodnio-południowym, śnieg przy wietrze wschodnio-północnym.

Ostatnia kwadra 11 o godz. 5 min. 12.

Burzliwie, śnieg.

Nów dnia 19 o godz. 9 min. 28.
Pięknie przy wietrze wschodnim, północnym i zachodnim, deszcz i śnieg przy wietrze południowo-zachodnim.

Pierwsza kwadra dnia 27 o godz. 4 min. 26.
Deszcz.

Długość dnia.

Z początkiem miesiąca wschodzi słońce o godz. 7 min. 18.
Dnia przybywa o 1 godz. 42 min.



Marzec

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 Śr	Albina	Symplicjusza	
2 Cz	Heleny	Kunegundy	
3 P	Kunegundy	Adriana	
4 S	kazimierza	Fryderyk	
5 N	Euzebiusza ☿	Bogumiła	
6 P	Marcjana	Frydolina	
7 W	Tomasza	Felicja	
8 Śr	Jana Boż.	Filomena	
9 Cz	Franciszki	Prudencjusza	
10 P	40 męczennik.	Aleksandra	
11 S	Konstantyna	Rozyny	
12 N	Grzegorza ☾	Grzegorza	
13 P	Krystyny	Ernesta	
14 W	Matyldy	Zachariusza	
15 Śr	Klemensa	Krzysztofa	
16 Cz	Cyriaka	Cyriaka	
17 P	Jana Sark.	Gertrudy	
18 S	Edwarda	Anzelma	
19 N	Józefa Oblub.	Józefa	
20 P	Eufemii	Ruprechta	
21 W	Benedykta ☿	Benedykta	
22 Śr	Katarzyny	Kazimierza	
23 Cz	Wiktorii	Eberharda	
24 P	Gabriela	Gabriela	
25 S	Zw NMP.	Zwiast NMB.	
26 N	Dyzmy	Emanuela	
27 P	Ruperta	Huberta	
28 W	Sykstusa ☾	Malchusa	
29 Śr	Cyryla	Eustachego	
30 Cz	Kwiryła	Gwidona	
31 P	Balbiny	Amosa	

Prawdopodobny stan pogody:

Marzec rozpoczyna się zimnym porankami; wieczorem odwilż; 7 i 8 deszcz i śnieg, od 9—21 zimno. Dnia 22 przymrozek rano, ale dni są przeważnie piękne i przyjemne.

Zjawiska niebieskie.



Pełnia dnia 5 o godz. 19 min. 0.
Zmiennie.



Ostatnia kwadra dnia 12 o godz.
22 min. 37.

Pięknie.

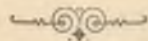


Nów dnia 21 o godz. 2 min. 49.
Deszcz, śnieg, burze.



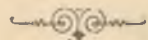
Pierwsza kwadra dnia 28 o godz.
13 min. 36.
Śnieg i deszcz.

Dnia 21 marca początek wiosny,
gdy słońce wstępuje w znak
Barana.



Długość dnia.

Z początkiem marca 10 godz. 50
min., przy końcu 12 godz. 51 m.
Dnia przybywa o 2 godz. 1 min.





Kwiecień

ma 30 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 S	Hugona	Teodora	
2 N	Franciszka z P.	Amalii	
3 P	Ryszarda	Dariusza	
4 W	Izydora ☉	Ambrożego	
5 Śr	Wincentego	Hozeasza	
6 Cz	Wielki Cz. w.	Ireneusza	
7 P	Wielki Piątek E	Wielki Piątek	
8 S	Wielka Sobota	Apolonii	
9 N	Wielkanoc	Wielkanoc	
10 P	Pon. Wielk.	Pon. Wielk.	
11 W	Leona W. ☾	Leona	
12 Śr	Juliusza	Juliusza	
13 Cz	Hermenegildy	Justyna	
14 P	Justyna	Tyburejsza	
15 S	Anastazji	Olympii	
16 N	Benedykta	Charazjusza	
17 P	Rudolfa	Rudolfa	
18 W	Apoloniusza	Florianą	
19 Śr	Tymona ☽	Wenera	
20 Cz	Teodora	Marcela	
21 P	Anzelma	Anzelma	
22 S	Sotera i Kaja	Sotera i Kaja	
23 N	Wojciecha	Wojciecha	
24 P	Fidelisa	Jerzego	
25 W	Marka ew.	Marka	
26 Śr	Kleia i Marc ☾	Kleia	
27 Cz	Zyty	Anastazego	
28 P	Pawła od K.	Witalego	
29 S	Piotra z W.	Sybili	
30 N	Katarzyny	Eutropiusza	

Prawdopodobny stan pogody:

Przymrózki aż do 14 kwietnia, potem łagodnie aż do 24, poczem znowu szron i niepogoda, aż do 27, kiedy znowu jest pięknie i przyjemnie.

Zjawiska niebieskie.

Pełnia dnia 4 o godz. 5 min. 18.
Deszcz.

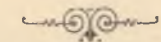
Ostatnia kwadra dnia 11 o godz.
17 min. 11.
Pięknie.

Nów dnia 19 o godz. 17 min. 35.
Łagodnie.

Dnia 19 kwietnia obrączkowe zaćmienie słońca, widzialne w Europie środkowej jako częściowe. Początek o godz. 18 min. 24, koniec nie będzie widzialny, gdyż słońce zachodzi o godz. 18 m. 38.

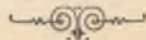
Pierwsza kwadra dnia 26 o godz.
19 min. 25.

Pięknie przy wietrze wschodnim, północnym i zachodnim.



Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 12 godz. 55 min., z końcem 14 godz. 49 m. Dnia przybywa o 1 godz. 54 min.





Maj

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 P	Św. robotu.	Filipa i Jakóba	↑
2 W	Zygmunta	Zygmunta	↑
3 Śr	Św. Narod. ☉	Św. Narod.	↑
4 Cz	Moniki	Floriana	↑
5 P	Piusa V.	Gotharda	↑
6 S	Jana w Ol.	Dytrycha	↑
7 N	Domiceli	Gotfryda	↑
8 P	Stanisława	Stanisława	↑
9 W	Grzegorza	Joba	↑
10 Śr	Izydora	Wiktoryna	↑
11 Cz	Mamerta ☾	Adalberta	↑
12 P	Pankracego	Pankracego	↑
13 S	Serwacego	Serwacego	↑
14 N	Bonifacego	Bonifacego	↑
15 P	Zofii	Zofii	↑
16 W	Jana Nepom.	Peregryna	↑
17 Śr	Paschalisa	Torpeteusza	↑
18 Cz	Wnieb. P.	Wnieb. P. L	↑
19 P	Piotra Cel ☉	Potencjusza	↑
20 S	Bernardyna	Anastazego	↑
21 N	Tymoteusza	Prudensa	↑
22 P	Julii Heleny	Heleny	↑
23 W	Dezyderiusza	Dezyderego	↑
24 Śr	Afra	Zuzanny	↑
25 Cz	Grzegorza	Urbana	↑
26 P	Filipa ☾	Bedy	↑
27 S	Bedy	Łucjana	↑
28 N	Zest. D. Św.	Zest. D. św.	↑
29 P	Pon. Z. Św.	P. Ziel. św.	↑
30 W	Feliksa	Ferdynanda	↑
31 Śr	Anieli	Petroneli	↑

Zjawiska niebieskie.

Pełnia dnia 3 o godz. 16 min. 15.
Pięknie.

Dnia 3 maja całkowite zaćmienie
księżycy, w Europie niewidzialne.

Ostatnia kwadra dnia 11 o godz.
11 min. 40.
Deszcz.

Nów dnia 19 o godz. 5 min. 25.
Pochmurno.

Pierwsza kwadra dnia 26 o godz.
0 min. 20.
Pięknie.

Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 14 godz.
53 min., przy końcu miesiąca 16
godz. 22 min.

Dnia przybywa o 1 godz. 29 min.

Prawdopodobny stan pogody:

Dnia 5 maja zaczyna grzmieć, potem po-
sepnie i chłodno aż do 8, potem znowu 3
dni łagodne, następnie 2 dni przymroźki,
w nocy lód; zimno do 20, poczem pięknie.

MAJ

[illegible]



Czerwiec

ma 30 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 Cz	Jakóba	Nikodema	
2 P	Erazima	Efraima	
3 S	Klotyldy	Erazma	
4 N	Franciszka K.	Karpa	
5 P	Bonifacego	Bonifacego	
6 W	Norberta	Regina	
7 Śr	Robert	Lukrecji	
8 Cz	Boże Ciało	Medarda	
9 P	Prima	Pryma	
10 S	Małgorzaty	Onufrego	
11 N	Barnaby	Barnaby	
12 P	Jana	Bazylego	
13 W	Antoniego z P.	Tobiasza	
14 Śr	Bazylego	Antoniego	
15 Cz	Wita	Wita	
16 P	Benona	Justyny	
17 S	Adolfa	Laury	
18 N	Efrema	Gerwazego	
19 P	Juliany	Sylwereco	
20 W	Sylwereco	Sylasa	
21 Śr	Alojzego G.	Albana	
22 Cz	Paulina	Achar	
23 P	Zenona	Bazylego	
24 S	Nar. Jana Ch.	Jana Chrzciciela	
25 N	Wilhelma	Prospera	
26 P	Jana i Pawła	Jeremiasza	
27 W	Władysława	Filipiny	
28 Śr	Leona	Leona	
29 Cz	Piotra i P.	Piotra i P.	
30 P	Wspomn św. P	Wspomn. P.	

Prawdopodobny stan pogody:

Z początku czerwca zimno i szron, potem posepnie, 11 ładna i ciepła pogoda, która trwa aż do końca miesiąca.

Zjawiska niebieskie.



Pełnia dnia 2 o godz. 4 min. 11.
Deszcz.



Ostatnia kwadra dnia 10 o godz.
5 min. 7.
Pochmurno.

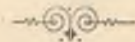


Nów dnia 17 o godz. 14 min. 37.
Zmiennie.

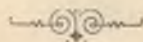
Dnia 22 czerwca początek lata.
Słońce wstępuje w znak Raka.



Pierwsza kwadra dnia 24 o godz.
5 min. 35.
Łagodnie, ale niestale.



Długość dnia.
Z początkiem miesiąca 16 godz.
24 min.
Dnia ubywa o 4 minuty.





Lipiec

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 S	Najśw Krwi! ☉	Teobalda	☾
2 N	Nawiedz NMP.	Nawiedz MB.	☾
3 P	Anatola	Kornelego	☾
4 W	Teodora	Ulryka	☾
5 Śr	Cyr i Metod.	Cyr i Metod	☾
6 Cz	Łucji	Łucji	☾
7 P	Wilibalda	Wilibalda	☾
8 S	Elżbiety	Kiliana	☾
9 N	Weroniki ☾	Alojzy	☾
10 P	7 braci męcz	7 braci sp.	☾
11 W	Piusa I.	Placydy	☾
12 Śr	Jana Gwalb.	Henryka	☾
13 Cz	Anakleta	Małgorzaty	☾
14 P	Bonawentury	Bonawentury	☾
15 S	Henryka	Rozesł Apostoł	☾
16 N	MB Szkaplerz ☉	Ruty	☾
17 P	Aleksego	Aleksego	☾
18 W	Szymona	Mernutasa	☾
19 Śr	Wincentego	Rufina	☾
20 Cz	Hieronima	Elasza	☾
21 P	Praksedy	Pauliny	☾
22 S	Marii Magdal	Marii Magdal	☾
23 N	Apol narego ☾	Apolnarego	☾
24 P	Krystyny	Krystyny	☾
25 W	Jakóba	Jakóba	☾
26 Śr	Anny	Anny	☾
27 Cz	Pantaleona	Marty	☾
28 P	Wiktora	Pantaleona	☾
29 S	Marty	Beatryksy	☾
30 N	Abdona	Abdona	☾
31 P	Ignacego ☉	Ernestyny	☾

Prawdopodobny stan pogody:

Lipiec zaczyna się wielkimi upałami, tak we dnie, jak i w nocy. Pięknie aż do 11, potem posępnie i trochę chłodno, poczem deszcz aż do końca miesiąca.

Zjawiska niebieskie.

Pełnia dnia 1 o godz. 17 min. 16.
Pięknie.

Ostatnia kwadra dnia 9 o godz.
20 min. 49.

Pięknie przy wietrze wschodnim,
północnym i zachodnim, deszcz
przy wietrze południowo-zachod-
nim.

Nów dnia 16 o godz. 22 min. 3.
Pięknie.

Pierwsza kwadra dnia 23 o godz.
12 min. 34.
Deszcz.

Pełnia dnia 31 o godz. 7 min. 37.
Wiatr, ponuro.

Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 16 godz.
40 min., z końcem miesiąca 15
godz. 34 min.

Dnia ubywa o 1 godz. 4 minuty.

LIPIEC

Dzień	NOTATKI	Dochody		Rozchody	
		Zł	gr	Zł	gr
2. 29	31. 25	28	50		
2. 50	62	1.	—		
4. 20	155		20		
11. 40	475	1.	—		
1. 10		1.	—		
11. 40	28. 25	1.	—		
2. 20	56	1.	50		
13. 60	140		45		
11. 50	700		60		
18. 10			20		
1. 10			30		
19. 10			45		
			30		
			45		
11. 22	11. 22	1.	—		
11. 22	22		45		
11	22		40		
129	242	11.	40		
	88				
	330				
22. 4	15. 22				
88	30				
	30				
	330				





Sierpień

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 W	Piotra w okow.	Piotra	
2 Śr	Porcjunkuli	Gustawa	
3 Cz	Znal. św. Szcz.	Augusta	
4 P	Dominika	Dominika	
5 S	MB Śnieżnej	Oswalda	
6 N	Przem Pańsk.	Syksta	
7 P	Kajetana	Donata	
8 W	Cyriaka	Cyriaka	
9 Śr	Romana	Rolanda	
10 Cz	Wawrzyńca	Wawrzyńca	
11 P	Zuzanny	Hermana	
12 S	Klary	Klary	
13 N	Kasjana	Kasjana	
14 P	Euzebiusza	Euzebjusza	
15 W	Wn. NMP.	Wnieb MP.	
16 Śr	Joachima	Rocha	
17 Cz	Jacka	Bertrama	
18 P	Heleny	Agapita	
19 S	Tymoteusza	Sebalda	
20 N	Bernarda	Bernarda	
21 P	Joanny Fr.	Adolfa	
22 W	Tymoteusza	Tymoteusza	
23 Śr	Filipa B.	Zacheusza	
24 Cz	Bartłomieja	Bartłomieja	
25 P	Ludwika	Ludwika	
26 S	Zefirynt	Zefirynt	
27 N	Józefa Kal.	Gebharda	
28 P	Augustyna	Augustyna	
29 W	Ścięcie św J.	Ścięcie św. Jana	
30 Śr	Róży z L.	Rebeki	
31 Cz	Rajmunda	Paulina	

Prawdopodobny stan pogody:

Z początku sierpnia rano mgła, potem dni piękne i ciepłe. W ogólności gorąco, ku końcowi miesiąca wielkie upały.

Zjawiska niebieskie.

Ostatnia kwadra dnia 8 o godz.
10 min. 18.

Skłonność do deszczu.

Nów dnia 15 o godz. 4 min. 53.
Ponuro.

Pierwsza kwadra dnia 21 o godz.
22 min. 21.

Pięknie przy wietrze wschodnim,
północnym i zachodnim, deszcz
przy wietrze południowo-zachod-
nim.

Pełnia dnia 29 o godz. 23 min. 9.
Pięknie.

Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 15 godz.
30 min., przy końcu miesiąca 13
godz. 42 min.

Dnia ubywa o 1 godz. 48 minut.

SIERPIEŃ

Dzień	NOTATKI	Dochody		Rozchody	
		Zł	gr	Zł	gr
9	od 22/8				
4 1/2	23/8				
15	24/8				
7 1/2	od 25/8				
36.25					
72					
180					
8.00					
20	27				
11	18				
31					
20					
5 1/2	36.25				
25 1/2	72				
	180				
	900				



Wrzesień

ma 30 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 P	Bronisława	Idziego	
2 S	Stefana	Absolona	
3 N	Zenona	Mansweta	
4 P	Rozalii i Róży	Róży	
5 W	Wawrzyńca	Herkulesa	
6 Śr	Zachariasza ☾	Magnusa	
7 Cz	Reginy	Reginy	
8 P	Nar. NM. Pan	Nar. MB.	
9 S	Gorgoniusza	Gorgoniusza	
10 N	Mikołaja z T.	Jodoka	
11 P	Piotra i Jacka	Prota	
12 W	Waleriana	Cyrusa	
13 Śr	Filipa ☼	Materna	
14 Cz	Podw. św K	Podw. św. Krz.	
15 P	Nikodema	Nikodema	
16 S	Ludmiły	Eufemii	
17 N	Hildegardy	Lamberta	
18 P	Józefa z K	Tytusa	
19 W	Januarego	Svdonii	
20 Śr	Eustachego ☾	Faustyny	
21 Cz	Mateusza	Matusza	
22 P	Tomasza z W.	Maurycyego	
23 S	Tekli	Tekli	
4 N	Gerarda	Gerarda	
25 P	Kleofasa. Wł.	Kleofasa	
26 W	Cypriana	Cypriana	
27 Śr	Kosmy i Dam.	Adolfa	
28 Cz	Wacława ☼	Wacława	
29 P	Michała Arch.	Michała	
30 S	Hieronima	Hieronima	

Prawdopodobny stan pogody:

Wrzesień rozpoczyna się wspaniałą, piękną pogodą aż do 14, gdy nastaje czas jesienny. Wnet potem znowu pięknie aż do 28, gdy nastaje posępna słońca.

Zjawiska niebieskie.

Ostatnia kwadra dnia 6 o godz. 21 min. 24.

Pięknie przy wietrze wschodnim, północnym i zachodnim, deszcz przy wietrze południowo-zachodnim.

Nów dnia 13 o godz. 12 min. 22. Ponuro.

Pierwsza kwadra dnia 20 o godz. 11 min. 34. Deszcz.

Dnia 23 września początek jesieni. Słońce wstępuje w znak Wagi.

Pełnia dnia 28 o godz. 15 min. 27. Zmienne.

Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 13 godz. 40 min., przy końcu miesiąca 11 godz. 42 min.

Dnia ubywa o 1 godz. 58 minut.

WRZESIEŃ

Dzień	NOTATKI	Dochody		Rozchody	
		Zł	gr	Zł	gr
	17 mis. byto mleko				
	24 $\frac{1}{2}$ l				
	25 $\frac{1}{2}$ u				



Październik

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 N	Remigiusza	Benigna	
2 P	Aniołów Str.	Leodegara	
3 W	Terezy od Dz J	Kandyda	
4 Śr	Franciszka	Franciszka Ser	
5 Cz	Placyda	Fidesa	
6 P	MB Różańc ☾	Fryderyki	
7 S	Brunona	Ama'ii	
8 N	Brygidy	Pelagii	
9 P	Dionizego	Dionizego	
10 W	Franciszka B.	Gereona	
11 Śr	Emiliana	Burkharda	
12 Cz	Maksymiliana ☺	Maksymiljana	
13 P	Edwarda	Edwarda	
14 S	Kaliksta	Kaliksta	
15 N	Jadwigi	Jadwigi	
16 P	Gerarda	Gawła	
17 W	Małgorzaty	Florentyny	
18 Śr	Łukasza	Łukasza	
19 Cz	Piotra z A.	Ferdynanda	
20 P	Jana K. ☾	Wendelina	
21 S	Urszuli	Urszuli	
22 N	Korduli	Korduli	
23 P	Seweryna	Seweryna	
24 W	Rafała	Salomei	
25 Śr	Chryzanty	Wilhelminy	
26 Cz	Ewarysta	Ewarysta	
27 P	Florencjusza	Sabiny	
28 S	Szym i Judy ☺	Szym i Judy	
29 N	Narcyza	Narcyza	
30 P	Edmunda	Ozyja	
31 W	Wolfganga	Pam.reform.	

Zjawiska niebieskie.

☾

Ostatnia kwadra dnia 6 o godz.
6 min. 27.
Burzliwie.

☺

Nów dnia 12 o godz. 2 min. 30.
Pięknie przy wietrze wschodnim,
północnym i zachodnim, deszcz
przy wietrze południowo-zachod-
nim.

Dnia 12 października całkowite
zaćmienie słońca, w Europie nie-
widzialne.

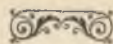
☾

Pierwsza kwadra dnia 20 o godz.
4 min. 24.
Deszcz.

☺

Pełnia dnia 28 o godz. 7 min. 42.
Burza.

Dnia 28 października częściowe
zaćmienie księżyca, w Europie
niewidzialne. Początek o godzinie
5 min. 54.



Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 11 godzin
39 min., przy końcu miesiąca 9
godz. 43 min.

Dnia ubywa o 1 godz. 56 minut.

Prawdopodobny stan pogody:

Październik zaczyna się słotą, potem od
10—17 szron, następnie piękne dni ciepłe.

Od 27—30 października dosyć zimno.

PAŹDZIERNIK

Dzień	NOTATKI	Dochody		Rozchody	
		Zł	gr	Zł	gr
18					
22					
9	1/2 rd 10/10 po 1 1/2 l				
49	1/2. 19				
49					
441					
931					
10					
941					



Listopad

ma 30 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangeliczne	Bieg
1 Śr	Wszyst. Św.	Wszyst. Św.	
2 Cz	Dzień zaduszny	Dzień zaduszny	
3 P	Huberta	Bogumiła	
4 S	Karola Bor	Emeryka	
5 N	Zach. i Elż.	Blandyny	
6 P	Leonarda	Ziemowity	
7 W	Engelberta	Malachiasza	
8 Śr	Gotfryda	Sewera	
9 Cz	Teodora	Teodora	
10 P	Andrzeja z W.	Proba	
11 S	Marcina	Marcina	
12 N	5 Braci Polaków	Jonasza	
13 P	Stanisława K.	Brykcjusza	
14 W	Józefata	Lewina	
15 Śr	Gertrudy	Leopolda	
16 Cz	Otmara	Otmara	
17 P	Salomei	Hugona	
18 S	Anieli M.	Gela jusza	
19 N	Elżbiety kr.	Elżbiety	
20 P	Feliksa	Edmunda	
21 W	Ofiar. NMP.	Ofiar. M. B.	
22 Śr	Cecylii	Cecylii	
23 Cz	Klemensa	Klemensa	
24 P	Jana od K.	Emilii	
25 S	Katarzyny	Katarzyny	
26 N	Sylwestra o	Konrada	
27 P	Waleriana	Walerego	
28 W	Zdzisława	Rufina	
29 Śr	Saturnina	Waltera	
30 Cz	Andrzeja	Andrzeja	

Zjawiska niebieskie.



Ostatnia kwadra dnia 4 o godz.
14 min. 12.
Pięknie.



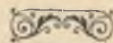
Nów dnia 11 o godz. 8 min. 54.
Deszcz przy wietrze południowo-
zachodnim, śnieg przy wietrze
północno-wschodnim.



Pierwsza kwadra dnia 19 o godz.
0 min. 21.
Pięknie.



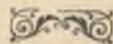
Pełnia dnia 26 o godz. 22 min. 54.
Pięknie przy wietrze wschodnim,
północnym i zachodnim, deszcz
i śnieg przy wietrze południowo-
zachodnim.



Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 9 godzin
39 min., przy końcu miesiąca 8
godz. 9 min.

Dnia ubywa o 1 godz. 30 minut.



Prawdopodobny stan pogody:

Z początkiem listopada zimno aż do 12 po
południu, jednak naprzemian pięknie i cie-
pło; dnia 13 rozpoczyna się ślota ze mgłą
i deszczem do 21; mróz do końca mies.



Grudzień

ma 31 dni

Dni	Święta rzymsko-katolickie	Święta ewangelickie	Bieg
1 P	Eligiusza	Długosza	
2 S	Bibiany	Aureli	
3 N	Franciszka Ks. C	Kasjana	
4 P	Barbary	Barnaby	
5 W	Saby	Abigała	
6 Śr	Mikołaja	Mikołaja	
7 Cz	Ambrożego	Agatona	
8 P	NP. NMP.	Dzień pok.	
9 S	Leokadii	Joachim	
10 N	NMP. Loret	Judyty	
11 P	Damazego	Damazego	
12 W	Aleksandra	Epimacha	
13 Śr	Łucji	Łucji	
14 Cz	Spirydiona	Nikazego	
15 P	Waleriana	Ignacego	
16 S	Euzebiusza	Ananiasza	
17 N	Łazarza	Łazarza	
18 P	Oczek. NMP	Winbalda	
19 W	Urbana	Abrahama	
20 Śr	Teofila	Amona	
21 Cz	Tomasza	Tomasza	
22 P	Demetra	Beaty	
23 S	Wiktorii	Dagoberta	
24 N	Adama i Ewy	Adama i Ewy	
25 P	Boże Nar.	Nar. Chr. P.	
26 W	Szczepana	Szczepana	
27 Śr	Jana ewang	Jana	
28 Cz	Młodzianków	Młodzianków	
29 P	Tomasza	Jonatana	
30 S	Eugeniusza	Boguchwała	
31 N	Sylwestra	Dawida	

Prawdopodobny stan pogody:

Grudzień rozpoczyna się mrozem, potem posepnie, deszcz, zimno i lód; 13 śnieg, potem marznie do 20, kiedy deszcz pada, ale potem zimno aż do końca miesiąca.

Zjawiska niebieskie.

☾

Ostatnia kwadra dnia 3 o godz.
21 min. 40.

Pięknie przy wietrze wschodnim,
północnym i zachodnim, deszcz
i śnieg przy wietrze południowo-
zachodnim.

☉

Nów dnia 10 o godz. 22 min. 45.
Pięknie.

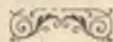
☽

Pierwsza kwadra dnia 18 o godz.
22 min. 4.

Pięknie.
Dnia 24 grudnia początek zimy.
Słońce wstępuje w znak Kozio-
rożca.

☾

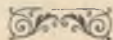
Pełnia dnia 26 o godz. 12 min. 28.
Deszcz i śnieg.



Długość dnia.

Z początkiem miesiąca 8 godzin
7 minut.

Dnia ubywa jeszcze 23 minuty,
pod koniec przybywa 6 minut.



GRUDZIEŃ

Dzień	NOTATKI	Dochody		Rozchody	
		Zł	gr	Zł	gr

Alfabetyczny wykaz imion chrzestnych.

A.

Abdon, męczennik 30. lipca
Adama, 24. grudnia
Adolf, biskup 17. czerwca
Adolf, męcz. 27. czerwca
Adryana, 4. marca
Agaton, 7. grudnia
Agaty, 5. lutego
Agnieszki, 21. stycznia
Albina, biskup 1. marca
Albiny, 16. grudnia
Aleksandry, bisk. 20. marca
Aleksandra, 26. lutego
Aleksęgo, arc. 12. lutego
Aleksęgo, 17. lipca
Alojzego, 21. czerwca
Alfonsa, 22. sierpnia
Alfreda, 15. lutego
Amalii, 10. lipca
Ambrożego, bisk. 7. grudnia
Anastazja, 15. kwietnia
Anastazja, 28. października
Anastazja, męcz. 25. grudnia
Anastazego, pap. 27. kwietnia
Andrzeja, 30. listopada
Anny, 26. lipca
Antonin, 17. stycznia
Antonin P., 13. czerwca
Antonij, 29. kwietnia
Antonij, 4. maja
Anzelma, biskup 21. kwietnia
Apolinarego, 23. lipca
Apolonij, 9. lutego
Apoloniusza, 19. kwietnia
Arnolda, 1. grudnia
Artura, 7. stycznia
Atanazego, 2. maja
Atanazego, 20. listopada
Atanazy, 14. sierpnia
Augustyna, 28. maja
Augustyna, 28. sierpnia
Aureli 2. grudnia

B.

Balbiny, 31. marca
Baltazara, 6. stycznia
Barbary, 4. grudnia
Barnaby, 11. czerwca
Bartłomieja, 24. sierpnia
Bazyłego, 14. czerwca
Bazylięsa, męcz. 12. czerwca
Beaty, 8. marca
Beatrykasy, 29. lipca
Beatus, męcz. 9. maja
Bedę, 26. maja
Benedykta, 21. marca
Benedykta, 8. października
Benona, biskup 16. czerwca
Bernarda, 20. sierpnia
Bernardyna, 20. maja
Bertama 17. sierpnia
Berty, 4. lipca
Bertold, 9. lutego
Bibiany, męcz. 2. grudnia
Błażeja, 3. lutego
Bogusława, 9. kwietnia
Bonawentury, 14. lipca
Bonifacego, arc. 5. czerwca
Bonifacego, męcz. 14. maja
Bronisławy, 4. września
Brygidy, 1. lutego
Brunona, męcz. 8. maja
Brunona, 15. października
Brunona, 6. października
Bukard, bisk. 11. października

C.

Cecylii, męcz. 22. listopada
Celestyna, papież 6. kwietnia
Cezaryusza, bisk. 27. sierpnia
Cypriana, 16. września
Cypriana, 26. września
Cyrjaka, 8. sierpnia
Cyril a Method, 5. lipca
Cyril, 29. marca
Czesława, 20. lipca

D.

Damazego, 11. grudnia
Damiana, męcz. 27. września
Daniela, 31. lipca
Dawid, 30. grudnia
Demetriusz, 9. kwietnia
Dezyderjusz, 23. maja
Dionizy, męcz. 9. października
Domicieli, 6. lipca
Dominika, 4. sierpnia
Donata, 7. sierpnia
Doroty, 6. lutego
Dyonizego, 8. kwietnia
Dytrycha, 6. maja
Duchosław, 14. grudnia

E.

Edyta, 5. grudnia
Edmunda, arch. 16. listopada
Edmunda, 30. listopada
Edwarda II., 18. marca
Edwarda, III., 13. października
Eleonory, 21. lutego
Eljasza, 30. lipca
Eligjusza, 1. grudnia
Elżbiety, 19. listopada
Emanuela, 26. marca
Emeryka, 6. listopada
Emiljan, męcz. 18. lipca
Emiljana, 30. lipca
Emilia, 22. maja
Emilji, 24. listopada
Emy, 22. września
Engelberta, 7. listopada
Erazma, 2. czerwca
Ernesta, 12. stycznia
Ernestyny, 31. lipca
Erwina, 25. kwietnia
Eufrozyny, 11. lutego
Eugenjan, biskup 8. stycznia
Eugenji, 25. grudnia
Eugenjusza, 31. listopada
Eulalii, 12. lutego
Eligjusza, 1. grudnia
Euseb, 16. grudnia
Euseb, 14. sierpnia
Euzebjusza, 22. października
Eustacheo, 20. września
Ewy, 24. grudnia
Ewald, 3. października

F.

Fabjana, 20. stycznia
Fabjana, 31. grudnia
Faustyna, 15. lutego
Faustyny, 20. września
Faustus, 16. lipca
Felicjana, 24. stycznia
Felicjana, 9. czerwca
Felicjasy, 23. listopada
Feliksa, 30. sierpnia
Feliksa I., papież 30. maja
Feliksa, 18. maja
Feliksa, 20. listopada
Ferdynanda III., 30. maja
Filipa 4. maja
Filipa Bente, 23. sierpnia
Filipa, 13. września
Flomeny, 11. sierpnia
Flawjana, arcyb. 17. lutego
Florentego, męcz. 4. maja
Franciszka Sal., 29. stycznia
Franciszka, Sol., 24. lutego
Franciszka z P., 2. kwietnia
Franciszka, z Ch., 31. sierpnia
Franciszka, 4. października
Franciszka B., 10. października
Franciszka K., 3. grudnia
Franciszek 9. marca
Fryderyka, 5. marca
Fryderyk, 7. października

G.

Gabrieła, 24. marca
Gawła, 16. października
Gaudenty, 12. lutego

Gebharda, arch. 16. czerwca
Gebharda, bisk. 27. sierpnia
Genowefy, 3. stycznia
Gerarda, bisk. 23. kwietnia
Gerarda, męcz. 24. września
Gerharda, 3. października
Gertrudy, 17. marca
Gertrudy 8., 17. listopada
Gerwazego, 19. czerwca
Giseł, 7. maja
Gotfryda, 9. listopada
Gotharda, bisk. 5. grudnia
Gracjana, 18. grudnia
Grzegorza, 3. stycznia
Grzegorza, 11. marca
Grzegorza, 9. maja
Gustawa, 3. sierpnia

H.

Habakuk, 15. stycznia
Hadrian, męcz. 1. grudnia
Hadrian, 16. marca
Heleny, kr. 21. maja
Heleny, ces. 18. sierpnia
Hellodora, bisk. 3. lipca
Henryka, 12. lipca
Henryki, 16. marca
Hermanna, 7. kwietnia
Hermenegilda, 13. kwietnia
Herminy, 24. grudnia
Hieronima, 30. września
Hermilusa, męcz. 13. stycznia
Hipolita, 13. sierpnia
Hilarion, 21. października
Hilarius, męcz. 9. kwietnia
Hildegarda, 17. września
Hipolyta, bisk. 22. sierpnia
Honoraty, 11. stycznia
Honoratus, bisk. 16. stycznia
Honorius, bisk. 24. kwietnia
Hroznata, 14. lipca
Huberta, bisk. 3. listopada
Hugo, biskup 1. kwietnia
Hugo, biskup 17. listopada
Hugo, męcz. 28. sierpnia
Hugo, 29. kwietnia
Hyacint, męcz. 11. września
Hyacint, 16. sierpnia
Hyacint, męcz. 26. lipca
Hygin, 11. stycznia
Hypolit, 22. sierpnia

Ch.

Charitas, p. 3. sierpnia
Charitina, p. 6. października
Cheledon, męcz. 3. marca
Chlonia, męcz. 3. kwietnia
Chrisofor, 30. kwietnia
Chromacius, 2. grudnia
Chromon, męcz. 27. lutego
Chrysaunt, 25. października

I.

Ida, 4. września
Ignacego, 1. lutego
Ignacego, Lovola, 31. maja
Ildesona, 23. stycznia
Inocentego I., p. 28. lipca
Irena, 5. kwietnia
Ireneusz, biskup 28. lipca
Ireneusz, 24. marca
Ireneusz, 15. grudnia
Ireneusz, 3. lipca
Izabeli, 3. stycznia
Izaczusza, męcz. 21. kwietnia
Izajasza, 6. lipca
Izydora, arcyb. 4. kwietnia
Izydora, męcz. 5. lutego
Izydora, 15. stycznia
Izydora, 10. maja
Iwan, 25. czerwca
Izak, 11. kwietnia

J.

Jaeka, 17. sierpnia
Jaeka, 11. września
Jadwigi, 15. października

Jakóba, 1. maja
Jakóba, 25. lipca
Jakóba, 1. czerwca
Jana, 10. stycznia
Jan, 27. stycznia
Jan, 8. marca
Jan Damaseen, 6. maja
Jan, 13. maja
Jan, 27. grudnia
Jan Gualbert, 13. lipca
Jan Kap., 1. października
Jan Kentky, 30. października
Jan Chrz., 24. czerwca
Jan od Krz., 24. listopada
Jan z Mathy, 8. lutego
Jan Nepomuk., 16. maja
Jan I. Paweł, 16. czerwca
Jan I., 15. maja
Jan, 27. marca
Jan, 15. stycznia
Jan Sarkandi., 17. marca
Jarosław, 27. listopada
Jeremiasza, 26. czerwca
Jerzego, 24. kwietnia
Joachima, 20. marca
Joanny Wd., 24. maja
Joanny Frem., 21. sierpnia
Jonatana, 29. grudnia
Józef Kalasanki, 27. sierpnia
Józef Kupert, 18. września
Józef, 19. marca
Judyty, 10. grudnia
Julji, 21. lipca
Juljana, męcz. 7. stycznia
Juljana, męcz. 28. stycznia
Juljana, męcz. 16. marca
Juljana, męcz. 28. sierpnia
Juljanny, 16. lutego
Julje, 22. maja
Juljusza I., 12. kwietnia
Juljusza, męcz. 15. czerwca
Justyna, męcz. 13. kwietnia
Justyny, 30. listopada
Justyny, 26. września

K.

Kajetana, 7. sierpnia
Kajus, papież 23. kwietnia
Kaliksta, męcz. 14. września
Kamila, 18. lipca
Karola B., 4. listopada
Karol W., 28. stycznia
Karolina, 14. czerwca
Kaspara, męcz. 6. stycznia
Katarzyn z B., 2. lutego
Katarzyn Sen., 30. kwietnia
Katarzyn P., 25. listopada
Katarzyn R., 13. lutego
Kazimierza, 4. marca
Klara, 12. sierpnia
Klandjusz, męcz. 8. listopada
Klemensa, 23. listopada
Kleofasa, 25. września
Kleta 26. kwietnia
Klotydy, 3. czerwca
Kolman, 13. października
Konrada, biskup 26. listopada
Konrada, 19. lutego
Konstanty, biskup 1. stycznia
Konstancyl, 19. września
Konstantego, 29. stycznia
Korduli, 22. października
Korneliusza, 16. września
Kornelji, 31. marca
Komy, 27. września
Kryszpina, 28. października
Krystyn, 24. lipca
Krystofa, 25. lipca
Kunegundy, 24. lipca
Kwiryra, 30. marca

L.

Lamberta, 16. kwietnia
Lamperta, 17. września
Leandra, 27. lutego
Leokadyi, 9. grudnia

Leona, męcz. 20. lutego
Leona I., 11. kwietnia
Leona II., 28. sierpnia
Leonarda, 6. listopada
Leopolda, 15. listopada
Longina, męcz. 15. marca
Lucyana, ka. 7. stycznia
Ludmilla, 16. września
Ludwika, 25. sierpnia
Ludwiki, 30. stycznia
Lukrecji, 7. sierpnia

L.

Zasarna, 17. grudnia
Łucyi, 18. grudnia
Łukasa, 18. października

M.

Macieja, 24. lutego
Magdalena, 22. lipca
Magusa, 6. września
Makarego, 2. stycznia
Makyma, 25. stycznia
Makymiliana, 12. październ.
Małgorzaty, 10. czerwca
Małgorzaty, 30. lipca
Marmerta, 11. maja
Marcela, 16. stycznia
Marcela, 18. sierpnia
Marcelli, 81. stycznia
Marcelli, 8. sierpnia
Marcina, 11. listopada
Marka, 26. kwietnia
Marka, 18. czerwca
Marka, papież 17. października
Marty, 29. lipca
Marij Zafi., 28. stycznia
Marij Grom, 3. lutego
Marij Zw., 25. marca
Marij Naw., 2. lipca
Marij Szkapl., 16. lipca
Marij Magd., 22. lipca
Marij Aniel., 2. sierpnia
Marij Snież., 5. sierpnia
Marij Wnieb., 15. sierpnia
Marij Nar., 6. września
Marij Ofiar., 21. listopada
Marij N. P., 8. grudnia
Marij Loreł., 10. grudnia
Mateusza, 21. września
Matyldy, 14. marca
Maurycego, 23. września
Medarda, 8. sierpnia
Melanji, 7. stycznia
Melchiora, 6. stycznia
Metodogo, 5. lipca
Michała, 29. września
Mikolaja, biskup 6. grudnia
Modesta, 15. czerwca
Moniki, 5. maja

N.

Narcyza, 29. października
Natalji, 27. lipca
Nemeryusza, 19. grudnia
Nikazjusz, bisk. 14. grudnia
Nikodema, 1. czerwca
Nikodema, 15. września
Nerberta, arcyb. 6. sierpnia

O.

Olgi, 21. lipca
Onufrego, 12. czerwca
Osara, 1. grudnia
Oswalda, król 5. sierpnia
Otmara, 16. listopada
Ottona, bisk. 2. lipca
Otylii, 13. grudnia

P.

Pankracego, męcz. 12. maja
Pantaleona, 27. lipca
Paschalisa, 17. maja
Paula, 24. stycznia
Paulina, biskup 22. sierpnia
Paulina, 8. lipca
Pawła, 28. sierpnia
Pawła, 10. stycznia
Palagii, 2. października
Palagii, 4. maja

Palagii, męcz. 8. sierpnia
Peregrin, biskup 16. maja
Petronelli, 31. maja
Piotr, 29. czerwca
Piotr z Alk., 19. października
Piotr Chryzolog, 4. grudnia
Piotr Celestyn, 19. maja
Piotr Damian, 23. lutego
Piotr Gongal, 29. kwietnia
Piotr N., 31. stycznia
Plus V., papież 5. maja
Plus, 11. lipca
Placyda, 5. października
Polikarpa, 26. stycznia
Praksedy, 21. lipca
Priska, 18. stycznia
Prokop, 4. lipca
Prokop, męcz. 8. lipca
Prospera, 25. sierpnia
Prota, 11. września
Fratasy, 19. sierpnia

R.

Radegunda, król 13. sierpnia
Rafala, 24. października
Rajmund Non., 31. sierpnia
Rajmund Pen., 23. stycznia
Rajmund, biskup 7. stycznia
Rainelda, 16. lipca
Reginy, 7. września
Remigiusza, 1. października
Regulus, męcz. 11. września
Rombertus, arch. 4. lutego
Romakius, biskup 3. września
Reparata, 8. października
Roberta, 7. sierpnia
Rochoa, 16. sierpnia
Rogacjan, męcz. 24. maja
Romana, 22. maja
Romana, 28. maja
Romana, męcz. 9. sierpnia
Romana Palest., 18. listopada
Romany, 23. lutego
Romarik, 8. grudnia
Romuald, 7. lutego
Romuald, męcz. 1. lipca
Romulus, 7. lipca
Róży, 30. sierpnia
Rozalii, 4. sierpnia
Rozyny, 18. marca
Rudolf, bisk. 16. sierpnia
Rudolf, męcz. 17. kwietnia
Rufina, 28. listopada
Rudna, męcz. 20. lipca
Rupert, 27. marca
Rustikus, biskup 24. września
Ryszarda, 7. lutego
Ryszarda, 8. kwietnia

S.

Sabas, męcz. 12. kwietnia
Sabat, 24. kwietnia
Sabina, 3. września
Sabina, 27. października
Sabinus, męcz. 15. marca
Sadok, 30. lutego
Salomej, 17. listopada
Samson, biskup 28. lipca
Samson, 27. czerwca
Samuel, męcz. 16. lutego
Samuel, 26. sierpnia
Sanctus, 5. sierpnia
Sanktus, 3. sierpnia
Saturnin, biskup 29. listopada
Saturnina, 4. sierpnia
Satyrus, męcz. 12. stycznia
Scholastyki, 10. lutego
Sebal, 19. sierpnia
Sebus, 29. sierpnia
Sebus, 30. sierpnia
Sekunda, 20. lipca
Sekunda, 19. sierpnia
Sekundus, 19. lipca
Separatus, 17. lipca
Serafin, 30. października
Serafin, 8. września
Sergiusz, 20. października
Sergiusz, 2. października
Sawarcego, 25. maja

Serwulus, 29. grudnia
Sewer, 30. kwietnia
Seweryn, 11. lutego
Seweryn, 23. października
Seweryn, 8. stycznia
Sewerus, biskup 11. lutego
Sewerus, męcz. 8. listopada
Soter, papież 23. kwietnia
Spirydona, 14. grudnia
Stanisława K., 13. listopada
Stanisława, biskup 8. maja
Suzanny, 11. sierpnia
Sybilji, 29. kwietnia
Sykstusa, 28. marca
Sylwerjusza, 30. sierpnia
Sylwestra, 31. grudnia
Symplejusza, 2. marca
Simeon, biskup 17. lutego
Simeon, 24. marca
Simeon, biskup 17. kwietnia
Simeon, 8. października
Simeon, 81. 5. stycznia
Simeon, biskup 12. grudnia
Smaragd, 8. sierpnia
Sofronius, 11. marca
Sozon, męcz. 7. września
Specosus, 15. marca
Speusippus, 17. stycznia
Spiridion, 14. grudnia
Symforian, 23. sierpnia
Symforosa, 18. sierpnia
Syrus, biskup 12. września
Syrus, biskup 9. grudnia
Szczepana, 5. sierpnia
Szczepana, 26. grudnia
Szymona, 18. lipca
Szymona, 9. grudnia

T.

Tadens, 28. października
Tekla, męcz. 23. września
Telesfor, 5. stycznia
Terencius, 10. kwietnia
Terezy, 15. października
Tertullian, biskup 27. grudnia
Tertullin, męcz. 4. sierpnia
Thais, 8. października
Tharalla, 24. grudnia
Themistokles, 21. grudnia
Theobald, 31. stycznia
Theodorich, 1. lipca
Theodor, biskup 16. sierpnia
Theodor, biskup 22. kwietnia
Theodor, 9. listopada
Theodor, 29. października
Theodor, męcz. 15. kwietnia
Theodora, 1. kwietnia
Theodora, 28. kwietnia
Theodizjusza, 2. kwietnia
Theodorjusza, 11. stycznia
Theodota, 2. sierpnia
Theodul, 4. kwietnia
Theodul, 3. maja
Theodul, 18. lipca
Theodul, 2. grudnia
Theofil, biskup 7. kwietnia
Theofil, 4. lutego
Theokrista, 10. listopada
Theotym, biskup 20. kwietnia
Therazjusz, 25. lutego
Tiburejusz, 14. kwietnia
Tibureja, 11. sierpnia
Tigrys, 12. stycznia
Timon, 19. kwietnia
Tobiasza, 13. sierpnia
Tobiasza, 13. września
Timoteusz, biskup 24. stycznia
Timoteusz, 19. grudnia
Timoteusz, 22. sierpnia
Timoteusz, 22. grudnia
Tirsus, 28. stycznia
Titus, biskup 4. stycznia
Titus, 18. września
Toleta, 6. marca
Tomasa, 21. grudnia
Tomasa, 7. marca
Tomasa, biskup 29. grudnia
Tomasa, 2. października
Tomasa, 18. września

Torpes, męcz. 17. maja
Trankwilin, 8. lipca
Trifidus, biskup 13. lipca
Trudo, 23. listopada
Turian, biskup 13. lipca
Tyburcjusza, 14. kwietnia
Tymoteusza, 24. stycznia
Tymoteusza, 18. września

U.

Ulryka, 19. lutego
Urbana, 25. maja
Urazuli, 21. października
Urtin, 30. września

W.

Wacław, 28. września
Walenty, 14. lutego
Walent, biskup 7. stycznia
Walenty, 14. grudnia
Walery, 14. kwietnia
Walery, 21. września
Walerji, 5. sierpnia
Walerji, 9. grudnia
Waleryana, 27. listopada
Walerius, 29. stycznia
Walfrid, biskup 13. września
Wawrzyniec, 2. lutego
Wawrzyniec, 20. sierpnia
Wawrzyniec, 28. maja
Wawrzyniec, 8. stycznia
Wedastus, biskup 6. lutego
Wenancjusza, 18. maja
Wenancjusza, 18. października
Wenaty, 21. maja
Wendelin, 20. października
Wenefryda, 3. listopada
Werona, 1. września
Weryan, 9. sierpnia
Werner, 19. kwietnia
Weroniki, 15. stycznia
Weroniki, 4. lutego
Weroniki, 17. maja
Widorat, 2. maja
Wigilius, biskup 14. stycznia
Wigilius, biskup 26. lipca
Wiktor, 26. sierpnia
Wiktor, 22. stycznia
Wiktor, 21. lipca
Wiktor, 30. września
Wiktoryi, 28. grudnia
Wiktoryan, 23. marca
Wiktoryn, 15. kwietnia
Wiktoryn, 5. września
Wilhelm, biskup 29. lipca
Wilhelm, 8. sierpnia
Wilhelm, 8. kwietnia
Wilhelm, 10. lutego
Wilhelm, 5. lipca
Wilhelmus, 25. października
Wilibald, biskup 7. lipca
Wilibrod, 7. listopada
Wincenty, 5. kwietnia
Wincenty, 21. stycznia
Wincenty, 24. maja
Wincenty, 19. lipca
Wirgiliusza, 31. stycznia
Wirgiliusza, 27. listopada
Wita, 15. sierpnia
Witalian, 27. stycznia
Witalian, 28. kwietnia
Witalia, 20. października
Władysław, 27. sierpnia
Wojciech, 23. kwietnia
Wolfram, 30. marca

Z.

Zachariasz, 10. stycznia
Zachariasz, 6. września
Zachariasz, 5. listopada
Zachariasz, 23. sierpnia
Zefryn, 16. sierpnia
Zenobiusza, 26. października
Zenon, 23. sierpnia
Zofii, 15. maja
Zuzanny, 11. sierpnia
Zygryda, 25. lutego
Zygmunta, 2. maja

Opłaty pocztowe, telegraficzne i telefoniczne (wyciąg z taryfy).

Opłaty pocztowe:

Miejscowe	Listy wagi do 2000 g	Zamiejscowe
15 gr	do 20 g	25 gr
30 gr	ponad 20 g do 250 g	50 gr
40 gr	ponad 250 g do 500 g	75 gr
55 gr	ponad 500 g do 1000 g	100 gr
75 gr	ponad 1000 g do 2000 g	175 gr

Miejscowe	Kartki pocztowe	Zamiejscowe
10 gr	pojedyncze	15 gr
20 gr	z opłaconą odpowiedzią	30 gr

Opłaty dodatkowe

za polecenie przesyłki listowej	30 gr
za pocieszne doręczenie	50 gr
za przesyłki listowe adresowane „poste restante”	10 gr

Listy wartościowe wagi do 2000 g

Opłaty składają się z:	
a) opłaty za list odpowiedniej wagi	
b) opłaty za polecenie	30 gr
c) opłaty asekuracyjnej za każde 100 zł podanej wartości lub ich część przy: nadaniu listu w stanie zamkniętym	10 gr
nadaniu listu w stanie otwartym	30 gr

Poczta lotnicza:

opłaty dodatkowe za przewóz lotniczy

przesyłek listowych i listów wartościowych	do 20 g	5 gr
	ponad 20 g do 100 g	10 gr
	wagi „ 100 g do 250 g	20 gr
	„ 250 g do 500 g	30 gr
	„ 500 g do 1000 g	60 gr
	i za każde dalsze 500 g	30 gr
kartki pocztowej	pojedynczej z opłaconą odpowiedzią	5 gr

Druki

nadawane pojedynczo wagi do 1000 g

	za 1 sztukę	
ponad 20 g do 50 g	5 gr	
„ 50 g do 100 g	10 gr	
„ 100 g do 250 g	15 gr	
„ 250 g do 500 g	50 gr	
„ 500 g do 1000 g	60 gr	
„ 1000 g do 2000 g	70 gr	
(pojedyncze tomy do 2000 g)		

nadawane w ilościach:

ponad 500 szt. do 1000 szt.	70%	opłat za druki odpowiedniej wagi
„ 1000 szt. do 5000 szt.	65%	
„ 5000 szt. do 10000 szt.	60%	
„ 10000 szt.	50%	

bezaadresowe i ulotki nadawane w ilościach:

bezaadresowe wagi do 50 g szt.	ulotki wagi do 15 g szt.	
za każde 1000 szt.	za każde 1000 szt.	
800 gr	1000 szt. do 5000 szt.	700 gr
750 gr	ponad 5000 szt. do 10000 szt.	650 gr
700 gr	10000 szt. do 50000 szt.	600 gr
650 gr	50000 szt. do 100000 szt.	550 gr
600 gr	100000 szt.	500 gr

Próbki towarów

wagi do 500 g

nadawane pojedynczo	do 100 g	10 gr
	ponad 100 do 250 g	20 gr
	„ 250 do 500 g	30 gr
nadawane w ilościach	ponad 100 szt. do 500 szt.	70%
	„ 500 szt. do 1000 szt.	65%
	„ 1000 szt.	60%
	opłat za próbki odpowiedniej wagi	

Zlecenia inkasowe

do 5 i 2000 zł

za drobne miejscowe zlecenie inkasowe do 5 zł	15 gr
za zlecenie inkasowe do 10 zł	20 gr
ponad 10 zł do 30 zł	30 gr
„ 30 zł do 50 zł	40 gr
łącznie z opłatą za przekazanie zainkasowanej kwoty	
ponad 50 zł do 2000 zł	55 gr a ponadto opłata za przekaz

Paczki

zwykłe wagi do 20 kg

w a g a	wyrażone na odległość		
	do 100 km	ponad 100 do 300 km	ponad 300 km
do 1 kg	50 gr	50 gr	60 gr
ponad 1 kg do 3 kg	70 gr	80 gr	120 gr
„ 3 kg do 5 kg	90 gr	130 gr	180 gr
„ 5 kg do 10 kg	140 gr	230 gr	300 gr
„ 10 kg do 15 kg	170 gr	300 gr	450 gr
„ 15 kg do 20 kg	200 gr	380 gr	580 gr

żywnościowe

do 5 kg	50 gr	50 gr	100 gr
ponad 5 kg do 6 kg	50 gr	50 gr	120 gr
„ 6 kg do 7 kg	50 gr	70 gr	130 gr
„ 7 kg do 8 kg	50 gr	80 gr	150 gr
„ 8 kg do 9 kg	60 gr	90 gr	160 gr
„ 9 kg do 10 kg	60 gr	120 gr	200 gr
„ 10 kg do 15 kg	80 gr	160 gr	300 gr
„ 15 kg do 20 kg	100 gr	220 gr	400 gr

wartościowe

opłaty składają się z:	
a) opłaty jak za przewóz paczki zwykłej odpowiedniej wagi	
b) opłaty asekuracyjnej za każde 100 zł podanej wartości lub ich część	10 gr

lotnicze

opłata dodatkowa za przewóz lotniczy za każdy 1 kg	30 gr
--	-------

Opłaty dodatkowe za doręczenie

paczki żywnościowej bez względu na wagę	30 gr
innej paczki krajowej: do 5 kg	30 gr
ponad 5 kg do 10 kg	40 gr
„ 10 kg do 20 kg	60 gr

Przekazy

do 5000 zł pocztowe

do 20 zł	20 gr	ponad 500 do 1000 zł	150 gr
ponad 20 do 50 zł	40 gr	„ 1000 do 2000 zł	200 gr
„ 50 do 100 zł	60 gr	„ 2000 do 5000 zł	300 gr
„ 100 do 500 zł	100 gr		

lotnicze

opłata dodatkowa za przesłanie przekazu pocztowego pocztą lotniczą	5 gr
--	------

Opłaty telegraficzne

TELEGRAMY

zwykłe:

miejscowe za 1 wyraz 5 gr, opłata zasadnicza 25 gr	
zamiejscowe za 1 wyraz 15 gr, opłata zasadnicza 25 gr	

pilne:

miejscowe za 1 wyraz 10 gr, opłata zasadnicza 25 gr	
zamiejscowe za 1 wyraz 30 gr, opłata zasadnicza 30 gr	

listowe ELT:

namniej za 2 wyrazy	100 gr
za każdy dalszy wyraz	5 gr
opłata zasadnicza od telegramu	25 gr

okolicznościowe XLT gratulacyjne i kondolencyjne:

najmniej za 15 wyrazów	75 gr
za każdy dalszy wyraz	5 gr
opłata zasadnicza od telegramu	25 gr
za blankiet ozdobny (tylko na żądanie)	50 gr

Opłaty radiofoniczne:

Opłaty abonamentowe (uiszczane)

normal: a 3 zł miesięcznie za urządzenie odbiorcze zawierające jedną lub więcej lamp katodowych	
---	--

ulgowa 1 zł miesięcznie za urządzenia odbiorcze nie zawierające lamp katodowych	
---	--

za wydanie karty rejestracyjnej jednorazowo 1 zł.

Poczta peronowa

na większych stacjach kolejowych dostarcza podróżnym znaczków, kartek i blanszów telegramów, przyjmuje kartki, listy krajowe i zagraniczne, zwykłe, polecane oraz telegramy krajowe. Poczta peronowa czynna jest w dzień i nocy tylko podczas postoju pociągu.



Ludowa Drukarnia

SEMBOŁ I SKA W FRYSZTACIE

poleca dla towarzystw

Macierzy Szkolnej, Straży Pożarnych, Rodziny Opiekuńczej,
Stowarzyszenia „SIŁY”, Towarzystwa „SOKOŁA” i t. d.

afisze, zaproszenia balowe i na
wieczorki, ulotniki, papiery li-
stowe, koperty, rachunki, różne
rodzaje statutów, broszur i t. d.

Własne wydawnictwo kalendarzy :

Kalendarz powieściowy
Śląski kalendarz robotniczy
Różne kalendarze kieszonkowe
Kalendarze blokowe, oraz
Kalendarze reklamowe

Wyrób książek handlowych

Własny sklep

z papierem, przybory pi-
śmienne i kancelaryjne

Drukuje po cenie umiarkowanej wszelkie gazety

Browar karwiński

poleca swoje chlubnie znane wyroby

**10^o i 12^o piwo
jasne i ciemne**

Do otrzymania także w sklepach Centr. Stowarzyszenia
Spożywczego dla Śląska w Łazach.

TARGI I JARMARKI.

Bogumin: Targi tygodniowe każdy wtorek.

Błędowice Dolne: Targi tygodniowe w piątki.

Cieszyn: Targi tygodniowe w środę, piątek i sobotę. Na świnie: każdą sobotę; na konie w pierwszy poniedziałek po 1-szym każdego miesiąca; na krowy: w drugi poniedziałek po 1-szym każdego miesiąca, a jeżeli jest święto, to targ odbywa się zaraz we wtorek.

Frysztat: Jarmarki: 1-sza środa po 15 lutym, 1-sza środa po 15 maju, 1-sza środa w sierpniu, 1-sza środa po 15 października. Targi tygodniowe we wtorek i piątek.

Trzynieć: Targi każdy piątek

Jabłonków: Jarmark: w 1-szy poniedziałek maja, w 1-szy poniedziałek października. Targi na bydło: każdy wtorek; na konie: we wtorek po 15 marca, czerwca, września i grudnia

Karwina: Targi tygodniowe we środę i sobotę.

Ligotka Kameralna: Jarmarki i targi na bydło: w poniedziałek po Jerzym i w poniedziałek przed Jadwigą

Orłowa: Targi tygodniowe w poniedziałek i czwartek.

Rychwałd: Targi tygodniowe we wtorek.

Sucha Górna: Targi tygodniowe w każdy piątek

Rozmyślania noworoczne.

Rok przeszły, rok 1938, nie można nazwać rokiem szczęścia i powodzenia dla wszystkich, jak tego sobie zawsze o Nowym Roku życzymy. Nie był on rokiem pełnym płodnej i spokojnej pracy dla dobra i szczęścia wszelkiej ludzkości, ponieważ nie wszyscy tego szczęścia i spokoju w roku tym zaznali. Nie będzie można także ani w historii rok 1938 zapisać jako rok spokoju i zgodnego życia narodów, bo aczkolwiek my sami zostaliśmy oszczędzeni od tego straszego nieszczęścia, jakim jest wojna, to nie zostały od nieszczęścia tego oszczędzone inne narody. Tam na Dalekim Zachodzie w roku 1918 przypadała dwuletnia rocznica bratobójczej walki narodu hiszpańskiego, walki niszczącej tysiące niewinnych istot ludzkich, niszczącej wszelki dorobek setek lat narodu hiszpańskiego. Nie mogą rok 1938 nazwać także rokiem szczęścia i dobra dwa narody na Dalekim Wschodzie t. j. Chińczycy i Japończycy, dla których rok 1938 był pierwszą rocznicą, kiedy zagrzmiały pierwsze działa, zarzęgotwały pierwsze karabiny maszynowe i rozwarczały się motory samolotów, siejąc wokoło śmierć i zniszczenie. Dlatego też rok 1938 dla tych narodów, zapisze się w historii krwawymi zgłoskami, jako rok największego nieszczęścia i zniszczenia. A kiedy słowa te piszemy, nie widać jeszcze końca tej pogromie plemienia ludzkiego. Przeciwnie, z jednej i z drugiej strony nadchodzą wieści, że wojna jeszcze długo się przeciągnie.

A my sami co możemy powiedzieć o przeszłym roku? Dla nas samych nie był to wprawdzie rok wojny krwawej, lecz mieliśmy znowu inne kłopoty i starości.

Dla nas samych rok przeszły nie był tylko rokiem walki o nasze prawa kulturalne i narodowe, lecz był rokiem pełen niespokoju i niepewności, albowiem nikt

nie wiedział co nam przyniesie jutro. Nie raz zdawało nam się, że już... już zostaliśmy wciągnięci w ten wir wojenny i że lada chwila wybuchnie pożoga, która tak jak w roku 1914 obejmie całą Europę.

Najczarniejsza chmura, jaka zawisła nad nami, było to w marcu 1938, kiedy dyktator Niemiec Hitler, wykreślał z mapy Europy niemiecką Austrię, państwo stworzone pokojem wersalskim, a więc stworzone przez najpotężniejsze mocarstwa t. j. Anglię, Francję i Włochy, zatem państwo stojące pod ich opieką, pod ich ochroną. Była to najtragiczniejsza chwila, kiedy w przeciągu niecałych 24 godzin wojska niemieckie obsadziły całą Niemiecką Austrię, wcielając państwo to w granice Rzeszy Niemieckiej. Wtenczas wojna wisiała na włosku.

Drugim dniem historycznym był dla nas dzień 21 maja, kiedy to nad północno-zachodnimi granicami republiki, zaczęły się gromadzić wojska niemieckie. Zrozumiałą rzeczą jest, że republika nasza nie mogła się temu przypatrywać z założonymi rękami i dlatego też powołała pod broń pewną część rezerwy.

Zastanawiając się nad tym faktem, moglibyśmy sobie powiedzieć, że jeżeli w tych dwóch wypadkach nie przyszło do wojny, to na przyszłość możemy już być spokojni i bezpieczni, że do żadnych zakwień więcej nie przyjdzie.

Lecz tak nie jest, albowiem rzeczywistość uczy nas czego innego.

Rok 1938 był rokiem jednym z największych zbrojeń, jakie kiedy świat widział. Ani w czasach przed rokiem 1914, przed wielką wojną światową, nie widzieliśmy takiej gonitwy za materiałem wojennym, jak w r. 1938. Cały przemysł, jaki znajdował się w jednym i drugim państwie, postawiono do dyspozycji militarystom. Poszczególne państwa europejskie zosta-

ły w krótkim czasie przemienione na wielkie twierdze, które mają bronić się przed napastnikiem. I to pono wszystko dla zabezpieczenia pokoju.

Lecz czy to prawda?

Takie twierdzenia, „że które państwo chce mieć pokój, musi być najbardziej uzbrojone“, słyszeliśmy już w roku 1912 i 1913, kiedy tak samo w latach tych op nowała państwa europejskie gorączka zbrojeń.

Tymczasem rok 1914 udowodnił, że takie twierdzenia są tylko dla uspokojenia ogółu, znowu dalsze wypadki ukazały nam co innego.

Jak widzieliśmy, to w roku 1938 taka sama gorączka zbrojeń i to jeszcze w większym rozmachu, jak w latach wspomnianych ogarnęła prawie że cały świat. Powiadamy cały świat, ponieważ nie zbroiły się tylko państwa europejskie lecz zbroiła się także i Ameryka, a w Azji wrzała już wojna w pełnym tempie.

Gdy zastanowimy się nad tym wszystkim, to powiadamy sobie: Dokąd zdążasz ludzkości? Dokąd zdążasz ty plemię ludzkie, które jesteś pono stworzone na obraz boski, na obraz tego Boga, o którym od dzieciństwa cię uczono, że jest pełen dobroci i miłości. Ty tymczasem człowiecze, który zamiast być obrazem tej dobroci i miłości, stajesz się obrazem wszelkiej złości i nienawiści i zamiast obrazem Boga stajesz się obrazem szatana. Zamiast stwarzać sobie już tutaj raj na ziemi, to stwarzasz sobie gotowe piekło.

Takie myśli snują się nam w głowie, jeżeli o tym wszystkim rozmyślamy. Tymczasem są tacy, którzy mówią, że wszystko dla idei, dla dobra ludu, dla dobra całego narodu. Jeżeli się więc powiada, że to dla idei, zanalizujmy zatem to słowo idea, na które zwykło się bardzo dużo powoływać przy każdym swoim poczynaniu, że to co się robi, to wszystko dla idei. Idea jest to coś nieuchwytnego, jest to marzenie, jest to jakiś cel, za którym nieraz mimo naszej woli zdążamy i jesteśmy jakąś niewidzialną siłą parci za tym celem. Idea to jest cel wzniosły, który chcemy osiągnąć dla całego ogółu albo też osiągnąć tylko dla siebie samego. Dla

idei, idei w całym tego słowa znaczeniu, poświęca się nieraz pracę całego swojego życia, poświęca się cały swój dobrobyt, rodzinę, przyjaciół, dobra ziemskie i zresztą wszystko, co by miało dla mnie jakąś wartość. Dla idei, jeżeli tego trzeba, poświęcam także i swoje życie. To nazywa się idea.

Historia uczy nas, że na świecie było już dużo i bardzo dużo idealistów, którzy całe swoje życie pracowali tylko dla idei, nie zważając na żadne trudy i utrapienia. Wszystko co mieli poświęcali dla idei, zdążając ciągle w jednym kierunku, ażeby dojść do celu, urzeczywistnić swoje marzenia, swoją ideę. Było także wielu i takich, co dla idei dobrowolnie swe życie poświęcali. To była idea, to było można nazwać ideą szlachetną i prawdziwą.

A co dzisiaj? Ilużby znalazło się tych, którzy byliby gotowi do jakichś ofiar, którzy byliby ochotni poświęcić bezinteresownie chociażby tylko swoją pracę dla idei. Ilu by było takich, którzy dla idei gotowi byli by poświęcić dobro swojego życia codziennego, swoją wolność nawet, czy też swoje materialne dobra ziemskie. A czy znalazłby się chociaż jeden, który byłby gotów dla idei swoje życie poświęcić?

Nie można zaprzeczyć, że w jednym lub drugim wypadku, w jakiejś akcji, poniósł ktoś jakieś ofiary materialne lub też jakieś inne, a może że i życie tutaj padło. Lecz nie można tutaj twierdzić, że było to dla idei, albowiem ofiary poniesione były podczas jakiejś akcji a więc były ofiary dla sprawy a nie dla idei. Gdyby jeden i drugi był o tym wiedział, że przy akcji tej będzie musiał stracić mienie, lub że zostanie wtrącony do więzienia i pozbawiony wolności lub że poniesie śmierć, to napewno w akcji tej nie byłby brał udziału. Nie można też dlatego twierdzić, że poniósł taką lub inną ofiarę dla idei, ponieważ poniósł ją tutaj w imię jakiejś sprawy. Dużo rzeczy na świecie dzieje się w imię idei, które jednak z idealizmem nic wspólnego nie mają.

Wzniosłe cele idealizmu zastąpił człowiek dzisiejszej doby materializmem. Ludzkość dzisiejsza jest tak zaślepiona materializmem, że trudno jej jest rozróż-

nić materializm od idealizmu i dlatego też wszystko nazywa się idealizmem. Całą wiedzę, cały rozum i wszystkie własności cielesne, jakie człowiek tylko posiada, oddaje na usługi materializmowi.

Tutaj więc znajdujemy powody tego wszystkiego co się dzieje. Ponieważ materializm wstąpił na miejsce idealizmu, dlatego też na miejsce dobroci i miłości wstąpiły złości i nienawiść jednych przeciw drugim. Nie mogą zatem złość i nienawiść doprowadzić do jakichś wzniosłych celów, lecz mogą doprowadzić tylko do zwalczania się jednych i drugich,

najprzód słownie a nareszcie z bronią w rękę czyli w wojnie.

To też jest powodem tych szalonych zbrojeń jakich byliśmy świadkami w roku 1938.

Z małą zatem nadzieją na coś lepszego wkraczamy w próg Roku Nowego, lecz nadzieja jest to skarb najdroższy, więc i my miejmy nadzieję na lepsze jutro, bo z nadzieją człowiek się rodzi, w nadziei żyje i z nadzieją umiera.

* * *

Artykuł ten pisany był z końcem sierpnia, a więc w czasie najkrytyczniejszym, kiedy nie wiadano, jak się cała sprawa skończy.

KURZAWA.

— Żle spałeś dzisiaj, Antek...

Przez małe okienko ich górniczego domku sączyło się blade światło świtu, przesycone znużoną mgłą.

— Żle, ojciec...

Jedli szybko śniadanie. Za parę minut musieli wyjść — jak codzień — na dniówkę. Do kopalni mieli spory kawał drogi przez pola, tor kolejowy i osadę.

— Krzyczałeś tak, żeś mnie obudził, choć twardy mam sen...

— Przyśniła mi się jakaś zmora... Nie pamiętam już co, — ale jakiś straszny sen. Tchu mi brakowało. Jak kamień coś leżało mi na piersi...

Śwąt czekał na nich za progiem. Szli przez dobrze znane drożyny. Tyle lat już nimi dążyli do pracy, a potem wracali spragnieni odpoczynku...

Minęli czerwone, jednakowe domki osady, witając się po drodze z również dążącymi do pracy, aż gromadkami doszli do kopalni.

Za parę chwil byli już na dole.

Pracowali na piątym pokładzie, młodym, mało jeszcze zagospodarowanym.

Antek z ojcem szli tym samym korytarem. W połowie jego trwały silne, podwójne, dębowe i żelazem jeszcze skute drzwi. Była to zaporą, która w razie żywiołowego niebezpieczeństwa odgradza zajęta część kopalni od reszty. Jej dwa wbite w pokład między deskami skrzydła

są nadzieją ratunku reszty kopalni, skoro jedną jej część trzeba będzie oddać na żer nieszczęściu.

Stary stróż zapory siedział obok.

— Szczęść Boże!

Antek zadrżał przechodząc drzewiskami. Przypominał mu się sen jak niejasne, dręczące pytanie. Zmora... dech wstrzymany... kamień na piersi...

Pożegnali się krótkim zewem górniczym. Stary skreślił w bok, Antek poszedł aż do samego końca włomu. Był najlepiej pracującym górnikiem na całym pokładzie.

Zaraz wziął się do pracy. Zaszedł do niego sztygar.

— Jakże idzie?

— Zdrowo!

— Trza już będzie świdrować — rzekł sztygar, patrząc na równo ścięty bok bryły. — Dobrześ to ściosał.

— Dziś wywalę całe to brylisko. Jutro podłożę i dalej. Dobra tu komora!

Sztygar odszedł.

Antek narządził świder. Mocno oburącz trzymając kąśliwy jego łeb dźgał nim nieustępliwe brylisko. Wykreślił starannie siedem otworów na płaszczyźnie bryły w równych rozrzucając je odstępach. Ostrożnie założył naboiki, zapchał w głąb, sprawdził lonty. Zapalił. Sprawnie uciekł za włom drugiej komory.

Wnet rozległy się rozłożone na siedem

części wybuchy jak potężny wstrząs. Po tym posypały się drobne grzmoty. Walały się bryły węglowe...

Wrócił.

Czarna komora pławiła się w mgle miału.

Wypatroszona ściana ziorała ku niemu wyszarpaną pustką.

Pył osiadł.

Antek wziął kilof i zaczął ostrożnie strącać z powały i ścian świeżego otworu wystający wyskok węgl.

Nagle usłyszał jakiś przygłuszony krzyk. Daleka wrzawa biegła ku jego oddalonej komorze gdzieś z innego korytarza.

— Co się tam stało...

Wrzawa rosła błyskawicznie. Ci, co krzyczeli, musieli pędzić co sił! Nad ponury i rozpaczliwy podkład tych głosów, zlewający się w jedną burzę krzyku, wybłykiwały pojedyncze zgłoski. Aż w jakiejś olśniewającej jak pożar sekundzie zlały się w jeden okropny wyraz:

— Kurza wa!!

Antek prasknął kilofem o ziemię i pędem wybiegł z komory. Pędził wraz z innymi ku głównemu korytarzowi. Potwór na groza dodawała prężności jego muskułom. Pędził jak strzała. Potknął się i upadł, ale poderwał się zaraz i znów pędził. Mijając komorę, w której pracował jego ojciec, rzucił wzrokiem — nie było już tam nikogo.

Już niedaleko do zapory!

Jeszcze jeden korytarz.

Zdawało mu się, że w bezładnej gromadzie, podążającej przed nim rozpoznał ojca. Nagle potknął się po raz drugi na zwrotnicy szyn. Upadł uderzając z całych sił głową o wystający złom węgla.

Ból obezwładnił go. I przypomniał sobie nagle dzisiejszy swój sen...

Zmora... Kamień na piersi...

Usłyszał jakby szum...

— Nie!!!

Krew z czoła zalewała mu oczy. Zerwał się dzikim wysiłkiem.

Musiał odwrócić głowę...

Krzyk strasliwej trwogi wyrwał się z jego piersi.

Za nim szła kurzawa. Wylała się jak wezbrana rzeka z ostatniego korytarza. Zgrzytała po ścianach, zwirowała o węglowe występy, szumiała straszna, czarno-szara masa...

I rwała naprzód...

Za nim...

A on zrozumiał: był ostatnim z uciekających... wszyscy są już za zaporą!

— Nie zamkną... poczekają... ojciec nie dopuści...

I pedził przez bluzgi słonei krwi, a tuż za sobą czuł potworną falę. Aż dopadł do zapory — już zamkniętej...

Przypomniał mu się z oszalałej niepamięci słowa dawno słyszanych pouczeń sztygara:

„Uciekać! Bo gdy się kurzawa zbliża, zamyka się zapora. Musza zginąć ci, co nie zdażli — bo przecież trzeba ratować większość ludzi, trzeba ratować kopalnię. Bo kurzawa zaleje wszystko, zniszczy raz na zawsze...”

Ale jakiś straszny bunt zerwał się w nim.

— Ja też chcę żyć! chcę żyć!!

Bił pięściami w straszne drzwi, bił, kopał...

A kurzawa szła... już nogi mu oplatą, rośnie uderzając o nieustępliwe drzwi-ska dębowe, okute...

— Ratunku!

Już sięga do pasa. Z siłą potworną, z szybkością przeraźliwą. Piersi przyciska, zapiera oddech, usta, oczy... już...

Gdy zsuwał się zwolna w gęstej, okropnej masie u bezdusznych, zamkniętych już na zawsze drzwi — usłyszał resztą świadomości, że ktoś wali w zaporę z całych sił — z tamtej strony...

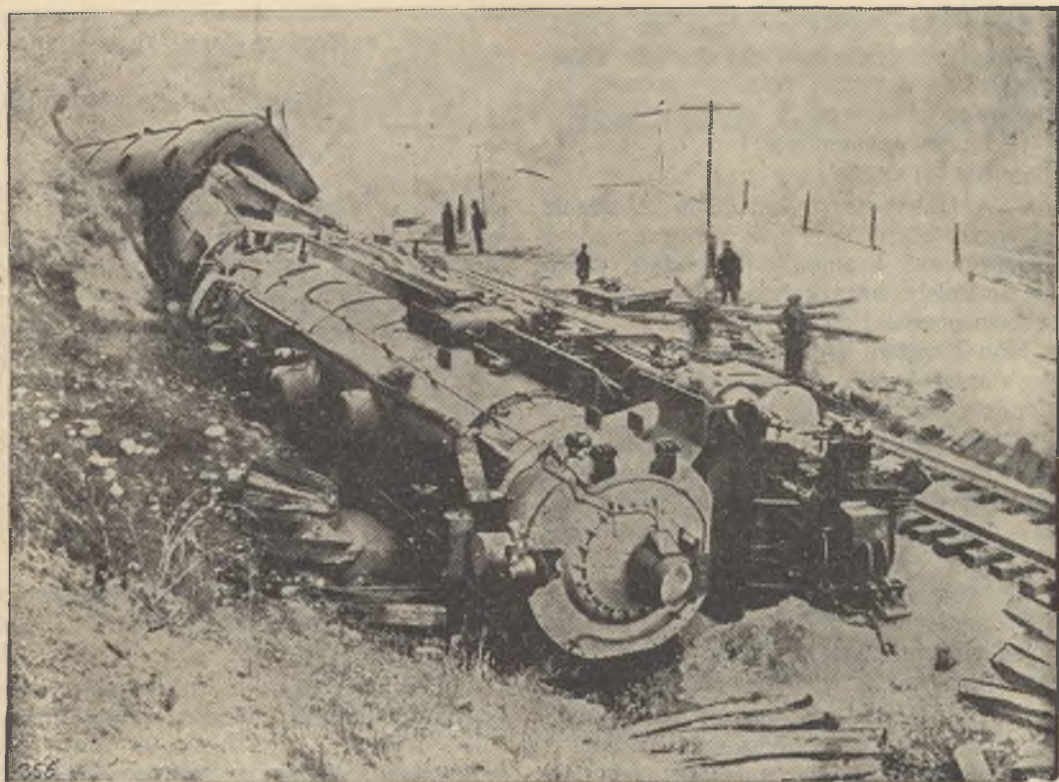
Zrozumiał ostatnim błyskiem życia: to jego ojciec, tam — z tamtej strony — szaleje w bezsilnej rozpacz...



Wykolejenie pociągu pośpiesznego w Ameryce.

Bandytyzm amerykański jest znany ze swojej bezwzględności. Jeżeli rozchodzi się o zdobycie pieniędzy to życie ludzkie czy jedno czy też kilkadziesiąt lub kilka set nie odgrywa u nich żadnej roli. Jeżeli trzeba rozbić kasę w której znaj-

gotowany samochód ciężarowy i odjeżdżają. Jeżeli znów rozchodzi się o obrabowanie podróżnych, to spowoduje się wykolejenie pociągu bez względu na to ile ofiar w ludziach pociągnie za sobą taka katastrofa kolejowa. Obrazek przedstawia nam



dują się pieniądze, a nie mogą się do niej dostać na żaden sposób, to wysadzają cały dom w powietrze, bez względu na to ile ludzi się tam znajduje, a kiedy nastanie po płoch to wśród zamętu ładują kasę na przy-

spowodowane przez bandytów wykolejenie pociągu pośpiesznego, gdzie następnie bandyci obrabowali ze wszystkich pieniędzy i rzeczy wartościowych jak zdrowych, tak rannych i zabitych podróżnych.



A pozdrówcie tam Polskę ode mnie...

(Opowiadanie z życia polskiego we Francji).

- A pozdrówcie tam Polskę ode mnie!
- Pozdrowię.
- I uściśnijcie wszystkich!
- Uściśnę.
- I powiedzcie, że stary Owczarek Polakiem umarł...
- Powiem.
- I...

Szczerniała broda podniosła się do góry, a przymknięte powieki drgnęły gwałtownie. Spracowana ręka wyciągnęła się ciężko w moją stronę.

- ...nie zapomniacie?!
- Nie zapomnę.

— A jakby się spytali... to... wiecie — trzydzieści lat... i w Niemczech, i w Belgii, i we Francji — wszędzie, tylko nie w Polsce mieszkalem. Ale przy niej sercem pozostał na zawsze.

Mówił wolno, urywanimi słowami; oddech miał krótki, a policzki powleczone ziemistą bladeścią.

W miasteczku było cicho. Patron, otyły Francuz, zaglądał co chwilę przez wół otwarte drzwi i pytał mnie wzrokiem, czy czego nie potrzeba, czy już nie koniec.

Ale koniec nie przychodził tak prędko.

Siedziałem wzruszony przy łóżku tego polskiego emigranta i patrząc mu w twarz, myślałem nad dziwną losu koleją.

Przed pół godziną jeszcze nie znałem tego człowieka. Jechałem autem z Seraucourt do Charny i w drodze wydarzył mi się wypadek. Pękła w moim wozie oś u przednich kół. Zmuszony byłem zatrzymać się w pierwszej z brzoza fermie, i tam właśnie dowiedziałem się od patrona, że jest u niego „polonais qui meurt”.

Dwanaście lat pracował w jego gospodarstwie jako robotnik. Dobrze się sprawował. Nie ma nikogo w pobliżu, ani z krewnych, ani ze znajomych. Już od dłuższego czasu czuł się źle. Bolało go coś we wnętrzu. Dzisiaj od rana już parokrotnie omdlewał. Myśleli, że umrze. Ale nie.

Bez namysłu poszedłem do wskazanego mi pokoju. W przyćmionym świetle lam-

py leżał na łóżku umierający człowiek. Oczy miał zamknięte. Naznaczona trudem i móżolem twarz nabierała w swojej nieruchomości majestatycznego wyglądu. W ręce, którą trzymał wyciągniętą na poscieli ujrzałem jakiś świstek papieru. Dowiedziałem się później, że był to list z Polski, od rodziny, przysłany przed kilku laty.

Jedyna, najdroższa pamiątka i świadectwo polskości.

Pochyliłem się nad nim i powiedziałem półgłosem:

— Dzień dobry panu!

Boże! Nie sposób mi opisać tego wrażenia, jakie te słowa na nim sprawiły. Zdawało się jakby jakiś kurcz przedzgonny zatargał nagle jego ciałem. Otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie.

I zobaczyłem w oczach tego człowieka całą duszę, radość i cierpienie; całą mękę lat przeszłych, całą tęsknotę spaloną żarem serca i przesiąkniętą łzami.

Patrzył na mnie dość długo. Nie przerywałem tego milczenia.

Czułem, że było ono konieczne. Po pewnej chwili zaczął mówić coś, czego z początku nie rozumiałem.

Wreszcie opanował trochę wzruszenie. Wyciągnął ku mnie rękę i rzekł:

— Polak?

— Polak, serdeczny druh wasz i przyjaciół — odpowiedziałem z przejęciem.

— Siadajcie... siadajcie, o, Jezu!

Po ziemistej twarzy stoczyły się duże łzy.

...I rozpoczęła się opowieść polskiego wychodźcy, taka, jak inne — szara, zabita pracą, gonitwą za chlebem po różnych ziemiach, wśród różnych ludzi, długa, nieskończona — przerywana tylko ciężkim westchnieniem, chrapliwym jękiem i niespokojną ciszą.

Mijały godziny. Noc zapadła głęboka nad światem. A tam, na odludnej fermie, rzuconej między Charny i Seraucourt, spowiadał się po raz ostatni samotny rodak, ze wszystkich cierpień i radości swego życia.

Nie mogłem odejść. Obrazy i słowa zapadały mi głęboko w duszę. Siedziałem, jak przykuty do łoża, i powtarzałem z mocą:

— Nie zapomnę.

— I powiecie?

— Powiem.

— To dobrze.

Trzymał moją rękę w swojej i mówił, mówił coraz wolniej, aż wreszcie ucichł zupełnie.

Zgrubiałe, zapracowane palce wyprostowały się gwałtownie.

Umarł.

Z wyciągniętej sztywno dłoni wyjąłem mu poślizgnięty świstek listu i przeczytałem:

„... a kiedyś się ta już ostał nimcym, francuzym, albo inakszym człekim — to byśmy cie już stracili na zawsze i nawet w niebie, ani w czyściu już nie poznali, jako swego“.

Połykając łzy szczerzego wzruszenia, zawołałem na patrona.

Dziewczę z cmentarza.

Chłodny wietrzyk wiosenny wiał leciutko, przynosząc ze sobą echa nieudolnych jeszcze przyrody i odgłosy wsi gotującej się do spoczynku. Gdzieś od boru szedł tęskny ton fujarki rozmarzonego grajka. Czuć było w tonach rozkochane serce młodzieńcze, tchnące niezmierną miłością i tęsknotą... Wtórował mu chór ptactwa rozśpiewanego, cieszącego się życiem, które niebawem miało umilknąć. Ziemia pławiła się w delikatnej poświacie księżycy, który z lasu wyłonił swą uśmiechniętą twarz.

Jego dyskretne światło wdarło się do zacisznej altanki i oświetliło dwoje młodych ludzi, miłośnię przytulonych do siebie.

Upojeni nocą wiosenną marzyli i śnili cudną baśń o szczęściu, bo za tydzień już mieli się połączyć dożgonnym węzłem małżeńskim. Ślub... wesele, ileż wzruszeń dla młodej dziewczyny, jeszcze tydzień i pójdzie z chaty rodzicielskiej, przeniesie się do leśniczówki, do jego domu, by dzielić z nim dolę i niedolę...

Kochała swego Stacha nad życie, był jej wszystkim na świecie i zawsze z tęsknotą oczekiwała tej chwili, lecz dzisiaj jakiś niewytłumaczony lęk wkraść się do jej serca.

Lica Anusi zawsze pogodne i rumiane, dziś były bledziutkie, a oczy patrzyły z trwogą i smutnie... Bezwiednie przygarnęła się do niego, jakby lękając się go utracić i odezwała się cichutko:

— Stasiu, ja... ja boję się... tak boję się utracić ciebie...

Drgnął na te słowa, gdyż i jego duszę gnębiło przecucie jakiegoś nieszczęścia, lecz mimo to począł ją uspokajać najczulszymi wyrazami i pieścizotami.

Pod wpływem wzajemnych pieścizot prysł wkrótce smutny nastrój i czas im biegł bardzo szybko!... Zegar, który z wieży kościelnej wydzwonił godzinę dwunastą, wyrwał ich z tej miłosnej ekstazy. Stach podniósł się z ławki z pożegnaniem, chcąc odejść... Nie pozwoliły mu na to białe ramiona Anusi, oplatające miłośnię jego szyję. Usta ich złączyły się w długim serdecznym pocałunku... Ciężko im było rozstać się... prawie przemocą wyrwał się z tych słodkich więzów i z żalem oddalił się.

— Dobranoc najdroższa! — wyrzekł już z drogi.

— Dobranoc ci Stasiu! — wyszeptwała i długo, długo patrzyła za nim, dopóki jej nie znikł na zakręcie drogi.

Księżyc wypłynął już na pełne niebo, gdy Stach wszedł do lasu, chcąc skrócić sobie drogę do domu. Cisza była wokół, tylko gdzieś w wiklinie nad rzeką nucił jeszcze słowik.

Stach szedł rozmarzony, z głową spuszczoną w dół, wtem nagle posłyszał jakieś szmery i głosy. Przystanął chwilę i nasłuchiwał, potem skierował swe kroki na małą polanę, skąd dochodziły go owe szmery, i ujrzał dwóch kłusowników niosących sarnę, złapaną w sidła.

Podrażniony tym, co zobaczył, nie namyślając się wiele, zerwał strzelbę z ramienia i krzyknął gromko:

— Stój!

W odpowiedzi na to huknął strzał.

Stach złapał się za piersi, ciemno zrobiło mu się w oczach i bezwładny runął na ziemię...

Z brzaskiem dnia zerwała się Anusia z posłania, głowa bolała ją nieznośnie, gdyż prawie całą noc oka nie zmrużyła.

Przecucie nieszczęścia, które nurtowało jej duszę, nie odstąpiło ani na chwilę. Pchana jakimś wewnętrznym nakazem, ubrała się szybko i gorączkowo pobiegła znaną drożyną ku lasowi.

Chaos miała w głowie.... Nie mogła myśli zebrać, gdzie idzie i po co? Wczorajsze pieszczoty i pocałunki i ten ból nieznośny, który targał sercem, zlały się w jakąś niesamowitą udrękę.

Prawie instynktownie skrzyła na ową polanę i.... nagle.... zadrżała cała.... skamieniała... tam... tam leży jej Stach! Ręce rozpaczliwie wplotła we włosy i z okrzykiem: Stachu! — runęła obok niego w niewysłowionym bólu.

Pieściła i całowała jego ręce i twarz, szukając oczyma rany... spostrzegła ubiór jego krwią przesiąknięty, rozpięła go szybko i przyłożyła rękę do serca, czy bije... Nadzieja targała jej sercem... On żyje i może zdoła go uratować!

Pędem podbiegła do pobliskiego strumyka, zaczerpnęła wody do jego czapki, delikatnie obmyła mu ranę i szepcząc pieśczołliwie:

— Stasiu, Stasienu! — zwilżała mu usta i twarz.

Naraz on poruszył się, wróciła mu isierka przytomności, powoli otworzył powieki i patrzył na chwilę nieruchomo, poczem zamglone jego źrenice spoczęły na zaciśniętej z bólu twarzy Anusi. Usta jego blade złożyły się do uśmiechu i wyszeptał:

— Anusiu!...

Biednej Anusi serce pękało...

— Co, co? — odrzekła, przemów... — jęczała żałośnie.

On ostatnim wysiłkiem podniósł jej dłoń i do ust przycisnął, lecz ręka opadła mu zaraz... sił zabrakło... Równocześnie zamknęły się powieki, usta już nie wymówić nie zdołały.... Błogi uśmiech rozlał się na jego twarzy i... skonał.

Anusia patrzyła na to obłąkanymi oczyma... szczęki zacisnęła kurczowo i tylko z piersi jej wydarł się głuchy dźwięk:

— Jezu!

W tym okrzyku był ostatni błysk świadomości. Biedna nieszczęśliwa dziewczyna dostała pomieszania zmysłów.

Bóg ulitował się nad nią! Straciła pamięć i pocucie ogromnego bólu, jaki w jej piersi szalał.

Oczy nie uroniły ani jednej łezki, obojętnie patrzyła jak go przenoszono do domu, jakoteż i na ceremonie pogrzebowe, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, tylko gdy posypały się grudki ziemi na trumnę Stacha, jakiś bolesny skurcz przebiegł jej twarz, ręce uczyniły ruch odpychający, jakby ta masa ziemi, która syłała się na trumnę, ją samą przygniotła...

Pamięci już nie odzyskała nigdy, świat dla niej przestał istnieć, grób Stacha był dla niej świątynią, z którą prawie że nigdy nie rozstawiała się.

Codzień kilka razy odbywała swoją wędrówkę na cmentarz, nosząc na mogile całe stosy kwiecica i ziela, śpiewając wieczorami niezrozumiałe smutne piosenki, w których skarżyła się Bogu ze swych cierpień!

I tak przemijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, aż pewnego wieczoru, gdy skrzepła ziemia ściśnięta mrozem styczniowym, umilkł śpiew z cmentarza...

Zasnęła na swym posterunku... zasnęła, by się więcej nie obudzić...!

A wiatr zimowy huczał sobie dalej nieśmiółnie, przerywając chwilami swoje dzikie tony, jakby nadśłuchiwał i dziwił się, czemu już umilkł śpiew biednej dziewczyny z cmentarza...?



W restauracji.

— To chyba sztuczki! Czary jakieś! — dobiegły mnie słowa, wypowiedziane przy sąsiednim stoliku.

Wyszły one z ust ponurego mężczyzny o czarnych zmokłych wąsach i szklistym zdumionym spojrzeniu.

Czarne, mokre wąsy, włosy, opadające niemal na brwi, i szkliste spojrzenie świadczyły niezawodnie o tym, że posiadacz wymienionych skarbów był skończonym głupcem.

Był głupcem w potocznym i oczywistym znaczeniu tego wyrazu.

Jedn z kompanów jego nalał sobie piwa, zatarł ręce i powiedział:

— Jedyne tylko zręczność i szybkość rąk.

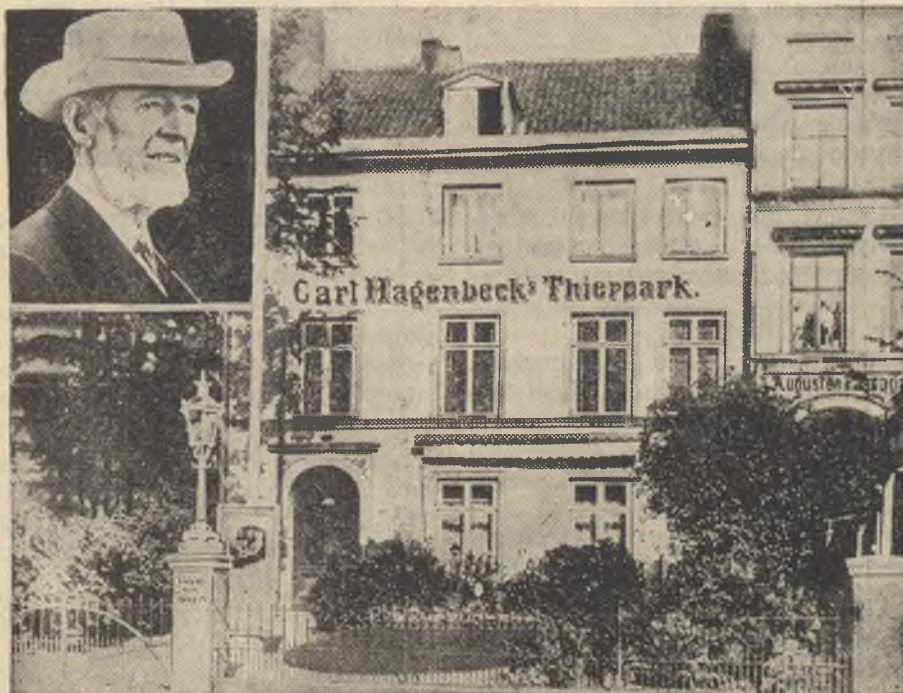
— To czary! — upierał się brunet, żując zawzięcie wąsy.

Mężczyzna, zachwalający jedynie zwinność rąk, spojrzał drwiąco na trzeciego w tym towarzystwie i zawołał:

Ogród zoologiczny Hagenbecka w Hamburgu.

Najstłynniejszym ogrodem zoologicznym który znany jest na cały świat, jest ogród Hagenbecka w Ham-

podbiegunowych krajów lodowych, i wszelkie inne gatunki zwierza nawet już dosyć rzadkiego. Na rycinie



burgu. W ogrodzie tym znajdują się najokazalsze egzemplarze zwierząt z całego świata. Znajdziemy tam zwierzęta z puszczy afrykańskiej,

naszej widzimy dom w którym znajduje się ogród zoologiczny i właściwie ogrodu Hagenbecka.

Gdy odpadły od spodni ostatnie guziki, brunet zadarł szyderczo nogi i położył je na stole.

— Pięknie! Chcecie, abym wam do-
wiedział, że to wcale nie czary?

Brunet posępnie się uśmiechnął.

— A czy pan jest, jakże go tam... pre-
— sti — di — gi — ta — torem?

— Najprawdopodobniej, skoro to mó-
wię! Chce pan, założę się o sto rubli, że
w ciągu pięciu minut odetnę panu wszyst-
kie guziki i poprząszysz je z powro-
tem?

Brunet nie wiadomo po co szarpnął gu-
zik przy kamizelce i powiedział:

— W ciągu pięciu minut? Obetnie pan
i przyszyje? Niewiarygodne!

— Najzupełniej wiarygodne! A więc za-
kładamy się o sto rubli?

— Nie, to za dużo! Mam tylko pięć.

— Wszystko mi jedno... Można mniej
— zgadza się pan na trzy butelki piwa?

Brunet uśmiechnął się zjadliwie.

— Przegra pan przecież?

— Kto, ja? Zobaczmy!...

Podał rękę, uściśnął kościste palce bru-
neta, a trzeci z ich grona przeciął ręce.

— Patrzcie tylko na zegarek i pilnuj-
cie, żeby to nie trwało dłużej, niż pięć
minut!

Wszyscyśmy byli zaintrygowani, i na-
wet senny kawaler, którego posłano po
talerz i ostry nóż, otrząsnął się z odrę-
twienia.

— Raz, dwa, trzy! Zaczynam!

Człowiek, podający się za żonglera,
wziął nóż, podstawił talerz i wrzucał tam
obcinane guziki od kamizelki.

— Czy ma pan także przy marynarce?

— Oczywiście!... Z tyłu, na rękawach,
koło kieszeni.

Guziki sypały się dźwięcznie na talerz.

— Przy spodniach też mam! — pokła-
dał się ze śmiechu brunet. — I przy ka-
maszkach!

— Dobrze, dobrze! Myśli pan, że chcę
sobie przywłaszczyć któryś z guzików?...
Niech pan będzie spokojny, wszystkie po-
bocinam!

Górne części ubrania pozbawione zosta-
ły „elementu łączącego“, powstała przeto
możliwość przejścia do dolnych części.

— Przy kamaszkach mam osiem guzi-
ków. Zobaczmy, czy je pan zdąży przy-
szyć?

„Żongler“, nic już nie odpowiadając,
wymachiwał gorączkowo nożem.

Otarł szybko mokre czoło i postawiwszy
na stole talerz, na którym — niby jakieś
nieznane jagody — leżały różnokolorowe
guziki i spinki, burknął:

— Gotowe, wszyściutkie!

Kelner klasnął z zachwytem w dłoń:

— Osiemdziesiąt dwie sztuki. To ci
chwat!

— Teraz przynieś mi igłę i nici! — roz-
kazał żongler. — Jazda, prędko!

Trzeci z kompanów zaczął wymachiwać
zegarkiem i niespodzianie zamknął, na
znak wieczko.

— Za późno! Skończone! Minęło pięć
minut. Przegrał pan!

Ten, do kogo te słowa były zwrócone,
cisnął ze strapieniem nóż.

— Do kroćset! Przegrałem!... Ha,
trudna rada!... Kelner! Proszę na mój
rachunek dać tym panom trzy butelki pi-
wa i jednocześnie poproszę o rachunek.

Brunet zbłądł.

— Do - dokąd pan idzie?

„Żongler“ ziewnął.

— Do łóżka... Spać mi się chce dia-
belnie. Namorduje się człek w ciągu dnia...

— A... guziki... przyszyć?

— Co? Po cóż miałbym je przyszywać,
skoro przegrałem... Nie zdążyłem, cóż na
to poradzę... Przegrane piwo uczciwie po-
stawiłem... wszystkiego najlepszego!

Brunet wyciągnął błagalnie ręce za od-
chodzącym i przy tym geście, — jak sko-
rupa z wykluwającego się kurczątką —
opadły z niego szatki. Podciągnął z zaże-
nowaniem spodnie i z przerażeniem za-
czął mrugać oczyma:

— O, Bo - że mój! I cóż teraz będzie?

Co się z nim stało, nie wiem.

Wyszedłem równocześnie z trzema z
tego grona. Najwidoczniej człowiek bez
guzików pozostał sam przy stoliku.

Nie znając się z sobą osobiście, stanęli-
śmy na rogu ulicy, jeden na przeciw dru-
giego i zaśmiewaliśmy się długo bez słów.

WIERNY SŁUGA.

I.

— Natychmiast pana zamelduję Jego Ekscelencji — mówił, kłaniając się, sługa. — Za chwileczkę. Proszę momentek poczekać.

— Czy jest ktoś u niego? — spytałem.

— Tak jest. Pan prezydent. Zdaje mi się, że zaraz wyjdzie.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu.

To mówiąc, wsunąłem w jego rękę sztukę srebra. Ale sługa oddał mi ją z powrotem.

— Dziękuję, panu sir Randolph. Spełniam tylko swój obowiązek.

Był to rodzaj „chłopca do posyłek”. Szczupły, wąski w ramionach, jasny blondyn o bystrych oczach, na sobie miał czarną, zniszczoną liberię.

— Jak ci na imię, przyjacielu? — zapytałem.

— Lazarillo. Tak mnie tu nazywają.

— Zatem nie pochodzisz z tych okolic?

— Nie, nic podobnego — roześmiał się.

— Ale pójde już pana zameldować. — Odchodząc, obejrzał się na mnie.

Ściany pokoju, w którym się znajdowałem, pokrywała licha, jaskrawa tapeta, jasno-zielonego koloru. Na jednej z nich wisiało wielkie weneckie lustro z bukiem sztucznych kolorowych kwiatów, wetkniętym w ramę. Na małym, pozłacanym stoliku stała stara lampa naftowa, zaś z sufitu zwieszała się duża gazowa. Poza tym nic godnego uwagi.

Jakież to setki i tysiące podobnych poczekalni można spotkać na każdym kroku w Wiedniu, Paryżu, nawet u nas, w Londynie. Tylko, że ta właśnie poczekalnia, ta salka urządzona z tanim komfortem, salka, jakich pełno we wszystkich miastach Europy, znajdowała się w mieście Sanjagore, w stolicy najdzikszego stanu południowej Ameryki, stanu Otlacta, Stan Otlacta... tak, kiedyś, kiedy byłem młody, tak młody, iż biło mi serce na widok spódniczek ślicznych mieszkank Londynu, wtedy stan Otlacta był krajem dzikim i zdawałoby się, nie do zdobycia. Dziś granice jego nie istnieją, zostały one wymazane ze wszystkich

map świata. Wtedy jednak znajdowałem się w owej poczekalni umeblowanej po europejsku, oddalony o tysiące mil od ojczyzny, w samym środku ciemnego, tajemniczego kraju Otlacta. Za chwilę miałem stanąć przed gubernatorem całego stanu, noszącym imię don Jago da Culloa. Dotąd stoi mi przed oczyma owa sala przyjęć. Gubernator był człowiekiem, z którym należało się liczyć. Mówiono nawet, że w razie potrzeby mógłby zasaszczać potężnego prezydenta republiki, generała Reyvona. „Reyvon chętnie porachowałby się z Don Jagiem”, tłumaczył mi raz pewien angielski oficer, „lecz liczy się z tym, że sam nie mógłby stawić czoła generałowi Hijavez. Tak więc dwaj wrogowie śmiertelni łączą się z sobą, aby przeciwdziałać temu trzeciemu, najgroźniejszemu”.

Jego Wysokość, Don Jago da Culloa, nie kazał długo na siebie czekać. Wkrótce wyszedł ze swojej kancelarii w towarzystwie prezydenta Reyvana. Generał Reyvan, był to niski, gruby człowieczek, o nader sympatycznej powierzchowności, zdradzającej wysoką inteligencję.

Don Jago również niski, ale drobny i śniady na twarzy, zęgnął się z prezydentem serdecznie i z pewną dozą uniżoności. Przechodząc obok mnie, rzucił mi przyjazne spojrzenie.

— Jego wysokość w tej chwili wróci, sir Randolph — rzekł Lazarillo, który stał obok mnie.

— Dziękuję ci, Lazarillo, — odpowiedziałem — jestem zachwycony twoją uprzejmością.

— Spełniam tylko mój obowiązek, panie — odrzekł sługa.

— Zapewne kochasz bardzo swego pana? — rzekłem po chwili.

Lazarillo spuścił oczy.

— Jestem gotów umrzeć za niego! — wyszeptał.

— Dzielny chłopiec z ciebie! — zawołałem przyjaźnie, klepiąc go po ramieniu.

W tej chwili wszedł do pokoju gubernator kraju. Miał na sobie popielaty mundur, zaś przy klapie widniała mała wstążeczka orderowa.

Zbliżył się do mnie, wyciągając serdecznie ręce.

— Cóż to za zaszczyt dla mnie, powitać pana, sir Randolphie, w moich progach! Nareszcie zdecydował się pan odwiedzić Sanjorge. Znam pana od dwóch miesięcy, tak, dwa miesiące temu przedstawiono mi pana na przyjęciu u generała Barauila. Niech pan sobie wyobrazi, że od tego czasu dzień jeden nie upłynął, bym nie myślał o panu. Kiedyż pan zjawił się u nas?

— Przyjechałem wczoraj wieczorem, Wasza Wysokość. Przybyłem wraz z moimi zwierzętami i zbiorami.

— No, a ci dragoni, którzy pana mieli przez kraj przeprowadzić?

— Niech pan mi tego nie weźmie za złe, Ekscelencjo, ale według mnie, to także są zwierzęta!

— Ach...?

— Ekscelencjo, — zawolałem — od dwóch miesięcy znajduję się w pańskiej ojczyźnie. Przez dwa miesiące zwiedzam góry i doliny, wspinam się na szczyty i spuszczałem w otchłanie, rozkopuję ziemię w poszukiwaniu zabytków, z których dałoby się odtworzyć przeszłość tego pięknego, tajemniczego kraju. Opowiem panu jeden tylko wypadek:

Otóż, w ostatnich dniach, kiedy już zbliżyliśmy się do bram stolicy, otoczyła nas banda czerwonoskórych, fantastycznie ubranych, którzy zaczęli strzelać do moich ludzi. Wywiązała się formalna bitwa. Porucznik dragonów zdobył szturmem jakieś wzgórze, a po paru minutach strzelaniny uciekł poprostu z całym oddziałem, zostawiając mnie i moje zbioru na łasce i nielasce opryszków. Pochwycono ich jednak wszystkich. Bandy ci, przyłożywszy nam do piersi nabite rewolwery, zabrali się do plądrowania drogocennych skrzyń i wozów. Wysypali na ziemię wszystkie, z takim mozołem zdobyte wykopaliny, rozrzucili na wszystkie strony, nie zważając na ich kruchość, grzebiąc w nich prawdopodobnie w poszukiwaniu rzeczy złotych i srebrnych.

— To z pewnością banda Hijaveza, — skinął głową naczelnik — robili rewizję pańskich rzeczy.

— Być może, — odpowiedziałem — ale

w zapale przewracania i niszczenia moich zbiorów zapomnieli o tym powiedzieć. Tak byli zajęci swoją pracą, że nie stało czasu na formalności.

— Nie wiedziałem, — śmiał się Don Jago — że Hijavez ma tak świetnie zorganizowane wojsko.

— Szkoda dałaby się powetować, gdyby nie to, że między innymi, mniej wartościowymi przedmiotami zrabowano mi bardzo cenny naszyjnik z drogich kamieni, na którym mi nadzwyczajnie zależało. Było to skończone arcydzieło niespotykanej piękności, a tym bardziej przykro mi, że je straciłem, gdyż niegdyś pisałem nawet książkę o tego rodzaju wyrobach. Chętnie oddałbym dziesięć lat życia, by odzyskać ten naszyjnik. Wyznaczyłem już wysoką nagrodę, byłem w tej sprawie u generała Bareuila, mówiłem z szefem policji, tłumaczono mi, że sprawy tej bez wywołania rozruchów załatwić się nie da. Mnie się jednak zdaje, że skoro się jest władcą jakiegoś kraju...

— Władcą jakiegoś kraju... — powtórzył ironicznie Don Jago. — Kiedyż to zajście mogło mieć miejsce? wczoraj? przedwczoraj? Wszak napadnięto pana pod murami miasta?

— Generał Barauil twierdzi, że cała ta sprawa odbyła się niedawno stąd.

— Ach, tak. Dobrze — rzekł Don Jago.

— Tylko zachodzi jeszcze pytanie, czy ta sprawa nie pociągnie za sobą groźnych konsekwencji. Pewnego dnia może się w moim mieście zjawić generał Hijavez i...

— I zechce zostać prezydentem — dookończyłem jego myśli.

— Nie — wstrząsnął głową Don Jago. — Hijavez prezydentem? To nie. Hijavez nigdy prezydentem nie będzie.

To mówiąc, zaśmiał się cicho, błyskając czarnymi oczyma.

— Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak najserdeczniej panu Don Jago, za zainteresowanie się moją sprawą podziękować i życzyć panu powodzenia w walce z Hijavezem i wszystkimi bandytami...

— Proszę, proszę, — śmiał się naczelnik — nie wymieniamy tak detailicznie życzeń... Bardzo panu dziękuję. A cóż pan teraz ma zamiar robić?

— Teraz udam się do mojej kwatery w domu konsula. A jutro rano wyjeżdżam do Anglii.

— Na „Mercii“? Czy zdąży pan tak szybko zapakować swoje zbory?

— Już są zapakowane. Jeszcze tylko parę mumij pozostało do opakowania. Siedem mumij znalazłem w górach pańskiego kraju i zabieram je z sobą do Anglii.

— Mumie? — zdziwił się Don Jago. — Czyż w naszej okolicy i ten rodzaj towaru można znaleźć?

— Tak Wasza Wysokość — odpowiedziałem. — Są to ciała, pochodzące jeszcze z czasów panowania Inkasów. Lud ten balsamował swoich zmarłych i umieszczał na dnie różnych przepaści. Tak pańscy przodkowie konserwowali swoich umarłych.

— Moi przodkowie, sir Randolphie, — mówił wolno Don Jago — moi przodkowie pochodzą z Hiszpanii. Niech pan o tym pamięta i nie myli ich z Indianami, których mumie są w pańskich rękach.

— Błagam o przebaczenie Waszą Wysokość. A zatem praindianie utrwalali w ten sposób ciała swoich zmarłych setki

lat przed pojawieniem się Hiszpanów na tej ziemi. Czy pan, Ekscelencjo, nie wiedział, że wszystkie jaskinie górskie w pańskim kraju są pełne podobnych mumii?

— Nie, nigdy o tym nie słyszałem.

— W Europie, w każdym prawie Panoptikum znajduje się kilka mumii. Niektóre okolice Południowej Ameryki obfitują w take zabalsamowane ciała, ale równie wspaniale zachowanych, tak niepokurczonych i dużych, jak tu w Otlacta, nigdzie nie spotkałem. Tubylcy musieli znać jakiś specjalny odrębny sposób balsamowania. Ale nie będę pana dłużej nudził tym tematem. Zapewne więcej Waszą Wysokość interesują ludzie żywi, niż umarli i to jeszcze zabalsamowani. Żegnam pana, Ekscelencjo.

Don Jago odprowadził mnie do drzwi. Przed wejściem stali na warcie dwaj negrzy, którzy na nasz widok sprezentowali broń. Promienie słońca odbiły się przy tym ruchu na lśniących lufach karabinów.

— Tak więc panu zależy na tym naszymyjniku — rzekł, podając mi rękę.

Pokiwałem z rezygnacją głową.



Drewniany kościółek na Słowaczych z roku 1502.

— Jestem wprost niepokieszony. Mówiłem już, oddałbym dziesięć lat życia, gdyby... Ale cóż, głową muru nie przebiję.

— Czy pan mówił o tym komukolwiek poza szefem policji i generałem Barauiem? Niech pan dobrze pomyśli!

— Nie, z nikim więcej nie mówiłem o moim utraconym skarbie.

— Czy pan jest najzupełniej pewny?

— Najzupełniej. Nic nikomu o tym nie mówiłem.

— Zatem niech pan zachowa milczenie i na przyszłość.

Skinieniem przywołał jednego z murzynów.

— Biegnij po Lazarilla; powiedz, że na niego czekam, niech się pośpieszy!

— A więc Bóg z panem, sir Randolphie!

Następnego ranka zjawił się w moim pokoju Lazarillo, jasnowłosy służący Don Jago. W ręku trzymał duże pudło od cygar. W pudle tym na podściółce z waty leżał naszyjnik z szafirów, naszyjnik, który cenilem więcej, niż dziesięć lat życia.

II.

Napróżno szukałem Don Jago. Nigdzie spotkać go nie mogłem. Po obiedzie jednak, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, zjawił się u mnie. Znajdowałem się właśnie w dużej sali jadalnej konsula, zajęty pakowaniem do skrzyń moich mumii. Don Jago poszedł do okna i suchymi, zczerniałymi palcami począł wybębniać marsza wojskowego na szybie. Niebo było pokryte gęstymi chmurami. Pod drzewami domu Lazarillo czekał na swego pana.

— Jakże panu jestem niewymownie wdzięczny, Ekszelencjo! — powtarzałem po kilka razy. — Nie ma rzeczy, której bym dla pana nie zrobił, by się odwdziżyć za tę przysługę!... Martwi mnie, że nie mogłem wynagrodzić odpowiednio pańskiego służącego. Zwrócił mi wszystko, co mu chciałem dać, mówiąc, że nic mu się nie należy, gdyż spełnia tylko swój obowiązek.

— Zostawmy już tego biedaka Lazarilla — przerwał Don Jago, wzdychając. — Lazarillo jest fanatykiem obowiązkowości. Nie urodził się w tym kraju. Ufam mu, jak samemu sobie. Jest wierny i od-

dany jak pies. Potrafiłby mordować innych, lub sam zginąć, poszedłby w piekło dla swego pana. Gdy mu poleciłem poczynić pewne kroki w sprawie naszyjnika...

— U kogo? — wpadłem mu w słowo — u szefa policji?...

— Co panu do tego? Cóż u diabła! Cemu pan się miesza w nieswoje rzeczy!

Odwrocił się ode mnie, wzruszając ramionami i zaczął znowu bębnić w szybę. Nagle spojrzenie jego padło na wielki stół, gdzie w nieładzie porzucone, nawpół zapakowane, leżały moje mumie.

— Ach!! — krzyknął nagle. — Co to jest?

— To tylko mumie, Don Jago — odezwałem się uspokajającym tonem. — Mumie zawinięte w prześcieradła.

— Jakie to okropne... — rzekł cicho — wyglądają jak... jak szereg żołnierzy ustawionych pod murem... jak szereg żołnierzy.

Wzdrygnął się i skulił. Następnie poszedł do stołu.

— To ciekawe — rzekł po chwili. Uspokoił się nieco, ale głos jego był jeszcze drżący i cichy. — Ciekawe. Przypuszczam, że gdyby ktoś długo z umarłymi przestawał, to w końcu spokój śmierci, jej bezwład i wieczna cisza zaczęłaby się wydawać rzeczą zupełnie naturalną. Człowiek ruszający się, mówiący, jednym słowem, żywy człowiek wydawałby się jakimś niesamowitym, upiornym zjawiskiem. I własne ruchy, własne żywe ciało stałoby się czymś obcym i niepokojącym. Każdy ruch przyprawiałby o trwogę śmiertelną, sir Randolphie; w wiecznej ciszy śmierci człowiek sam lękałby się siebie. A po długim obcowaniu ze zmarłymi, po długim współżyciu ze śmiercią umarłby sam. Poszedłby do nich... do umarłych, z którymi życie spędzał... Czy zdarzyło się panu spać na polu bitwy? Nie? A mnie się zdarzyło... w młodości mojej spędziłem kiedyś jedną noc, jedną tylko noc między trupami. I rano, kiedy wzeszło słońce, nie mogłem wstać, nie mogłem się wyrwać z ich objęć. I nie wiem, jakby się to skończyło... Z tego stanu ocucił mnie głos rogu, wzywającego

do apelu. Zresztą... może to mróz nocny mnie tak ubezwładnił. Można i tak tę historię wytłumaczyć. Kto wie?

— Jak pan wzburzony, Ekscelencjo...

— Nie, to nie wzburzenie, sir Randolphie. To, jak gdyby zimny dreszcz lęku, dreszcz trwogi śmiertelnej, wstrząsający moim ciałem, to rozpacz i czarne zwątpienie, od którego drży moje serce. Ja nie jestem wzburzony. Ja się boję, sir Randolph! Czy pan rozumiał? Ja się boję!!

— Chyba przecież nie tych mumii, Don Jago?

— Niech cię diabli porwą! Mumii!! Czyś pan oszalał? To są złe przeczucia. Stoimy u progu strasliwej katastrofy. Miałem pod sobą osiem tysięcy ludzi zdecydowanych na wszystko. Rano wszędzie był spokój i porządek. A po południu... Jestem zgubiony. Wszystko przepadło, sir Randolphie, wszystko przepadło!!

— Don Jago... — podtrzymywałem chwiejącego się naczelnika — a Hijavez?... — Zginał. Wojsko zbiegło się ze wszystkich stron i złączyło razem. Nicby ich nie powstrzymało. Osem tysięcy ludzi!!

— Ależ to jakaś plotka! To być nie może! Ja nic nie rozumiem! Kto został zabity? O czym pan mówi?!

— Ależ to jakaś plotka! To być nie może! Ja nic nie rozumiem! Kto został zabity? O czym pan mówi?!

Milczał przez chwilę a potem rzekł:

— Niech mnie pan podtrzyma, sir Randolphie. Siły mnie opuściły. Opowiem panu wszystko. Przygotowano rewolucję. W ostatnich tygodniach Hijavez nie stał już na czele buntu, stanowisko to wydało mu się zbyt niebezpieczne, zatem miejsce jego objął ktoś inny. Odtąd zależał on bezwzględnie od faktycznej głowy rewolucji. Gdyby Hijavez utrzymywał wojsko w porządku jeszcze przez parę dni, gdyby się był nie dał zamordować, może jutro jego dowódca zostałby prezydentem stanu! A tak... wszystko przepadło, panie, wszystko już przepadło!...

— Dobrze, ale co to ma znaczyć? — zapytałem. — Nie rozumiem, czego pan żałuje? Gdzież się znajduje ten tajemniczy komendant?

— Tu, w Sanjagore. Więcej: w tym domu! Szuka u pana schronienia!!

— To nieprawda, Don Jago! — wy-

krzyknąłem. — Nikt u mnie schronienia nie szuka i nikt go u mnie nie znajdzie!

— Pan tego nie zrobi?... Pan mnie nie schroni u siebie?... — wyszeptał, zakrywając twarz rękami.

— Pan... pan... Ekscelencjo... Pan był naczelnikiem buntu? zbuntowanego wojska?

— Tak — rzekł, podnosząc się, Don Jago. — Tak, ja. — Jego głos dźwięczał donośnie. — Ja jestem nim i byłem, tylko i jedynie ja.

— Ależ to jest... to się u nas nazywa zdrada... pan wie? Don Jago, pan wie o tym?

— Tak, wiem. U nas nazywa się to tak samo. I niech pan nie sądzi, że kara u nas jest mniejsza, niż gdziekolwiek. Przeciwnie. O wiele mniej ceremonij będą sobie z nami robili. Poszedłbym chętnie generałowi Hijavez na rękę. Wszystkoby się udało, gdyby...

Ukrył twarz w rękach.

— Byłaby to afeta na wielką skalę...

— Czy pada na pana jakie podejrzenie, Don Jago?

— Prawdopodobnie tak. Ale nie mają dowodów w rękach. Żadnych dowodów. Wszystko robiłem sam, lub przy pomocy Lazarilla. W ostatnich dopiero dniach zacząłem się porozumiewać listownie, również za jego pośrednictwem. Jemu też poleciłem odnalezienie pańskiego naszyjnika. Było to wczorajszej nocy. Ktoby to pomyślał! Przypuszczałem, że mnie jednak zaczynają podejrzewać, zbyt bowiem wiele czasu spędzałem w górach i na wsi u krewnych. Na razie było cicho, ale każdy gwałtowny krok, uczyniony przeze mnie, przechyliłby większą część ludności na moją stronę i gdyby tak jeszcze Hijavez wkroczył do miasta, to... i to właśnie przeczuli ci ludzie. Z jakąż rozkoszą zapłaciłbym prezydentowi za jego gorące zainteresowanie się moją osobą! Zapłaciłbym kulami karabinowymi i kartaczami!! Tymczasem... musiał im jakiś list Hijaveza wpaść w ręce... i w ładnym teraz jestem położeniu! Nikt ze znajomych o moich planach nie wiedział. Jeden Lazarillo był moim powiernikiem. Teraz może kilkunastu chłopców z przedmieścia, którym kiedyś wyświadczyłem

pewne usługi, może przybiegnie mnie ratować. Może odbiją z więzienia, ale...

Zwiesił głowę.

— Jutro do Sanjagore wkroczy tysiąc żołnierzy — rzekł cicho. — Rząd zemści się srogo. Niech pan mnie ratuje, sir Randolphie. Na miłość Boską, niech mnie pan ratuje, nie uczyniłem panu przecież nic złego!!

— Przeciwnie, zaciągnąłem względem pana ogromny dług wdzięczności — odpowiedziałem z naciskiem. Oczy Don Jago załśniły nagłą nadzieją. Schwycił moje ręce.

— Niech się pan zastanowi. „Mercia“ wypływa z portu dziś wieczorem. Tu, w domu konsula, jest pan zupełnie bezpieczny. Nie ma pan żadnej rodziny, nie potrzebuje pan nikogo zawiadamiać. Niech pan każe Lazarillowi przynieść pańskie papiery i pieniądze i niech pan spokojnie czeka wieczoru.

— Wszystko mam przy sobie — szepnął Don Jago, patrząc na mnie z niepokojem.

— To upraszcza sytuację. Zatem tu i na pokładzie „Mercji“ nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Teraz pozostaje sprawa przedostania się do portu. Kapitan okrętu Harry Ransom jest moim serdecznym przyjacielem. Na moją prośbę da mi kilku marynarzy w celu przewożenia zbiorów na statek. Pańscy wrogowie nie ośmielą się niepokoić przedstawicieli władzy angielskiej...

— Sir Randolph, daruje pan, być może, jest pan świetnym archeologiem i etnografem, ale na podobnych sprawach nie zna się pan zupełnie. To jest, daruje pan, dziecinny całkiem plan. Naturalnie, pana, an, pańskich zbiorów nikt nie ośmieli się niepokoić, ale mnie nie potrafiłyby obrońić wszystkie armaty angielskie, coś dopiero trzej, choćby najdzielniejsi marynarze. Jeżeli panu nic innego do głowy nie przychodzi, to lepiej niech pan od razu strzeli mi w łeb, tu, w swoim domu. To będzie jeszcze, że tak powiem, najpolityczniejszy rodzaj wyjścia z sytuacji. Wedle tutejszych zwyczajów, śmierć, sama przez się miła, będzie mi w miarę możliwości przyjemniejsza. Pozostaje tylko jedna możliwość.

— Jaka?

— W jaki sposób przetransportuje pan swoje mumie do portu?

— Prawdopodobnie na wozie.

— Nie, to niedobrze obmyślane — rzekł Don Jago, śmiejąc się cicho i zjadliwie. Odzyskał już spokój zupełny, a oczy jego lśniły dziwnym blaskiem. — Nie pójdą wszystkie razem, zostaną przeniesione po kawałku. Niech pan lepiej poleci przenieść je robotnikom lub marynarzom. Siedmiu robotników — niech przeniesie siedem mumii, — oczy jego błyszczały jak dwa węgle, ósmą poniesie Lazarillo.

— Jest ich tylko siedem, Don Jago. Tylko siedem mumii posiadam.

— Ssst, nie tak głośno, sir. Randolphie, nie tak głośno! Ma pan osiem mumii, słyszy pan? Przyniesiono panu jeszcze jedną, czy pan rozumie? Tylko brak skrzyni ósmej, dla biednego trupa.

— Don Jago... czy pan...

— Wie pan, przypuszczam, że pan lubi grać w golfa na przykład. Gra pan zapewne dobrze, ale i panu zdarzy się zrobić jakiś błąd. Tu zachodzi tak zwany higher game. Niech pan mi wierzy i niech mnie pan zapakuje. Niech mnie pan zapakuje do skrzyni, jak wszystkie inne mumie. Resztę można zostawić Lazarillowi. Będzie pan rozmawiał z kapitanem tak długo, aż wyjedziemy z portu, tak długo, aż zginie panu z przed oczu ten przeklęty kraj. Potem może mnie pan rozwinać z moich prześcieradeł. Jak długo okręt stoi na kotwicy, po pokładzie kręca się urzędnicy celni i żandarmeria i tłumy ciekawych, wtykających wszędzie nosy. Chciałbym, wie pan, by rząd nie dowiedział się, w jakim kierunku uciekłem...

— Dość, Don Jago, dosyć — przerwałem mu. — Zatem Lazarillo?

Dałem mu w tej chwili znak, by przyszedł na górę.

— Czy pan nie ma tego za złe?

— Przeciwnie. Chciałem właśnie pana o to prosić. Gdyby mój służący był młodszy i silniejszy...

— Poleciłby mu pan przeniesienie mnie na okręt. Rozumiem i serdecznie dziękuję. Lecz zaufajmy Lazarillowi.

— Czy weźmiemy go z sobą do Europy?

— Nie, sir Randolphie. Muszę tu pozostawić chociaż jednego poddanego mi człowieka. Sądzę, że przecież kiedyś w przyszłości powrócę do Otlacta.

— I nie będzie się pan obawiał swych nieprzyjaciół?

— Już ja się nie zleknę... — rzekł z dwuznacznym, nieco cynicznym uśmiechem na ustach.

Lazarillo zapukał do drzwi, napół przykniętych.

— Wejdz-no, Lazarillo — zawołał Don Jago. — Chcę, byś zrobił pewną rzecz, połączoną z niejakimi trudnościami. Co do wynagrodzenia, to możesz śmiało liczyć tak na moją, jak na sir Randolpha wspaniałomyślność. Lazarillo, musisz ratować swego pana. Czy jesteś zdecydowany na wszystko?

— Rozumie się samo przez się — brzmiała odpowiedź. — To przecież mój obowiązek.

— Sprawa, która cię czeka, to nie zabawka, mój synu — rzekł mocnym głosem Don Jago da Culloa.

— To mój obowiązek — powtórzył służący. Ubrany był w prostą, ubogą odzież.

— Don Jago — odezwał się. — Nie trzymajmy Lazarilla w niepewności. Sprawa jest bardzo niebezpieczna. Chodzi o przemycenie Don Jaga, zapakowanego w skrzynkę, jako jedną z mumij, na pokład statku, odpływającego do Anglii. Musisz zatem przenieść go na plecach, aż do portu. Życzeniem twego pana jest, byś pozostał nadal w Otlacta, dokąd on po pewnym czasie powróci...

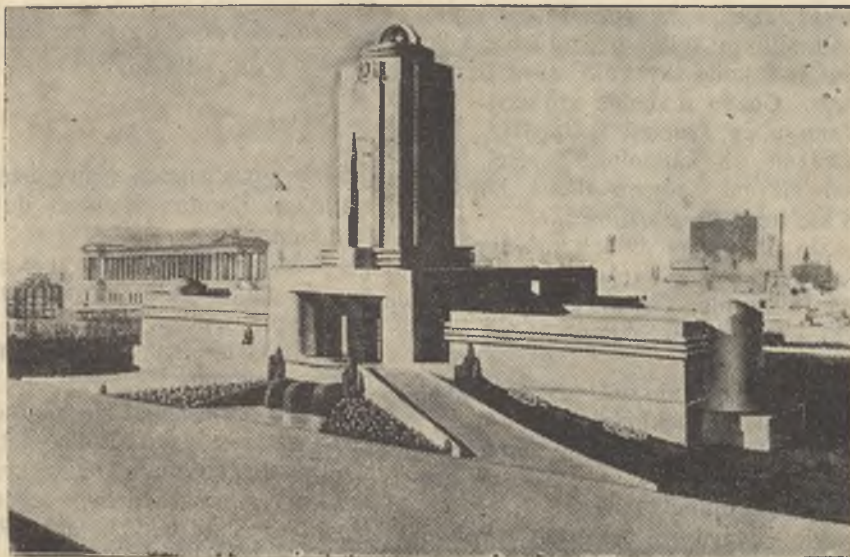
— Niech się pan o mnie nie troszczy, sir Randolphie — rzekł Lazarillo mocnym, dźwięcznym głosem. — Wszystko stanie się według rozkazu Jego Ekscelencji.

— Dziękuję ci, Lazarillo — rzekł Don Jago i podał dłoń słuzącemu.

— Spełniam tylko mój obowiązek — odrzekł Lazarillo i ucałował rękę swego pana. — Kiedy przybyłem tu z Brazylii i Jego Wysokość przyjął mnie do służby...

— Zostaw to, Lazarillo — przerwał Don Jago. — Nie ma teraz czasu na gadanie. Masz pieniądze? Proszę. Wystarczy?

Chicago, wystawa, budowla bez okien.



Wszelkie najdziwniejsze pomysły rodzą się w Ameryce. Na naszym obrazku widzimy dom wystawowy

Śląski kalendarz robotniczy.

zbudowany zupełnie bez okien, który oświetlany jest tylko światłem sztucznym.

— O wiele za dużo — mruknął lokaj.

— Posłuchaj jeszcze. Być może, tak się złoży, że i ty będziesz musiał uciekać. Zatem musisz mieć pieniądze na bilet jazdy i na inne wydatki. A teraz... gdzie te skrzynie, sir Randolphie? Wie pan, Lazarillo czuje się zobowiązany do wdzięczności wobec mnie, gdyż kiedyś tam był nie w porządku z rządem brazylijskim...

— Byłem żołnierzem — rzekł z westchnieniem Lazarillo. — I zostałem niewinnie posądzony. Mam narzeczoną w Brazylii. Dlatego muszę żyć dla niej. To mój obowiązek.

— Prędzej, Don Jago, prędzej — przyznał się do pośpiechu. — Tu jest skrzynia Waszej Wysokości.

— Nie jestem już żadną „Wysokością“ — rzekł Don Jago. — Jestem tylko ósmą mumią w pańskich zbiorach. Lazarillo, pomóż sir Randolphowi!

— To mój obowiązek — mruczał słuchający. Don Jago zaśmiał się i zniknął w głębi skrzyni.

III.

Zmierzaliśmy do portu. Pochyliłem się nad skrzynią Don Jaga.

— Jak się pan czuje? — spytałem.

— Jakoś idzie — zamruczało coś z głębi. — Prosiłbym tylko o zrobienie kilku otworów w ścianie skrzynki, gdyż bardzo mi duszno. Co za diabelne gorąco!

Na rogu ulicy szepnął Lazarillo:

— Uważnie, sir Randolph! Szpicel. Idzie za nami już od samego domu konsula. Trzeba się mieć na baczności.

Przeszło obok nas dwóch młodych ludzi. Przyglądali się bacznie robotnikom, niosącym skrzynie. Towarzyszyli nam aż do portu a w ostatniej chwili gdzieś przepadli.

Kapitan Ransom, uprzedzony o wszystkim, zjawił się na pokładzie.

— Stać! Ósma skrzynia do numeru 75 — rzekł do marynarzy. — Pokażcie drogę mister Lazarillowi.

Lazarillo twardym, rażącym krokiem przeszedł przez mostek i zniknął w głębi jasno oświetlonych drzwi.

— Nie oświetliliśmy 75-go numeru — objaśniał kapitan Ransom. — Nawet nasi marynarze nic nie zauważą.

Uściskałem jego dłoń. W międzyczasie zapadł mrok. Przygotowany do odjazdu statek chwiał się i kołysał. W ciemnościach dźwięczały łańcuchy kotwicy.

Lazarillo powrócił.

— Teraz proszę cię o ostatnią przysługę, Lazarillo, — rzekłem — to już ostatnia.

— Ostatnia... — powtórzył służący dziwnym głosem.

— Tak. Zrób jeszcze parę otworów w skrzyni.

— Według rozkazu. — Sięgnął do kieszeni. Wyciągnął pustą rękę i zwrócił się do mnie.

— Czy nie masz noża przy sobie? — spytałem. — Pożyczę ci mojego. Tylko prędko!

— Potem wyjdź na pokład i czekaj na sir Randolpha przy mostku — dodał kapitan.

Lazarillo został przez długą chwilę w numerze 75. Po tym wyszedł, rozglądając się za nami.

— Lazarillo — rzekłem, ściskając silnie jego rękę. — Jak ci mam dziękować...

— Pan robi więcej dla niego — odpowiedział. — A nie jest przecież niczym dla pana. Ja spełniam tylko mój obowiązek.

Statek wypłynął z portu. Na brzegu stał Lazarillo i długo wiał ku nam białą chustką...

IV.

Srebrzysta smuga piany ciągnęła się za statkiem. Kapitan Ransom dotknął mego ramienia.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu, — rzekł — to moglibyśmy pójść uwolnić mr. Culloa.

— Kapitanie, raz jeszcze okazał się pan nieporównanym...!

— Bah — zaśmiał się kapitan. — Przypuszczam, że panu Culloa dobrze się prowadzi. Co do mnie, to wszystko mi jedno, czy moi pasażerowie jeżdżą w skrzyniach, czy też w kabinach. Pozostawiam to ich własnemu gustowi.

Numer 75-ty był to mały, ciemny pokój. Kapitan niósł w rękę zapaloną lampę. W kącie stała skrzynia, długa i cicha.

— Don Jago! — zawołałem.

Milczenie.

— Cóż tam?... Don Jago...! Don Jago...!

Podniosłem wieko skrzyni i zanurzyłem w głąb ręce. Pod palcami poczułem wilgoć.

— Don Jago...! na miłość Boską... co to jest?... Co to ma znaczyć?...

Kapitan Ransom schylił się, przysuwając bliżej lampę. Następnie wyprostował się i powiedział:

— To krew.

V.

Oto leżał przed nami Don Jago da Culloa... nieżywy! W piersi jego tkwił nóż. Poznałem. Był to mój własny nóż. Prześcierała i skrzynia były zalane krwią, jeszcze ciepłą. Zabity został od jednego uderzenia nożem w serce. Usta jego pełne były krwi.

— Do diabła... zrobił otwory...! — rozległ się głos kapitana.

— To tylko obowiązek... — szepnąłem.

Don Jago milczał. On jeden nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. Niech odpoczywa w pokoju...

VI.

W trzy lata później znajdowałem się w Liverpools. Będąc pewnego dnia w por-

cie, spostrzegłem nagle jakiegoś eleganciego pana o jasno-blond włosach, który stojąc na pokładzie statku, odpływającego do Sanjagore, przypatrywał się uważnie mnie i memu towarzyszowi, admirałowi Balthyn. Admirał, spostrzegłszy go, skłonił się uprzejmie. Jasnowłosej jegomości zgiał się w głębokim, lokajskim ukłonie.

— Czy pan wie drogi przyjacielu, kto to jest ten pan? — zapytał Balthyn. — Przybył parę dni temu na pokładzie statku „Leneothea“ w jakichś sprawach dyplomatycznych. Nazywa się Capal. Nie służył nigdy w wojsku, był szpiclem policyjnym, pozostającym przez długie lata w służbie prezydenta stanu Otlacta, tego grubego Reyvana. Pan go zna? Otóż, oddał mu on nieopowiedziane usługi, mając stale na oku jego najgroźniejszego wroga. Człowiek ten chciał odegrać wielką rolę w rewolucji i wydać miasto w ręce zbuntowanych żołnierzy, tymczasem Capal zdemaskował go i chcącego zemknąć łotra usunął z powierzchni ziemi. Wkrótce po tym uczyniono go pułkownikiem i nadal pozostał prawą ręką Reyvana... czymś w rodzaju psa gończego. — Czemu pan tak zbłądził, sir Randolphie? Można tym człowiekiem gardzić, ale z innego punktu widzenia... cóż? on spełniał swój obowiązek! Tylko swój obowiązek!

Fraszki i żarty.

W szpitalu jest nowy szofer. Pierwszy raz wyjechał i przywiózł jednego chorego i dwóch rannych.

— Jakto? — dziwi się temu zarządca. — Przecież mi telefonowali, że tam jest tylko jeden chory.

— Tak, ale tych dwóch przejechałem w pośpiechu na drodze.

×

Mały Karolek nie może się nauczyć, ile jest dwa a jeden. Aby mu to uzmysłowić, nauczycielka mówi:

— Tak, tyś jest jeden, masz braciszka, toście są dwa, a gdyby bocian przyniósł jeszcze jednego braciszka, to co będzie?

— Z tym nie dałoby się już nic robić — mówi smutnie Karolek.

×

— Co wy pijecie w domu?

— My pijemy herbatę z rumem. Ja piję herbatę, a moja żona rum.

×

— Waszego psa złapano bez kosza na pysku. Urząd gminny wyznaczył albo 20 koron kary, albo 24 godzin aresztu. Więc co? Płacić, czy siedzieć?

— Niech idzie siedzieć, bestia, kiedy mi uciekł bez kosza.

×

Na pewnym zgromadzeniu byli dwaj złodzieje kieszonkowi.

— Miej się na baczności, bo tu są detektywi! — mówi jeden do drugiego.

— A jak to wiesz?

— Bom jednemu już wyciągnął kajdanki zamiast zegarka.

Piękna Ajsza córka kalifa.

Córki generała angielskiego, stacjonującego w Bagdadzie, skracaly sobie nużący pobyt w dawnej stolicy kalifa zwiedzaniem okolicy. Konno lub na wielbłądach z apartem fotograficznym u boku zapuszczaly się poza dolinę Eufratu, a towarzyszył im stale młody porucznik Lee.

Na jednej z takich wycieczek na dziedzińcu ruiny pewnego meczetu nad drogą do Kut-el-Amara panienki odkryły leżący w trawie biust.

— Jaka piękna! — zachwycala się nią Mabel.

— Cudowna! — potwierdziła Vally — to pewnie posąg jakiej bogini, poruczniku?

— Niezupełnie! — odpowiedział porucznik Lee. — Jest to biust pewnej księżniczki. Pytałem o to starego mahometanina. Imię jej było Ajsza.

— Szkoda, że leży w trawie! — westchnęła Mabel.

— A tak — odpowiedział porucznik — upadła przed wielu, wielu laty. Informator mój opowiedział mi o tym bardzo ciekawą historię.

— Musi nam ją pan koniecznie opowiedzieć! — zawołały obie panny.

— Tego niestety, mimo najszczerzych chęci, uczynić nie mogę! — wzbraniał się porucznik.

— Może pan, musi pan, drogi poruczniku! — prosiły panny, a prosiły tak gorąco, że porucznik wkońcu uległ i zaczął opowiadać:

— Księżniczka Ajsza była córką ostatniego władcy z dynastii Abassydów, rozmiłowanego w przepychu kalifa Abu-al-Raszida. Była ulubienicą dworu i narodu. Nie było dnia, aby o względy i rękę pięknej Ajszy nie ubiegał się władca któregoś z państw wschodnich.

Troskał się starzejący już Abu, który córkę kochał jak żenicę oka swego a któremu Allah nie dał potomka męskiego.

— Słońce wody szrebrzystej! — błagał swą córkę! — zdecyduj się! Powiedz mi, jak ma wyglądać ten, który wzruszy serce twoje, byś została jego małżonką a

państwo moje obdarzyła dziedzicem! Powiedz, a nie zaniedbam niczego, aby spełnić życzenie twoje.

— Ojciec z łaski Allaha — odpowiedziała wstydliwie zapłonią — pytasz, jakim powinien być mój najdroższy? Mam na to jedną odpowiedź: winien być zupełnie tak samo piękny, jak ja.

I od warunku tego nie odstąpiła. Lata mijały. Daremnie poruszano cały wschód, daremnie nieskończenie długie karawany kroczyły do Bagdadu, wioząc cenne podarki od ubiegających się o rękę pięknej a dumnej księżniczki. Żaden ze starających się nie zyskał względów, żaden nie odpowiadał bowiem temu warunkowi.

Zestarzał się kalif, ale i Ajsza była już przejrzałą nieco pięknoscią o obfitych kształtach. Wtedy nareszcie i po wielu latach przybył do kraju młodzieniec niezwykłej urody. Oczy miał niebieskie, jak wody Bosforu, cerę białą, jak śnieg. Był jakby szczęśliwym połączeniem delikatnego, uśmiechniętego typu kobiecego, z szlachetną męskością. A oprócz tego — dziwnad dziwy — podobny był do pięknej Ajszy, jak rodzony brat.

— To był jej brat! — przerwała miss Mabel.

A porucznik Lee opowiadał dalej:

— Abu na kolanach długo dziękował Allahowi i Prorokowi.

— Córkę moją! — mówił do Ajszy, a łzy radości płynęły po jego siwej brodzie. Allah wysłuchał mnie: młodzieniec ten podobny jest do ciebie, jak jedna kropla wody podobna jest do drugiej. Musisz go poślubić córkę!

— Ojciec, to niemożliwe! — odpowiedziała Ajsza — poślubić go nie mogę. Ale pragnienie twoje niechaj się spełni. Dowiedz się, — mówię to w cztery oczy — że masz już... dziedzica twego tronu. Ten młodzieniec jest — moim synem...

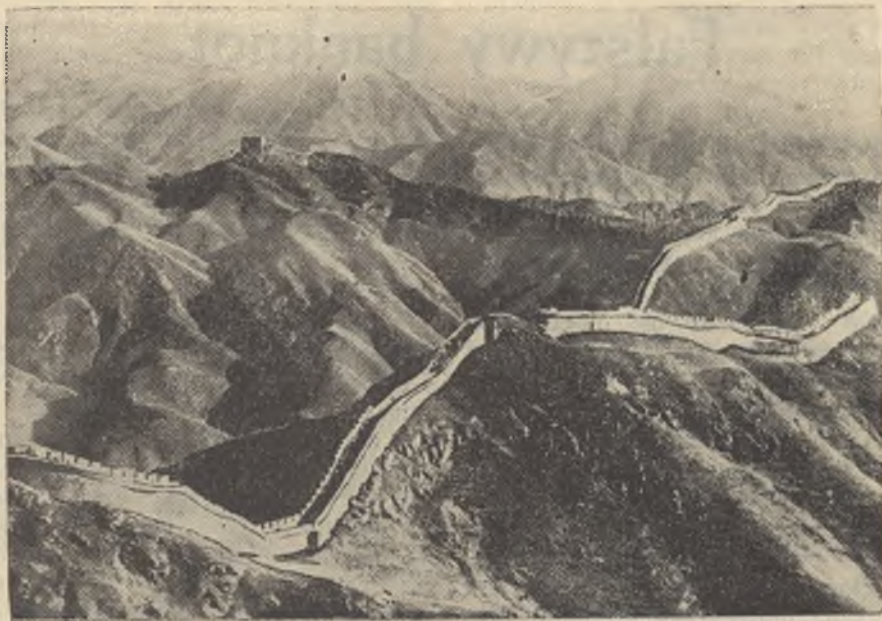
— Shoking! — zawołały obie panny, zrywając się z miejsc. — Ale Mabel wkrótce wróciła do równowagi i nastawiła obiektyw aparatu na leżący biust. — Pomimo to warto ją sfotografować!

Mur chiński, największym cmentarzem na ziemi.

Za największe budowy na ziemi uważano zawsze piramidy egipskie. Lecz po dalszym studiowaniu starożytności, przyszło się do przekonania, że piramidy egipskie są tylko zabawką dziecinną wobec słynnego muru chińskiego. Wielki mur chiński, jest prawie że 4.000 km długi, 6 aż 9 m wysoki, a szerokość w fundamentach wynosi 7 a pół a u wierzchu 4 i pół metra, to znaczy, że mogą po nim jechać dwa wozy lub pięć jeźdźców na koniach obok siebie. Mur pokryty jest dobrą cegłą lub też kamiennymi płytami,

by postawić mur naokoło kuli ziemskiej na równiku 40.000 km długi, 2.40 m wysoki a 0.90 m szeroki. Inżynierzy, którzy studiowali mur chiński koło Nankinu, orzekli, że koszt budowy w obecnym czasie wynosiłyby 400 miliardów liber szterlingów. (1 libra szterlingów — 140 Kcz).

To ogromne dzieło budowlane rozpoczął założyciel dynastii chińskiej w latach 220—200 przed Chrystusem, kiedy mu się udało zjednoczyć wszystkie feudalne państwa starych Chin, w Chiny dzisiejsze, w której to nazwie brzmi imię ich zało-



Mur chiński.

które spojęne są bardzo dobrym tynkiem. (Piasek i wapno). Fundamenta muru zbudowane są z granitu, na których stoją dwie mocne ściany, między którymi przestrzeń wypełniona jest gliną i piaskiem. Kiedy w roku 1790 zwiedzała wielki mur chiński misja lorda Macartneya, skonstatowano, że na wybudowanie chińskiego muru było potrzeba więcej cegły i kamienia, aniżeli na wszystkie budowy, jakie wówczas stały na wyspie Wielkiej Brytanii. Inny matematyk znowu wyliczył, że z cegieł i kamienia, które spotrzebowano na wybudowanie chińskiego muru, można-

żyć. Murem chciał chronić ziemię swoją przed napadami północnych barbarzyńców, którzy najwięcej jej zagrażali. Mur chiński budowany był także i z innych powodów. Otóż zjednoczenie państw feudalnych w jedno wielkie państwo chińskie, miało także i swoich przeciwników, którzy podburzali lud przeciw nowym władcom. Ażeby więc nie dopuścić do rozruchów, trzeba było niespokojne masy czemś zatrudnić, dlatego też postanowiono budować ów mur wzdłuż granic państwa. Jeńcy wojenni, więźniowie, nieuczciwi urzędnicy i nielojalni dostojnicy pań-

stwa, wszyscy znaleźli się pomiędzy robotnikami zatrudnionymi przy budowie muru chińskiego. W przeciągu 20 lat, pomimo różnych trudności potrafiiono mur wybudować i potrafiiono dokonać cudu. Aczkolwiek można dosyć dokładnie podać datę budowy muru, nie potrafiiono jednak ustalić ilości zatrudnionych przy budowie robotników. Niektórzy obliczyli liczbę robotników na jeden milion, inni historykowie chińscy powiadają, że było zatrudnionych trzech mężczyzn na każdym dzieściu, znowu według tradycji utrzymuje

się zdanie, że wszystkiego było zatrudnionych 60 proc. całego męskiego obywatelstwa Chin. Ponieważ praca miała być wykonana jak najprędzej, byli robotnicy popędzani do pracy przez srogich i bezwzględnych dozorców, z powodu czego zginęło bardzo dużo ludzi. Jeżeli któryś z robotników padł i umarł ze zmęczenia przy pracy, został pogrzebany w fundamentach muru. Była pogrzebana taka ilość robotników, że o murze chińskim można mówić jako o największym cmentarzu na ziemi.

Fałszywy banknot.

I.

Agentowi tajnej policji Rafaelowi dano polecenie rozwiązania dosyć trudnego zadania: wyszukać fałszerza wysokowartościowego banknotu, którym zapłacił pewien mężczyzna rachunek płatniczemu w winiarni „Split“. Bliższych szczegółów co do samego mężczyzny nie mógł sobie płatniczy przypomnieć. Płatniczy przyjął banknot za prawdziwy i wydał resztę, a dopiero przy oddawaniu pieniędzy właścicielowi winiarni, stwierdzono, że banknot jest fałszywy. Właściciel winiarni oddał banknot policji. W oddziale tym pracował detektyw Rafael, któremu oddano banknot i niedostateczny opis mężczyzny, który banknotem tym płacił. Był to mężczyzna może trzydziestoletni, średniego wzrostu, mówiący cienkim głosem. Więcej żadnych innych szczegółów.

Detektyw Rafael już dłuższy czas marzył o odznaczeniu i podwyższeniu gaży. Ciągłe myślał o jakimś zagadkowym wypadku, który by mu się udało rozwiązać i tym sposobem stać się bohaterem dnia.

Miał dużo znajomych a jego zwyczajem było wysiadywać w gospodzie, co było nawet połączone z jego zawodem. Kiedy otrzymał owe polecenie, przypomniał sobie zaraz znajomego Holma, który mu pewnego razu opowiadał, że w ich domu mieszka człowiek, który trudni się jakąś dziwną pracą. Jest to litograf, który mieszka w suterenie zupełnie sam, a gospo-

dyni widziała jak pracował na małej prasie i widziała u niego także kamień litograficzny, na którym były jakieś obrazki. Gospodyni było to podejrzanem, że kiedy pewnego razu przyszła do niego po zapłatę za wodę, przedkrył ów kamień wielkim papierem.

To było wszystko, co się Rafael dowiedział, kiedy otrzymał fałszywy banknot i polecenie rozpoczęcia śledztwa. Natychmiast postanowił, że śledztwem zajmie się z całą energią i poświęceniem. Najpierw stwierdził, że we wskazanym domu mieszka faktycznie litograf Swak, który obecnie jest bez posady, a przebywa w mieszkaniu zupełnie sam. Poszedł więc do Swaka pod pozorem, że niby kogoś w domu tym szuka. Kiedy przyszedł do niego, ujrzał naprawdę litograficzne urządzenie z małą ręczną prasą. Więcej nie potrafił wyśledzić, ponieważ Swak widośnie nie życzył sobie w mieszkaniu nieznanego gościa i zastąpił mu drogę w progu, pozbywając się go wyjaśnieniem, że człowiek tego nazwiska, którego on poszukuje w tym domu nie mieszka. Sposób, jakim starał się Swak pozbyć Rafaela, wzmocniło w nim jeszcze bardziej podejrzenie, że jest na prawdziwym tropie fałszerza tysiąc-koronowego banknotu. Postanowił więc prowadzić śledztwo dalej w tym kierunku.

Nie można było jednak ponownie pójść do litografa, ponieważ poraz drugi był by

go poznał, co mogłoby całe śledztwo utrudnić. Nie można było Swaka wezwać także ani do urzędu, albowiem nie było do tego żadnego zasadniczego powodu. Rzeczy, które u niego widział, były to jakieś rysunki, fotografie, klisze i flaszeczki, ręczną prasę drukarską, co wszystko wzbudziło w nim pewne podejrzenie. Człowiek ten musi nad czymś obecnie pracować w domu, nie mając innego zatrudnienia. Może że pracuje nad czymś, co mogłoby Rafaela zainteresować. Powziął więc pewne postanowienie. Miał przyjaciółkę, lecz nie taką, którą mógłby pojąć za żonę. Na imię było jej Wilhelmina, i wiedział, że jest do niego bardzo przywiązana. Dla niego uczyniłaby ona wszystko. Postanowił zatem skorzystać z jej miłości do niego i przez nią wysledzić co właśnie robi w swoim mieszkaniu litograf Swak. Gdyby faktycznie był na prawdziwej stopie, opłaciłoby się za to Wilhelminę poślubić. Włożył zatem fałszywy banknot do aktówki i poszedł do telefonu, żądając połączenia z mieszkaniem Wilhelminy.

II.

O tej, tak niezwyklej porze zaproszenie na schadzkę i to jeszcze telefonicznie? Stało się coś takiego? Była blondynka, o których mężczyźni twierdzą, że nie są namiętnymi. W Rafaelowi widziała mężczyznę, w którego honor wierzyła nade wszystko, a to przypisywała także i jego powołaniu jako detektywa. Niekiedy budziło się w niej poczucie, jakoby Rafael ją lekceważył i dlatego chciała mu udowodnić jak bardzo jej na nim zależy. Nie była to prawie miłość, lecz blondyny postępują w miłości zawsze swoją drogą.

Kiedy przyszła do Rafaela a ten jej powiedział o co chodzi i pokazał jej fałszywy banknot, powiedziała cicho:

— To znaczy, że sobie życzysz, ażebym z tym człowiekiem nawiązała znajomość.

— Tak jest. Tym sposobem dostaniesz się do jego mieszkania. Tam wszystko uważnie zbadasz, do czego dam ci odpowiednie wskazówki... To znaczy, że jeżeli zadanie to nie jest dla ciebie za trudne,

— Jeżeli tobie nie sprawia to trudności taką pracę mi powierzać...

— Przecież cię znam. Jest to dowód zupełnego zaufania do ciebie.

— Co będzie, jeżeli nie uda mi się z człowiekiem tym nawiązać znajomości? Jeżeli nie będzie mną się w ogóle interesował? Nie wydaje ci się sprawa ta dla mnie cośkolwiek za trudną?

— Wszystko ci zarządę. Przyjdziesz do niego zupełnie zwyczajnie i powiesz mu, że słyszałaś, iż ma się z mieszkania tego wyprowadzić, a ty chciałabyś pokój ten wynająć. Odpowie ci, że to nieprawda, lecz ty już wykorzystasz sytuację i powiesz mu, że jesteś jeszcze panną...

Panna Wilhelmina spojrzała jakoś niedowierzająco na Rafaela. Tego on jednak nie zauważył, ponieważ był zajęty swoim planem. Nareszcie przyrzekła, że spełni to, czego żąda od niej.

Zaraz na drugi dzień poszła do Swaka i powiedziała mu, że słyszała, iż ma się z mieszkania tego wyprowadzić. Widziała także i to co jej przed tym powiedział już Rafael: litograf, człowiek wyższego wzrostu, może trzydziestoletni i miał dzwiczny tenorowy głos. Zaczął z nią się bawić. Patrząc na nią oczyma, które potrafiły ocenić kształty kobiece, albowiem był także i malarzem i odezwał się do niej:

— Przepraszam bardzo, ale panią mógłbym potrzebować. Mam sporządzić afisz reklamowy dla pewnego zakładu kąpielowego, do czego by się obraz pani nadzwyczaj nadawał.

Patrzył na nią, jako na faktycznie interesujący obraz. W słowach jego nie było żadnej natrętności. Przemawiało z niego tylko poczucie piękna. Wilhelmina tymczasem myśli: — Gdyby on tak wiedział... I już przestała wierzyć, że człowiek ten mógłby być fałszerzem banknotów.

Miała przy sobie ów fałszywy banknot, który dał jej Rafael, ażeby w razie gdyby coś znalazła mogła jeden z drugim porównać. Naraz ogarnęła ją chęć ażeby się zapytać, czy on jest tym mężczyzną, którego poszukuje policja. A zarówno miała także i ochotę, ażeby mu wyznać prawdę w jakim celu do niego przybyła. Jest

napewno niewinnym, więc zasługuje na to ażeby postępować z nim uczciwie. Pytała się go do czego służą te wszystkie rzeczy, które poczęła oglądać i spostrzegła, że się jakoś zmieszał. Lecz zaraz począł jej objaśniać i powiedział:

— Pracuję cośkolwiek w domu. To są różne pikanterijne obrazki, które sprzedają nakładcom, które jednak nie są dla kobiet.

— I dlatego się pan z tym ukrywa?

— Jestem człowiekiem stojącym nad przepaścią. Wykonałbym i dla pani fotografię, którą bym następnie wykolorował, jeżeli pani pozwoli.

— Co pan powiedział, że jest pan nad przepaścią?

— Tak jest! Rok już szukam posady lecz daremnie. Wygląda to tak, jakbym nic nie umiał, tymczasem rozumiem rzeczy lepiej aniżeli inni. Już nieraz dałem tego dowód.

I znowu zamilkł. Po tym zapałzył się na Wilhelminę i z cicha proszącym głosem odezwał się do niej.

— Gdybym tak mógł mieć model pani na ów plakat... znowu bym sobie pomógł. Mam zań przeznaczone dobre honorarium. Lecz ta kobieta... przedstawiająca symbol źródła... ma być zupełnie nagą i piękną. Kształty pani by się do tego nadawały.

— Pan jest więc zdania, że ja mogłabym służyć jako model i to tylko w taki sposób.

— Ja wiem jest to szalony pomysł. Lecz obecnie sam nie wiem co mówię. Jestem jak zwariowany. Nie byłem nigdy na taką bezczynność przyzwyczajony, a to jest dla mnie straszne.

I znowu obudziło się w niej współczucie i żal, że prawie ona ma człowieka tego zniszczyć. I ponownie zapragnęła mu powiedzieć wszystko poco tutaj przyszła. Lecz w tej chwili zwraca się do Swaka i powiada:

— To pan by potrafił i banknoty zrobić.

Siedziała na krześle a on stał obok niej.

Kiedy to powiedziała w tej chwili przykląkł do jej nóg, objął jej kolana i cichym głosem wyszeptał:

— Pani mogłaby mnie uratować.

Była przerażoną, ponieważ takiej sceny w swoim życiu jeszcze nigdy nie zauważyła. On, Rafael nigdy by się nie był do jej nóg schylił.

I znowu podległa chwilowemu wpływowi, wyjęła więc z torebki fałszywy banknot i podała Swakowi.

— Proszę co jest to? Dlaczego mi to pani daje?

— To jest — fałszywy banknot, zna go pan?

Jeszcze mocniej objął jej kolana, na które położył głowę. Ona widząc, że płacze, prędko się zerwała i wybiegła od niego.

III.

Za rogiem ulicy wyszedł naprzeciw niej Rafael. Niespodziewane jego zjawienie się i zdenerwowanie z powodu tego co tam wszystko widziała i zażyła, tak podziało na nią, że wszystko opowiedziała Rafaelowi. W chwili tej była przekonana, że musi mówić prawdę.

— Człowiek ten jest naprawdę fałszerzem banknotów i musi stanąć przed sądem być ukarany.

Rafael słuchał uważnie.

Lecz jakie jej Swak zrobił propozycję o tym nie wspomniała ani słowa. Obecność Rafaela uczyniła ją znowu bezmocną.

Rafael zażądał od niej banknot z powrotem. Powiedziała mu, że go zostawiła w domu. Nie przyznała się, że go pokazała Swakowi i że został w jego rękach. Rafael postanowił, że Wilhelmina musi znowu iść do Swaka, ażeby zdobyć tam jakieś inne rzeczy, ponieważ to, co mu opowiada nie jest jeszcze żaden dowód. Jego całe zachowanie się dowodzi, że on jest poszukiwanym sprawcą. Wilhelmina zdziwiła się, że ją tam znowu posyła. Dał jej polecenie, iż musi na Swakowi wydobyć zeznanie, że on sporządził fałszywy banknot i dał go do obiegu. Dalej powinna zabrać mu wszystkie klisze, rysunki i odbitki, które tam widziała i o których mówiła.

— Aż będziemy mieli wszystko w rękę, wyjedziemy sobie nad morze. Rozumiesz. To będzie dla mnie kariera.

Ma się rozumieć, że myślał tylko o sobie.

Poszła tam zaraz na drugi dzień. Swak był sam w domu, lecz to co tam wczoraj widziała tego już nie było. To wszystko znikło. Zostały tylko flaszeczki i rysunki jakiegoś aktu. Swak wyglądał jak po jakiej chorobie. Kiedy Wilhelmina weszła do pokoju, stał chwilę zdumiony. Ona pierwsza przemówiła, żądając banknotu, który u niego zostawiła a o innej rzeczy nie chce wcale wiedzieć. Powiedziała, że będzie także i milczeć, ponieważ był to z jej strony tylko żart, kiedy go się pytała, czy potrafi sporządzić także banknoty. Chciała tylko wiedzieć czy i ten banknot nie jest fałszywy.

Swak patrzył na nią jak w febrze i odpowiedział, że banknot oddał do zbadania i może jej go oddać dopiero za parę dni. Widząc na twarzy jego zmieszanie i bojaźń, była zdania, że to z powodu iż się domyśla, że jest przeciw niemu jakieś podejrzenie. A on tymczasem był wzruszony jej postacią, a myśl jego zaprzętą była tylko fotografią, którą mógłby użyć, jako obraz z zmienioną twarzą do wspomnianego plakatu.

— Czy naprawdę bym tym panu pomogła?

— Tak jest, a było by to także i dowodem dla mnie, że nie chodzi tutaj o jakąś straszną grę ze mną, tak jak to sobie myślę.

— Straszną grę? Dlaczego straszną?

— To prawda. Do niczego się nie przyznałem, wyraziłem tylko życzenie, ażeby pani była mi modelem.

Będąc przy nim, opuściła Wilhelminę znowu ta sympatia jaką żywiła dla Rafaela. Poczuła, że bierze ją jakieś słodkie opojenie i czarująca pokusa, ażeby oddać się czemuś, co byłoby dowodem, że ten drugi Rafael, nie jest jej panem tylko czymś innym.

— Naprawdę bym panu w ten sposób pomogła? — spytała jak we śnie.

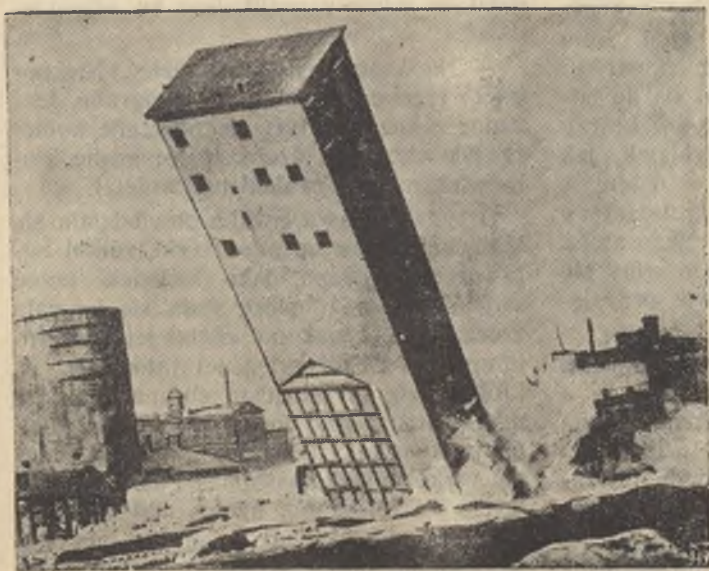
— Tak jest! A byłbym przekonany, że pani nie przyszła do mnie jako szpieg.

Przygotował aparat fotograficzny, przystąpił do niej. Spostrzegła, że nigdy by jej nic nie zrobił przeciw jej woli i poczęła się powoli rozbiierać.

IV.

Już od dłuższego czasu gniewała ją ta wyższość i to panowanie Rafaela nad nią.

Teraz sam ją oddaje temu człowiekowi. W ten sam dzień, kiedy powróciła od Swaka, Rafael oczekiwał ją już w jej mieszkaniu. Rozgniewał się, kiedy usłyszał od Wilhelminy, że nie przynosi żadnych konkretnych dowodów, czym się właśnie trudni Swak. Wilhelmina powiedziała mu tylko, że wszystkie rzeczy jakie tam przed tym widziała zostały usunięte. Lecz nie mogła już zabronić, ażeby



Baltimore

jedno z największych miast amerykańskich posiada, jak wszystkie wielkie miasta w Ameryce, dużo wysokich domów, które jeżeli trzeba demolować sprawiają dużo trudności Oprócz tego demolowanie takiego domu bardzo dużo kosztuje. Ażeby oszczędzić na kosztach, to dom taki najprzód się podkopie a kiedy własnym ciężarem się obali zostaje dopiero rozbiierany

Rafael nie szedł dalej natrafiłonym śladem. Krzyknął na nią głosem, jak jeszcze nigdy przed tym:

— Kobieto! Czego mogłem się spodziewać od kobiety. Już cię teraz nie potrzebuję. Lecz będziesz w tej sprawie świadkiem.

Wyszedł od niej bez pożegnania się.

Za godzinę pojawili się przed mieszkaniem litografa Swaka trzej ludzie. Kiedy im otworzył bez wszelkiego słowa, jeden z nich przystąpił do Swaka i powiedział:

— Pan zostaje aresztowany!

W tej samej jednak chwili doskoczył Swak do stołu, na którym pracował, złapał jakieś papiery i wrzucił do pieca w ogień. Wprawdzie detektywi znaleźli jeszcze jakieś formy drukarskie z cynku, a w stole jeden tysiąckoronowy banknot, taki sam, jaki otrzymał Rafael celem wszczęcia śledztwa, a który dał Wilhelminie. To było wszystko.

Swak został aresztowany i zaraz doprowadzony do więzienia. Mieszkanie zostało urzędowo opieczątowane.

V.

Po skończeniu śledztwa, został litograf Swak oskarżony o fałszowanie banknotów. Dowody i zbrodnia były tego rodzaju, że został postawiony przed sąd przysięgłych. Znalaziono u niego jeden fałszywy banknot, a udowodniono, że w chwili aresztowania, resztę banknotów i przyrządy wrzucił do pieca w ogień. Jako główni świadkowie przeciw Swakowi są: kobieta, wobec której przyznał się do fałszerstwa banknotów i detektywi, którzy go aresztowali przy czym widzieli, jak dowody swej winy wrzucił w ogień. A corpus delicti (dowód winy), fałszywy banknot znaleziony w zasuwej jego stołu.

Swak stoi przed sędziami. Do winy się jednak nie przyznaje. Sędziowie przysięgli mają rozstrzygnąć.

Wilhelmina, kiedy słyszała w śledztwie, z powodu czego jest Swak oskarżony a dowiedziała się, że podczas aresztowania spalił jakieś rzeczy, była w zupełności przekonana, że jest on naprawdę fałszerzem pieniędzy. Uwierzyła, że spalił dowody swej winy, a może jeszcze więcej fałszywych banknotów. Lecz dlaczego nie

spalił także i tego jednego banknotu, który znaleziono u niego? Wiedziała o tym, że banknot ten ma Swak, ponieważ jej o tym Rafael powiedział i pokazał jej kropkę na nodze figury kobiecej, który zrobiono na policji.

Trzykrotnie była przesłuchiwaną Wilhelmina podczas śledztwa. Przed tym musiała jednak Rafaelowi przyrzec, że będzie mówiła przed sądem tak, jak mu opowiadała w ten sam dzień kiedy wróciła od Swaka. Tak też wypowiadała, albowiem była przekonana, że Swak jest winien i że nie ma dla niego ratunku. Lecz ciągle miała przed oczyma jego pokorną twarz, kiedy ją fotografował i ciągle budziło się w niej niezadowolenie z tego, co w ten czas uczyniła i na co się zdecydowała.

Plakat, który miał zrobić, już nie dokończył.

Wilhelmina dowiedziała się także, że Swak przed przysięgłymi się do winy nie przyznał. Na pytanie, dlaczego w oczach detektywów spalił te rzeczy, które miały zostać skonfiskowane i służyć jako dowód jego winy, między którymi napewno było jeszcze więcej banknotów, odpowiedział:

— To nie były banknoty, ponieważ bym był spalił i ten, który u mnie znaleziono. Ten banknot mogłem także zniszczyć, gdybym był chciał.

Nalegano więc na niego, ażeby powiedział co właśnie spalił, lecz on odpowiedział:

— Nie mogę tego powiedzieć. Nie powiem tego nigdy. Były to fotografie, lecz żadne zakazane. Były to fotografie kobiety. Nie chciałem, ażeby te fotografie ktokolwiek u mnie znalazł lub widział.

O tym zeznaniu Swaka dowiedziała się Wilhelmina jeszcze przed tym, zanim była przesłuchiwaną, jako świadek przed sądem. I teraz dopiero stała się jej cała rzecz jasną. Swak nie chciał jej kompromitować. Spalił więc jej fotografię, na której była do naga rozebrana, a która miała służyć jako model do afisza. Mógł najprzód spalić fałszywy banknot, lecz on wykorzystał sposobność, ażeby tylko spalić jej fotografię, ażeby nikt tego nie widział i nie wiedział, że jest to ona. Domysliła się także, że Swak nie miał już

więcej czasu, by spalić i banknot, który jest teraz dowodem jego winy.

Ona nie może teraz zeznać, że banknot, który leży przed przewodniczącym sądu jako dowód winy, jest owym banknotem, który dał jej Rafael. Przecież najpierw twierdziła, że banknot ma w domu, po tym że go straciła, ponieważ nie chciała się przyznać, że go dała Swakowi. To by jej także nikt nie uwierzył. Przecież była pomocnicą Rafaela a banknot by miała wydać temu, któremu chcą udowodnić, że jest fałszerzem właśnie tego banknotu?

Z tego wszystkiego zdawała sobie Wilhelmina sprawę, zanim wstąpiła do sali sądowej.

W chwili kiedy wchodziła na salę, nie wiedziała co czyni. Wiedziała, że jedynie ona może Swaka uratować, jeżeli powie, że fałszywy banknot to ten, który dał jej Rafael. A on o tym milczy. Czy nie powinien stwierdzić, czy nie jest to ten sam banknot z kropką na nodze figury kobiecej? Albo milczy też dlatego, ażeby wina Swaka była dokazaną i ażeby został zasądzony. Lecz w tej chwili nabyła przekonania, że Rafael dobrze wie, iż jest to jeden i ten sam banknot, który jej oddał i o czym już się napewno przekonał, lecz życzeniem jego jest, aby Swak został zasądzony.

Podczas rozprawy został Swak konfrontowany z płatniczym, który otrzymał fałszywy banknot. Ten jednak oświadczył, że nie może z pewnością potwierdzić, czy jest to ten człowiek, który płacił fałszywym banknotem.

Znowu pytano się Swaka w jaki sposób znalazł się ów fałszywy banknot w jego stole? Na to powiada Swak:

— Banknot ten przyniosła do mnie pewna kobieta z zapytaniem, czy banknot ten nie jest przypadkowo fałszywy i zapomniała go u mnie. Nazwiska kobiety tej nie powiem.

Odpowiedź ta wyglądała jak niezręczna wymówka. To mu także jeden z sędziów przysięgłych powiedział. Wtenczas zwrócił się Swak do sędziego przysięgłego mówiąc.

— Mam do tego ważne powody, abym nazwiska kobiety tej nie wyjawiał. Lecz

możliwem jest, że się to od niej samej dowiedzie.

Rozpoczęło się przesłuchanie Wilhelminy.

VI.

Wyglądało to tak, jakby przewodniczący sądu coś już wietrzył. Był to człowiek nadzwyczaj doświadczony i miał opinię dobrego sędziego. Odnosił się do każdego uprzejmie, a zwyczajem jego było nie stawiać świadkowi niespodziewane pytania. Z Wilhelminą rozpoczął przesłuchiwanie pytaniem:

— Jak długo zna pani oskarżonego?

Odpowiedziała, że posłał ją do niego detektyw Rafael, z którym się знаła. Przyszła do oskarżonego pod pozorem, że szuka mieszkania a słyszała, że Swak ma się wyprowadzić. Przed tym oskarżonego nigdy nie widziała ani nie znała. Po kilku jeszcze dalszych pytaniach przystąpiła bliżej do stołu, na którym leżał ów banknot. Przed tym popatrzyła na oskarżonego. Spostrzegła, że patrzy na nią spokojnie, bez jakiegokolwiek cienia nienawiści za to, że występuje przeciw niemu jako świadek. W tej samej chwili powzięła Wilhelmina pewne postanowienie.

— To jest także i ten sam banknot, który otrzymałam od... pana Rafaela. Nie zgubiłam go, jak powiedziałam Rafaelowi. Zostawiłam go u tego mężczyzny, kiedy mu go pakazywałam i chciałam niespodziewanie wydobyć od niego przyznanie się że on go sfalszował. Pan Rafael musi wiedzieć, że jest to ten sam banknot, ponieważ jest przez policję oznaczony. Sam mi znak ten pokazywał.

W tej chwili nastał w całym procesie zupełnie inny obrót. Przede wszystkim osobno był przesłuchiwany detektyw Rafael. Potwierdził, że banknot miał znak i to jaki. A ta czarna kropka, faktycznie była znaleziona przez przewodniczącego sądu, na nodze kobiety, banknotu, który leżał na stole.

— Co myślicie o tym, co to było, co oskarżony spalił — pytał się dalej przewodniczący trybunału.

Było to jego zawsze ulubione pytanie, które stawiał świadkom i przysięgłym, wprawiając im tym sposobem to co chciał mieć.

— Zdaje mi się, że wiem co to było.

— Czy mogłaby nam pani powiedzieć, co to było?

Spojrzała na detektywa, na mężczyznę, który miał być niby kiedyś jej mężem i z całą stanowczością odpowiedziała.

— Pan Swak mnie fotografował. Uczyniłam to dlatego, ponieważ mnie o to prosił, tłumacząc, że jest bez pracy i twierdził, że otrzymał zamówienie na afisz, na który potrzebuje model, do czego by mu się moja postawa najlepiej nadawała. Więc to co spalił była napewno moja fotografia.

Przewodniczący zwrócił się do oskarżonego z zapytaniem: — Co na to oskarżony powie?

Swak nie powiedział ani słowa, tylko przytaknął głową.

Rzecz cała wyglądała obecnie zupełnie inaczej. Detektyw domyślał się, że między tymi dwoma coś zaszło, i dlatego życzyłby sobie, ażeby litograf został zasądzony. Kto tutaj może być teraz nieomylnym sędzią. A także sędziowie jak i publika mieli to przekonanie, że Wilhelmina jako świadek wypowiedziała tak, że sama czuje się teraz jakoś nie swoją.

Sędziowie przysięgli naradzali się tylko pół godziny, a odpowiedź co do głównego pytania o winie oskarżonego brzmiała: pięć głosów tak, siedem głosów nie. Na

podstawie takiego werdyktu przysięgłych, oskarżony Swak został uwolniony i natychmiast poszedł do domu.

VII.

Przed tablicą na ratuszu, gdzie zostają wywieszone ogłoszenia o zapowiedziach, stali dwaj ludzie, mężczyzna i kobieta i czytali: Karol Swak, litograf i Wilhelmina Sokołówna, urzędniczka, stanu wolnego ogłaszają się i t. d.

Mężczyzna, który trzymał kobietę pod ramię szeptał jej słodkie i upajające słowa: — Tyś mnie zwróciła życiu i uchroniła od zguby, do której pędziłam... Ty jesteś moim aniołem stróżem, dlatego całe moje życie należy tobie.

— I ja skoczyłam do tego życia w ten czas głową na dół, nierozsądnie. Było to wtenczas, kiedy pozwoliłam abyś mnie fotografował. Nie żałuję jednak tego, ponieważ tylko tym sposobem cię poznałam i zostałam twoją. Zwyciężyłeś mnie swoją wspaniałomyślnością, ratując moją cześć a sam wydawałeś się na zgubę.

Znów na tablicy reklamowej w jednym z większych uzdrowisk na Słowaczynie wywieszono wielki afisz, gdzie źródło lecznicze symbolizowane było jako piękna kobieta, wyciągająca obnażone ramiona do cudownego źródła, z którego tryskał strumień żywej wody.

J. R. H.

— Mamusi! Jako zadanie domowe mamy napisać, jaka jest różnica pomiędzy oszczędnością a skąpstwem, a ja temu nie rozumiem. Wyjaśnij mi to.

— A więc różnica jest taka: Jeżeli na przykład ojciec przez dwa miesiące nie pali i nie wypije ani szklanki piwa, to jest oszczędność. Ale jeśli potem za te pieniądze nie chce mi kupić nowego kapelusza, to jest skąpstwo.

×

W pociągu jedzie jakiś wąsaty jegomość i ciągle się kręci i drapie za kołnierzem. Nagle wyciągnął jakieś małe żyjątko i wyrzucił przez okno.

— Widzisz, ganef, nie chciałaś spokojnie jechać, to idź teraz piechotą do domu!

×

— Maryśko! Obiecałaś mi pewnego razu swoją fotografię, a dotychczas jej nie otrzymałem. Czy dałaś się już fotografować?

— Jeszcze nie, a także się nie dam!

— Dlaczego?

— Słyszałam, że fotograf widzi w aparacie ludzi do góry nogami, więc nie pójde za nic w świecie do fotografa.

×

— Używaliście to lekarstwo?

— Nie.

— A dlaczego? Czy nie chcecie wyzdrowieć?

— No tak, ale przecież mi pan doktor powiedział, że ta flaszeczka musi być dobrze zamknięta.

×

Wydobywanie olejku różowego w Bułgarii.

Olejek różowy jest esencją wydobywaną z róż. Nie ma perfumu, ani też mydła perfumowego, ani środka kosmetycznego, któryby nie zawierał olejku różowy. Królestwem róż jest południowa Bułgaria. Tam są pola róże, chronione zupełnie od wiatrów północnych, na których rosną miliony krzaków różowych. Wczesnym rankiem o godzinie 4 lub 5, zanim ukażą się jeszcze promienie słoneczne, wychodzą dziewczęta z koszami do któ-

wego aroma, t. j. zapachu dopiero w 6 miesięcy po wyrobie. Ponieważ jest bardzo drogi, albowiem do wyrobienia 28 gramów olejku, potrzeba 60.000 normalnych kwiatów róż, przechowuje się go w tresorach banków, jako najdroższe klejnoty. Kolor olejku jest początkowo jasno żółty, później nabywa koloru zielonego, znowu po zupełnym odleżeniu jest koloru ciemnego.

Przy wyrobie olejku różowego jest bar-



Bulhar Kroje z okoli Sofie

Stroje bułgarskie w okolicy miasta Sofii.

rych zrywają kwiaty róż. Kwiaty trzeba zrywać rano, ponieważ zawierają one więcej esencji (t. j. soku) i zapachu, aniżeli później w dzień, kiedy już promienie słoneczne wysysają wilgoć z wszelkich roślin, drzew czy też owoców.

Zerwane kwiaty zostają następnie poddane destylacji i fermentacji a po tym następuje rafinada i czyszczenie. Świeżo otrzymany olejek różowy nabywa właści-

dzo ważną rzeczą, ażeby kwiaty zrywane były we wczesnych godzinach rannych, albowiem, jak już wspomnieliśmy, to promienie słoneczne nie tylko działają ujemnie na zawartość esencji, lecz także i na zapach kwiatu różowego.

Gotowy olejek różowy jest ważony pod kontrolą państwową, pełniony do flaszek i opieczetowany, a w takim odważeniu i opieczetowaniu wysyłany zagranicę.

— Po co wy właśnie chodzicie do szkoły? — gniewa się nauczyciel — kiedy i tak nie chcecie się uczyć. Po co, no po co? Gabryś, powiedz?

— Aby mama miała w domu spokój.

×

— Jeżeli się kiedyś ożenię, to wezmę sobie ładną dziewczynkę i dobrą gospodynię.

— Ale co też ty to pleciesz? Przecież aresztowali by cię za dwużeństwo.

×

NAPAD INDIAN.

Na pewnej stacji drogi kolejowej amerykańskiej, idącej poprzez całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z Nowego Jorku do San Francisco, spotkało się dwu dawnych przyjaciół, którzy, nie widząc się kilkanaście lat, bardzo dużo mieli sobie do opowiadania. Jeden z nich, młodszy, pan Cardigan, był przemysłowcem, a drugi, sir Boderby, bardzo bogatym bankierem, który jechał do Yokohamy w Japonii w interesie banku, który tam posiadał.

Pociągi dalekobieżne na kolejach amerykańskich zdumiewają Europejczyków swym przepychem. Tak i ten, którym mieli jechać dwaj znajomi, składał się z 3 wagonów sypialnych, palarni, restauracji, słowem posiadał wszystko, co może czas podróży uprzyjemnić.

Po obiedzie miało się odbyć przedstawienie trupy teatru wędrownego, która jechała na występy do Chicago. Właścicielem jej był niejaki sir Collis. O oznaczonej porze poczęto ściągać do wagonu salonowego, gdzie wkrótce zaczęto przedstawiać pantonimę pt. „Małżeństwo Greta Riwer“. W chwili, gdy podróżni w najlepsze zaśmiewali się z tarapat bohaterki farsy, rozległo się przeraźliwe wycie, a potem dało się słyszeć kilka strzałów.

Wszyscy zerwali się z miejsc i rzucili się do okien i drzwi.

Na kilka godzin przedtem wśród gęstego boru rozłożony był obóz Indian, szczerpu Aparaków. Przy rozpalonym ognisku przemawiał ich wódz, Białe Pióro.

— Bracia! Chwila zemsty nadeszła. Błede twarze opanowały ziemię, którą Wielki Duch dał na mieszkanie czerwono-skórym. Powinniśmy drogo za to zapłacić.

— Nasz brat ma słuszość! — odezwał się drugi Indianin. — Wozy ich będą przebiegały za kilka godzin sawannę. Śmierć wszystkim!

— Wozy białych twarzy przebiegają jak ptaki, więc jakże je zatrzymać? — zapytał ktoś z siedzących przy ognisku.

— W tym miejscu, gdzie rzeka zakręca, droga, którą przebiegają wozy, robi też zakręt i w tym miejscu zwalniają one biegu. Wtedy wskoczmy na stopnie wago-

nów i opanujemy je — radził jeden z Indian, wysoki, o smukłej budowie ciała. — Przedtem musimy las podpalić i czekać.

* * *

Północ dochodziła, gdy pociąg, dobiegając do rzeki Platte Riwer, począł zwalniać biegu z powodu znanego maszyniście zakrętu, o czym również wiedzieli Indianie. Podróżni w najlepsze przyklaskiwali pantominie, maszynista stał na tendrze, uważając na bieg pociągu i przyciskając rączkę regulatora, gdy Indianie wydali dziką okrzyk, skacząc na stopnie wagonów.

Maszynista padł z roztrzaskaną głową, palacza przebito nożem, poczem wódz z białem piórem otworzył regulator, chcąc zatrzymać pociąg. Miało to jednak nieprzewidziany przez niego skutek, gdyż lokomotywa poczęła zwiększać szybkość, unosząc wagony w głąb palącego się lasu.

W wagonie salonowym zapanowała panika, którą opanował dopiero Cardigan, rozkazawszy zabarykadować drzwi oraz strzelać do każdego, kto się pokaże.

W mgnieniu oka zarzucono drzwi pakami i kuframi, poczem podróżni, uzbrojeni w rewolwery, rozpoczęli strzelanie do Indian, dobywających się z dzikim wraskiem do wagonu.

Wódz Indian tymczasem nadaremnie usiłował wstrzymać lokomotywę, która wbrew jego usiłowaniom biegła coraz to szybciej. Kłapa bezpieczeństwa jęczała przeraźliwie, ostrzegając o katastrofie. W wagonach toczył się bój zażarty. Podróżni walczyli, choć bez nadziei zwycięstwa. Było już dwóch zabitych oraz kilku rannych; straty Indian były jednak znaczniejsze. Cardigan i Collis za każdym strzałem kładli rupem jednego przeciwnika.

W zamęcie walki nie zauważono szalonego biegu pociągu. Las palił się z obu stron toru. Płomienie z sykiem obejmowały drzewa, a kłęby dymu zaciemniały cały widnokrąg. Wobec grożącego wszystkim niebezpieczeństwa zaprzestano walki. Indianie z przeraźliwym wraskiem zeskakiwali na ziemię, inni cisnęli się koło wodza, który konwulsyjnie ucpił się rączki regulatora, przyspieszając już i tak

szalony bieg pociągu. Dym dusił ich, paliły płomienie, palił żar płonącego lasu.

W tej chwili podróżni zauważyli z przerażeniem, iż końcowy wagon zapalił się od płonącego lasu i że ten sam los groził całemu pociągowi, jeżeli w porę nie odcepią gorejącego wagonu, a co w tej chwili było wprost niepodobieństwem.

Jeden Cardigan nie namyślał się długo. Odsunawszy niepotrzebne już barykady, przebiegł na koniec pociągu, gdzie z narażeniem życia udało mu się wagon odcepić.

Wtem rozległ się straszny łoskot; to

kocioł lokomotywy pękł na tysiące drobnych odłamków, z których każdy stanowił śmiertelny pocisk dla Indian, stłoczonych na lokomotywie. Rozpędzony pociąg biegł jeszcze kilka minut, aż dosięgnął skraju płonącego lasu.

Wtedy dopiero podróżni, zagrożeni potrójną śmiercią, mogli ocenić ogrom niebezpieczeństwa, jakie im groziło. Byli w pobliżu fortu San-Carlos, zatelefonowali więc stamtąd do pobliskiej dykcji o przysłanie im świeżej lokomotywy, a otrzymawszy ją, udali się już bezpiecznie w dalszą podróż.

Tatrańska Lomnica.



Tatry są znane jako najbardziej odpowiadające góry dla leczenia się piersiowo chorych. Od Sterbskiego Plesa (jezioro) poprzez Smokowiec aż do Tatrzańskiej Lomnicy zbudowano kolej elektryczną i drogę asfaltową które ciągną się na stokach gór w wysokości

500 aż do 1400 m. Wzdłuż drogi i kolejki pobudowano masę wili i sanatoriów w których przez całe lato a także i w zimie przebywają na leczeniu piersiowo chorzy, albo też którym na to środki pozwalają spędzają także i swoje urlopy w Tatrach.

Do hotelu przyszedł gość, przez ćwierć godziny przeglądał listę potraw, a potem się jeszcze kelnera wypytywał co wszystko może dostać do jedzenia, a kelner mu opowiadał drugich dziesięć minut.

- A co jest z ryb?
- Węgorze, pstrągi, łososie, szczupaki.
- Proszę mi przynieść pół słonego śledzia.

×

W niewoli kobiety rosyjskiej.

(Zdarzenie prawdziwe z wojny światowej 1914.)

I.

Chociaż nie bogaty, lecz czuł się szczęśliwym Michał Jahyła na małym kawałku roli w Dzieduszykach, niewielkiej wioszczynie w Galicji wschodniej. Sam był chłopem pracowitym, a żona Jagna, z którą już miał dwoje dzieci: jedno cztery a jedno dwa lata, była także kobietą nadzwyczaj zapobiegliwą. Nie było widzieć w ich domu zbytku ani rozkoszy, lecz nigdy też nieza brakło chleba, którego dzieci i oni obaj zawsze mogli się do syta najeść. Pracowali od rana do wieczora, chwalać Boga i wychowując dzieci ludziom na pożytek a dla siebie na pociechę. Tak schodził rok za rokiem w szczęściu rodzinnym i w pracy koło domu i na roli. Lecz szczęście, gdzież nie przemija jego marny kwiat?

Przyszedł rok 1914.

Nad Europą zawisły czarne i groźne chmury, z których uderzył piorun, niszcząc za jednym zamachem dziesiątkom tysięcy rodzin szczęście rodzinne. Nie została oszczędzona ani rodzina Michała Jahyły, bo kiedy na murach pojawiły się afisze, wzywające w imieniu Jego cesarsko-królewskiej Apostolskiej Mości wszystkich mężczyzn, należących do wojska, ażeby w przeciągu 24 godzin stawili się do swych pułków, musiał pójść także i Michał. Nie pomogły biadania, nie pomógł ani płacz, był trzeba zaniechać pracy na roli, było trzeba opuścić rodzinę i pójść na wojnę.

Zaraz na drugi dzień rano wybierał się Michał z „kuferkim“ na dworzec, ażeby na czas zgłosić się u swego pułku. Jagna, odprowadzając Michała do furtki, zanosiła się od płaczu, a dzieci, widząc, że mama płacze, płakały także, lecz nie wiedziały, nie rozumiały o co chodzi. Nie zdawały sobie sprawy z tego, że może po raz ostatni oglądają ojca.

— Oj, płaczcie, płaczcie niebożęta! — powiada Jagna z płaczem — bo tatuś odchodzi; niewiedomo czy wróci. Co ja biedna zrobię z wami sierotami?

Michał, któremu się także cisnęły łzy do oczu, nie mógł już dłużej wytrzymać i prędko jeszcze uściśnął i ucałował dzieci, na ostatku objął żonę, pożegnał się z nią i prędko wyszedł, pozostawiając żonę z dziećmi, którzy tak długo patrzeli za nim, aż zniknął im z oczu.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem chodził Michał już w nowym mundurze żołnierskim.

Za parę dni wrzała już wojna na froncie serbskim i rosyjskim w pełnym tempie, dlatego też Michał nie został długo w koszarach, lecz zaraz z pierwszą „marszkompanią“ został wysłany na front rosyjski.

Rosjanie początkowo z ogromnym tempem postępowali wprzód, zmuszając wojska austriackie do ciągłego cofania się. Zdawało się, że wojna prędko się skończy, a zwycięstwo będzie po stronie Rosji. Od rana do nocy toczyły się krwawe walki. Po jednej i drugiej stronie pokrywały się trupami piaszczyste pola walki. Huczały działa, grzechotały karabiny maszynowe, a kule niby baki świstały koło uszu żołnierzy. Michałowi strasznie się robiło, kiedy widział, jak to raz po raz któryś z jego towarzyszy broni jęknął i nieruchomo został leżeć, albo też przewrócił się i wył z bólesci. Lecz on miał szczęście i jakoś żadna kula go nie trafiła. Przyzwyczał się do tego i wydało mu się tak, jak gdyby pracował u siebie w domu na roli. Tylko kiedy sobie wspominał, że tam w domu pozostawił swych najdroższych, robiło mu się smutno i markotno.

Pomimo szczęścia, jakie mu sprzyjało, ciągle mu się wydawało, że coś mu do ucha szepce:

— Oj, zaczekaj, zaczekaj Michale, i na ciebie kolej przyjdzie!

Na takie wspomnienie jakoś mu się nie-dobrze robiło. Lecz i te myśli mijały, a w krótkim czasie tak jak inni, na wszystko zobojeśniał.

Najgłośniejszą rzeczą na froncie było, jeżeli na parę godzin od czasu do czasu

Rosjanie dali spokój a można było w tym czasie odpocząć lub też spokojnie zjeść „menaż“.

Pewnego razu, a było to pod Koniuchami, po paru godzinach takiego spokoju, nagle Rosjanie rozpoczęli gwałtowny atak na okopy austriackie. Już dwanaście godzin trwała walka o Koniuchy, które Austriacy bronili siarczyście. Gęsto padały trupy i ranni po stronie rosyjskiej, lecz na ich miejsce ciągle przychodzili coraz to nowe posiłki. Kiedy nareszcie Austriacy widzieli, że nie potrafią zatrzymać naporu wojsk rosyjskich, dali rozkaz do wycofania się z okopów. Wszystko więc wylazło z okopów, a kiedy jedni dostali rozkaz wstrzymywać jeszcze Rosjan, inni prędko starali się wydostać jak najdalej poza linię bojową.

Miedzy tymi, którzy mieli zatrzymywać Rosjan, był także i Michał. Raz poraz bili Rosjanie do cofających się wojsk austriackich całe salwy armatnie, zwłaszcza do szeregów, mających chronić tyły cofających się. Nagle przyleciał szrapniel i pękął wprost nad głową Michała. Trafiły go dwie kule, jedna w plecy, druga w nogę. Michał zwałił się na ziemię.

W tydzień później żona jego otrzymała zawiadomienie od jego towarzyszy, że Michał padł na pobojuwiskpu, lecz nie wiedzą co się z nim stało, czy jest tylko ranny, czy został zabity.

II.

Grzechot karabinów maszynowych już ustał, tylko od czasu do czasu gdzieś zdala było jeszcze słycać pojedynczy huk armaty.

Na pobojuwisku wśród poległych i rannych zjawili się sanitariusze rosyjscy z noszami. Jedni zbierali zabitych, których najpierw obrano ze wszystkich rzeczy wartościowych i którym odebrano także legitymację z blaszaną torebką, a następnie znoszono ich do jednego miejsca, gdzie już kopano doły, do których grzebano trupy. Drudzy znowu wyszukiwali rannych, których znoszono na plac opatrunkowy, gdzie nakładano im prowizoryczne bandażę i wysyłano do szpitali.

Miedzy rannymi znajdował się i Michał, którego razem z rannymi żołnierzami ro-

syjskimi i austriackimi przewieziono do szpitala wgląd Rosji.

Cały rok przeleżał Michał w szpitalu, zanim wylizał się z odniesionych ran. Najgorzej było z raną w plecy, ponieważ zostały zranione płuca.

Po wyzdrowieniu wysłano Michała jako jeńca wojennego do gubernii astrachańskiej, gdzie z innymi jeńcami został przydzielony do pracy na roli właścicielowi większych dóbr ziemskich.

Już ze szpitala wysłał Michał do żony za pośrednictwem Czerwonego Krzyża list, w którym jej donosi, że został ciężko ranny i że znajduje się w szpitalu. Aczkolwiek smutna to była dla Jagny nowina, to jednakowoż sprawiła jej radość, że Michał żyje i że nie został zabity, czego się najbardziej obawiała. W następnym liście, który Jagna otrzymała, a było to już w roku 1916, donosił jej Michał, że już wyzdrowiał i opuszcza szpital i że jest wysłany gdzieś daleko do Rosji, lecz że sam nie wie gdzie. Od tego czasu nie otrzymała Jagna żadnej więcej wiadomości od niego.

We dworze nie powodziło się Michałowi źle, był bowiem jeszcze młody, silny i pracowity. To też traktowanie ze strony właściciela nie było najgorsze.

Tęskno jednak było Michałowi za rodziną, a chociaż i listy pisał do domu, nie otrzymywał na nie żadnej odpowiedzi, co go dziwiło i bardzo smuciło. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi ani na jeden, ani na drugi, ani na trzeci list, zaprzestał dalszego pisanie do domu, będąc zdania, że listy jego do domu nie dochodzą, inaczej byłby przecież otrzymał odpowiedź.

Oprócz jeńców wojennych pracowały we dworze także miejscowe kobiety oraz dziewczęta. Ponieważ Michał był roslym i ładnym mężczyzną, niejedna kobieta mająca także męża na wojnie, a przede wszystkim dziewczęta, rzucały na niego miłosne spojrzenia. Lecz Michał nie zwracał uwagi na te zaloty, bo myśli jego były zawsze u rodziny, tam, daleko w Galicji, przy czym nasuwało mu się pytanie, kiedy też będzie mógł uściskać swoje drogie istoty. Na żarty i na umizgi ze strony kobiet i dziewcząt wogóle nie reagował. Niewiasty, widząc, że Michał nie ma jakoś

ochoty wchodzić z nimi w bliższe stosunki, pozostawiły go wreszcie w spokoju. Jedynie nie dała za wygraną Jelena Papadejow, której Michał wpadł zanadto do oka. Ładna i przystojna dziewczyna, lecz zanadto rafinowana, tak go polubiła, że mu ciągle zachodziła drogę i napastowała.

Pewnego razu, a było to już rok od czasu, gdy Michał przyszedł do dworu, znalazł się sam na sam z Jeleną.

— Co ty Michał taki smutny? — odzywa się przymilająco Jelena do niego. — Ty taki ładny mężczyzna a jakoś wogóle stronisz od kobiet.

— Jakże ja się tu mogę bawić z kobietami i być wesołym, kiedy tam daleko w kraju rodzinnym czeka na mnie także młoda żona z dziećmi — odpowiada Michał.

— A co, czy ja nie młoda i ładna, czy ja nie potrafiłabym zastąpić ci żony?

— To nie można. Jeżeli już raz mam żonę i dzieci, to grzechem byłoby zalecać się do drugiej kobiety.

— Ale Michale, czy ty wiesz, co tam twoja żona porabia, czy i ona nie ma już tam także jakiegoś kochanka?

Na to wspomnienie Michał posmutniał, lecz prędko powiada:

— Nie, nie! W to nie wierzę, bo wiem, jaką mam żonę!

— Wierzysz, nie wierzysz. Lecz jeżeli ty już tak długo nie jesteś w domu, ona także nie pośle ci ani listu, a we wsi napewno są inni i młodszy jeszcze mężczyźni aniżeli ty. Co ty możesz wiedzieć?

Michał zastanawia się nad słowami Jeleny, a ta tymczasem podchodzi do niego, obejmuje w swoje silne ramiona i całuje namiętnie po twarzy.

— Jelena, puść mnie, bo to nie przystoi! — broni się Michał. — Nie kuś mnie, a daj mi spokój!

— Nie puszczę cię, aż mi przyrzekniesz, że mnie będziesz kochać! — oświadczyła stanowczo Jelena i jeszcze mocniej ścisnęła Michała.

Przemocą wyrwał się Michał z jej uścisków i nawpół z gniewem powiada jej, że nie może, ponieważ już raz jest żonaty a jak długo żyje jego żona, to on zostanie jej wierny.

Jakiś czas Jelena dała mu spokój, widząc, że chłop uparty i że nic nie wskóra.

Przestała mu nadszkakiwać, umizgać się do niego i nagabywać.

III.

W roku 1917 powstały w Rosji niepokoje, co zmusiło rząd rosyjski do zawarcia osobnego pokoju z Austrią i Niemcami. Wybuchła jednak rewolucja, która usunęła rządy carskie. Nastąpiły rządy bolszewickie, które wydały nowe ustawy. Weszły w życie nowe przepisy małżeńskie, rozluźniające hamulce pożycia małżeńskiego.

Jelena rozpoczęła więc nowy atak na Michała.

— Słuchaj Michał! — tak się odezwała do niego, kiedy znowu znaleźli się sami. — Obecnie są bolszewiki, przepisy małżeńskie już inne, i już ci obecnie nic nie przeszkadza mnie poślubić. Zostaw tam żonę w kraju, będzie miała przy czym żyć, a za ciebie jeżeli sobie jeszcze nie poszukała, to napewno poszuka innego. Możesz zatem bez wszystkiego mnie poślubić, nie będzie to grzechem, ani przestępstwem, bo ustawy bolszewickie na to pozwalają.

Szatan baba — pomyślał Michał, lecz powiada:

— Pozostaw mnie przez pewien czas w spokoju, muszę się dobrze namyśleć, a potem naturalnie możemy się pobrać.

Nie widział innego wyjścia z tej głupiej sytuacji, ponieważ jeńcy dalej musieli pracować, a wśród ogólnego zamieszania rewolucji bolszewickiej, nikt nie myślał o tym, aby jeńców zwalniać i wysyłać ich do domu. Dlatego też dał Jelenie wymijającą odpowiedź, lecz zaraz postanowił, że jak tylko nadarzy się sposobność, to uciecze.

Jelena dała więc Michałowi spokój, a on począł przygotowywać się do ucieczki. Po dokładnym przygotowaniu się, pewnej ciemnej nocy zniknął ze dworu, a obrawszy kierunek południowo-zachodni, puścił się w stronę granicy bolszewicko-polskiej.

Przez noc podróżował, zaś dzień przespiał albo przesiadywał w zbożu, lub w krzakach, a nocą szedł znów dalej. Aczkolwiek zabrał ze sobą spory bochen chleba, widział, że pożywienie to nie wystarczy mu aż do granicy. Pomagał sobie

więc w ten sposób, że albo jadł ziarna dojrzewającego już zboża, albo też jagody które znalazł w krzakach.

Dwie nocy drogi miał już za sobą, lecz do granicy było jeszcze daleko.

Na trzecią noc, kiedy wyszedł z krzaków na drogę i zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, ktoś w ciemności zastąpił mu drogę i zawołał:

— Stój! Kto tam!

Michał zląkł się i stanął jak wryty, lecz zaraz odpowiedział:

— Podróżny!

W ciemnościach rozpoznał czerwono-gwardyjca, których dużo włóczyło się po kraju.

— Jaki podróżny? — pyta żołnierz i z karabinem wymierzonym przeciwko niemu zbliża się do niego.

— Ty żaden podróżny, ty żołdat jeniec, napewno uciekinier! — rzekł czerwono-

gwardyjec, kiedy poznał, kogo ma przed sobą.

— Nie jestem uciekinierem, puszczono mnie z niewoli, więc idę do domu — tłumaczył się Michał.

— Jak nie uciekinier, to pokaż papiery!

W tej samej chwili przyszła Michałowi szalona myśl do głowy i bez jakiegokolwiek namysłu rzucił się na żołnierza, chcąc go rozbroić. Lecz żołnierz był na to przygotowany, uskoczył więc na bok i głośno zawołał:

— Słodat!

Ni stąd, ni zowąd, już stali przy nim jeszcze dwaj czerwono-gwardyjcy, a Michał ani się spodział, kiedy ujęły go cztery silne ręce. Uderzono go parę razy kolbami i odprowadzono na najbliższy posterunek. Na posterunku dano rozkaz odprowadzić go do komendy bolszewickiej, która znajdowała się w tej samej miejsco-

Chłopskie powstanie w roku 1680.



Powstanie chłopskie w 1680 roku, w którym powstałi przeciw panom gdzie żądali ażeby znieść pańszczyznę, co im się jednak nie udało. Powsta-

nie zostało w krótkim czasie stłumione a przywódców powstania pozamiano na długi szereg lat do więzienia.

wości, w której przebywał Michał przed swą ucieczką.

Bez jakichkolwiek dalszych ceregieli za parę dni postawiono Michała przed bolszewicki sąd wojskowy. Sąd uznał Michała winnym, iż dopuścił się zbrodni, chcąc zamordować żołnierza czerwonej gwardii, i zasądził go na śmierć przez rozstrzelanie.

Michał, słysząc, że został zasądzony na śmierć, czego się nie spodziewał, o mało że trupem nie padł zaraz na sali. Nawpół martwego odprowadzono go do więzienia, gdzie miał czekać na wykonanie wyroku.

III.

Kiedy Jelena spostrzegła, że Michał uciekł, ogromnie ją to rozgniewało i radaby się była zemścić za jego podstęp, lecz nie wiedziała jak. Pierwszy i drugi dzień chodziła zagniewana, lecz na trzeci dzień żal jej począł ścisnąć serce, ponieważ Michała kochała nade wszystko i dałaby niewiedzieć co za to, żeby mogła go odzyskać z powrotem. Lecz trudno, musiała pogodzić się z myślą, że Michała już więcej nie zobaczy.

W parę dni później Jelena dowiedziała się, że sąd wojskowy zasądził jakiegoś jeńca-uciekiera na śmierć. Pędzona jakimś przecuciem, starała się dowiedzieć, kim właśnie jest ten uciekinier. Mając znajomości z żołnierzami czerwonej gwardii, dowiedziała się przez nich, że zasądzonym uciekinierem jest właśnie jej ukochany Michał. Kiedy usłyszała, że chodzi tu o niego, rozplakała się i postanowiła za żadną cenę nie dopuścić do tego, aby Michała rozstrzelano.

Nie, to się stać nie śmie! Ona sama jest dziś już wierną bolszewiczką, pójdzie chociażby do samego komendanta, aby tylko Michała uratować.

Jak postanowiła, tak też zrobiła. Poszła wprost do komendy czerwonej gwardii, żądając, aby ją zaprowadzono do samego komendanta. Lecz czerwono-gwardzista, stojący przed komendą na straży, nie chciał ją tam wpuścić. Za nic w świecie nie chciała Jelena ustąpić i żądała w imię demokracji bolszewickiej, jako wierna członkini partii, ażeby ją wpuszczono do komendanta. Żołnierz jednakże stał na

swym i ani rusz pozwolić na wejście do komendy.

Kiedy Jelena domagała się z całą stanowczością wpuszczenia jej do komendy, nadszedł wyższy oficer czerwonej armii Doboszyn, mężczyzna średniego wieku i zapytał żołnierza, o co tu chodzi. Jelena wtrąciła się zaraz i rzekła:

— Ja bolszewiczka, chcę mówić w ważnej sprawie z komendantem, a ten żołnierz nie chce mnie wpuścić.

— W ważnej sprawie? W jakiej ważnej sprawie? — pytał się Doboszyn. — Mów, kobieto, co to za ważna sprawa?

— Towarzyszu oficerze, wobec tego żołnierza nie mogę mówić o co chodzi. To mogę powiedzieć tylko samemu komendantowi.

— No, a czy ja bym to nie mógł także wiedzieć? — spytał Doboszyn, przy czym uśmiechnął się słodko do Jeleny.

Ta popatrzyła na Doboszyna i cicho rzekła:

— O ile by towarzysz mógł w tej sprawie coś uczynić, to i owszem.

— No, to chodź ze mną.

Poszli oboje do budynku, gdzie znajdowała się komenda, a gdzie Doboszyn miał także swoje mieszkanie.

Jelena weszła do mieszkania Doboszyna i przedstawiła całą sprawę, o co jej chodzi. Doboszyn, słysząc, że przyszła prosić o ułaskawienie jeńca austriackiego, który chciał zamordować czerwonogwardzistę, nie chciał o tym ani słyszeć.

— Sąd bolszewicki raz zasądził niedoszłego mordercę, — mówił Doboszyn — zatem nie może być mowy o jego ułaskawieniu. Wyrok musi zostać wykonany.

Jelena nie przestała jednak prosić i błagać, raz z płaczem, to znowu z miłym uśmiechem, aż nareszcie zmiękło serce Doboszyna.

— Sam nie mogę nic uczynić, — rzekł wreszcie — ale wstawię się za nim u komendanta, czy nie dałoby się zasądzonego ułaskawić. Robię to tylko dla ciebie! — to mówiąc, nie spuszczał z oka ładnej Jeleny.

Nareszcie kazał jej usiąść, co Jelena także uczyniła i była nawet z tego zadowolona.

Dosyć długo jeszcze pozostała u niego,

a kiedy już odchodziła, Doboszyn wyglądał czerwony jak burak i przypominał jej, ażeby nie zapomniała na dane przyrzeczenie.

— Nie zapomnę, o ile Michał będzie ułaskawiony! — odpowiedziała Jelena, podając mu z uśmiechem rękę na pożegnanie.

Doboszyn był w czerwonej armii wyższym oficerem i miał u komendy pewien wpływ. Po rozmowie z Jeleną poszedł zaraz do komendanta i opowiedział mu, w jakiej sprawie do niego przychodzi. Nie zamilczał nawet tego, że ułaskawienie zasądzanego leży w interesie pewnej kobiety bolszewiczki; on sam prosi, żeby zasądzonego ułaskawiono.

Komendant popatrzył na Doboszyna z podejłą, pogroził mu palcem i rzekł:

— Mnie się zdaje towarzysz, że tobie tutaj więcej chodzi o kobietę, niż o samego jeńca, który nie jest wart ani pół rubla. Czy prawda? Jakaż to jest kobieta, czy młoda, ładna, czy warta tego?

Doboszyn nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

— Jak widzę, to ta kobieta musi być chwacka, jeżeli ciebie, starego lisa, który już zjadł niejedną młodą gaskę, potrafiła opętać. Lecz jeżeli tobie o to chodzi, to delikwentowi możemy karę śmierci zmienić na bezterminowe więzienie. Skazaniec może sobie siedzieć we więzieniu, a ty możesz zastępować go u kobiety.

Doboszyn zasalutował i odszedł, zadowolony, że sprawa nie najgorzej poszła, znając srogość i nieustępliwość komendanta.

Nie czekając długo, po rozmowie z komendantem zawołał Doboszyn do siebie Jelenę.

Kiedy Jelena przyszła do Doboszyna, opowiedział jej, że kara śmierci została Michałowi zamieniona na bezterminowe więzienie. Wiadomość ta nie bardzo pocieszyła Jelenę, ponieważ chciała mieć Michała u siebie w domu. To swoje niezadowolenie wyraziła także i przed Doboszynem, który ją jednakże udobruchał tym, że jej oświadczył, iż wyda jej stałe pozwolenie, na podstawie którego będzie mogła od czasu do czasu odwiedzać Mi-

chała w więzieniu, co ją cośkolwiek uspokoiło.

Aczkolwiek już wszystko wiedziała, co jej Doboszyn miał do powiedzenia, to jednak przez dłuższy czas została u niego, bawiąc się z nim w dosyć poufały sposób. Już było późno wieczór, gdy Jelena opuściła mieszkanie Doboszyna.

V.

Już siódmy dzień przebywał Michał w więzieniu i jakoś dziwnem mu się wydawało, że bolszewicy nie śpieszą się z wykonaniem wyroku śmierci. O ułaskawieniu, lub o jakimś miłosierdziu nie myślał, bo zanadto dobrze poznał okrucieństwa i bezwzględność ich rządów.

Siedział w swej celi na pryczy i rozmyślał nad swym nieszczęśliwym położeniem. Duszę swoją już dawno Bogu polecił i przygotował się na śmierć, której oczekiwał z dnia na dzień, albowiem nie wierzył już w jakikolwiek ratunek. Stał się już na wszystko obojętnym. Tylko na myśl o swojej ukochanej żonie i o drogich działkach tam w dalekim kraju rodzinnym, którzy nie mieli najmniejszego przecucia o jego nieszczęściu, łzy mu się cisnęły do oczu i rzewnie płakał. Nawet już żałował, że tak lekkomyślnie uciekł i dopuścił się tak nierozważnego czynu.

Pewnego razu siedział tak znowu pogrążony w smutnych myślach, gdy nagle skrzypnął klucz w drzwiach jego celi. Cóż to, że o tak niezwykłej porze przychodzi do niego? Albo przychodzi już po niego, żeby wykonać wyrok śmierci? Zbladł i zaczął drżeć. Lecz w tej chwili stanął już na progu celi dozorca, a obok niego jakaś kobieta, której początkowo nie mógł rozpoznać przy szarym świetle, panującym w celi. Kobieta podeszła bliżej do niego, a dozorca cofnął się na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Jelena, albowiem ona to była, przystąpiła do Michała i objęła go za szyję.

— Michale, Michale! — mówiła do niego. — Czy nie poznajesz mnie? Cóżś to porobił, Michale? Czy nie lepiej było zostać przy mnie?

— Pocóżś przyszła do mnie, Jeleno? Pomóc mi i tak nie możesz, chyba, że chcesz się nacieszyć moim nieszczęściem?

— Ja cieszyć się twoim nieszczęściem? Nie, nie, Michale! Ja przyszedłem, aby cię ratować, aby ci pomóc!

— Ty, zwykła kobieta! Żebyś ty mnie mogła uratować i pomóc, nie, w to nigdy nie wierzę, ty sobie tylko drwisz ze mnie...

— Już ci raz powiedziałam, — przebrała mu stanowczo Jeleną, — że ani się cieszyć, ani drwić z ciebie tutaj nie przyszedłem. Ty będziesz żył, a będziesz żył dla mnie samej, rozumiesz? Do mnie będziesz należeć, a do żadnej innej więcej! To jednak będzie zależało także i od ciebie.

Następnie opowiedziała mu wszystko, jak się o tym dowiedziała, że to on był zasądzony na śmierć, jak przez pewnego wyższego oficera uprosiła komendanta, który zmienił mu karę śmierci na bezterminowe więzienie. O jednym tylko zamilczała, a to o znajomości, którą zawarła z Doboszynem i o odwiedzinach u niego.

— Jeleno? Czy to wszystko prawda, co ty powiadasz? — odezwał się Michał. — Jak ja tobie się odwdzięczę, ja, który cię porzuciłem i uciekłem. Dopiero teraz poznaję, jaką ty jesteś kobieta, która dobrym za złe odpłaca!

I już chciał Jelenę objąć i uściskać, lecz naraz wstrzymał się, zamyślił, usiadł na swej pryczy a łzy poczęły mu spływać po twarzy.

— Ty płaczesz? Dlaczego płaczesz? — pytała Jeleną. — Radować się masz, a nie płakać, że śmierci uciekłeś!

— Cieszyć się mam? Dlaczego? Przecież to wszystko jedno: śmierć, albo też bezterminowe więzienie. A może jeszcze lepiej śmierć, aniżeli siedzieć przez całe życie w celi więziennej! — rzekł Michał.

— Nie rozpaczaj, Michale! Rozważ tylko, czy to dopiero jeden więzień uciekł z więzienia? A to, co udało się już dziesiątkom innym, może się udać i tobie. Mam pozwolenie, że mogę cię częściej odwiedzać, zatem naszą rzeczą już będzie obmyśleć jakiś plan ucieczki. Zaraz to nie przyjdzie, bo jak widzisz, dozorca i mnie przy tobie zamknął, ale z czasem da się uspić jego czujność. Pierwszą rzeczą będzie pozyskać sobie jego zaufanie. Nie będzie to rzeczą nader trudną, ze względu na Doboszyna, który sam osobiście dał

mi pozwolenie odwiedzania cię. A Doboszyn, to osobistość, która ma wielkie znaczenie i respekt.

— No, ale co będzie, jeżeli ucieczka się nie uda? — zapytał Michał. — A gdy się uda, to gdzie się ukryjemy, kiedy wszędzie są bolszewicy i mogą nas znowu złapać?

— Ucieczka udać się musi! — twierdziła Jeleną. — Bo uciekać będziemy tylko wtedy, jeżeli będziemy zupełnie pewni, że nam się uda. Inaczej uciekać nie będziemy. Jednak, słuchaj Michale! Uciekać będziemy tylko pod jednym warunkiem!

— Jakiż to warunek? — spytał Michał.

— Warunek taki, że gdy będziemy na wolności, daleko stąd, poślubisz mnie za żonę.

Ponieważ nie było tutaj innego wyjścia dla Michała, a biorąc także wzgląd na jej poświęcenie się dla niego, Michał przyrzekł, że jak tylko będzie wolny i będzie to możliwe, zaraz ją poślubi.

Otrzymałszy przyrzeczenie od Michała, uściskała go, a klucznik już także dzwonił kluczami pod drzwiami, więc Jeleną pożegnała Michała i odeszła.

VI.

Odwiedziny Jeleny u Doboszyna były dosyć częste, ale coraz częstsze stawały się także u Michała.

Dozorca przyzwyczaił się do tego, widząc, jakim zaufaniem cieszy się Jeleną u Doboszyna; nigdy się więc nie sprzeciwiał temu, kiedy szła do Michała, nie chcąc sobie jej ewentualnie zrazić. Nie miał także najmniejszego podejrzenia, ażeby tutaj mogło chodzić o ucieczkę. Zresztą, kiedy od czasu do czasu otrzymał jeszcze od Jeleny napiwek w postaci flaszki wódki, był zupełnie z całej rzeczy zadowolony.

Niekiedy urządzono także i obfitą libację w celi więziennej, przy której ma się rozumieć, nie brakowało ani dozorczy. Dla Michała, chociaż był więźniem, nastały czasy nie najgorsze. Doszło do tego, że Jeleną nawet przez kilkanaście godzin przebywała u Michała w więzieniu.

Już prawie że cztery miesiące upłynęły od dnia zasądzenia Michała na śmierć. Jeleną już miała wszystko gotowe do ucieczki, a plan ucieczki był już

wspólnie z Michałem zupełnie omówiony. Czekano tylko na odpowiednią chwilę, albowiem ryzykować nie chcieli. Chwila ta miała wkrótce nadejść.

Pewnego razu Jelena zauważyła jakiś osobliwy ruch w mieście wśród czerwono-

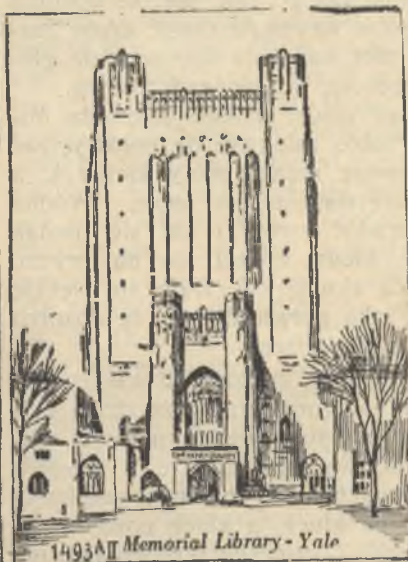
gwardzystów. Zasięgnąwszy języka od dozorczy, dowiedziała się, że od strony północnej zbliżają się oddziały armii gen. Kołczaka, zaś od strony południowej oddziały legionistów czeskich. Wobec tego komenda bolszewicka postanowiła, ażeby

Drzewo janczarów.

Janczary — który Polak by nie wiedział co to są janczary. Ileż powieści pod różnymi tytułami, od różnych powieściopisarzy i historyków polskich przeczytaliśmy, siedząc jeszcze na ławie szkolnej, albo także już i w starszym wieku o napadach Tatarów i Turków na dawną Polskę. Wiele razy ścisnęło nam się serce

rych po wycwiczeniu w wojsku, tworzone specjalne pułki wojskowe. Janczary byli to najgroźniejszy nieprzyjaciele Polaków, którzy odznaczali się wobec nieprzyjaciela największymi okrucieństwami i srogością.

Na obrazku naszym widzimy jedną z budowli w Carogrodzie a obok drzewo janczarów. Drzewo to stare



z żalu nad tymi dziećmi polskimi o których czytaliśmy, jak ich uprowadzono w jasyr (niewolę). Takie dzieci polskie przede wszystkim chłopców, których Turcy uprowadzali w jasyr, umieszczano w specjalnych zakładach w których wychowywano ich w religii mohamedańskiej a następnie oddawano do wojska. Takich to żołnierzy nazywano janczarami, z któ-

parę setek lat, zasadzone zostało przy jakiejś uroczystości właśnie przez tych janczarów i dla tego nazywa się drzewem janczarów.

Jeszcze dzisiaj słyszymy dosyć często słowo janczar, które odnosi się do tego, który zaprzedał swoją narodowość i jest zawsze gorszy od osobnika rodzzonego danej narodowości. Czesi powiadają: „Poturčenec horší turka.“

wojska bolszewickie obsadziły tereny przedmiejskie i tym sposobem uniemożliwiły wejście do miasta wspomnianym oddziałom.

Dowiedziawszy się o tym wszystkim, Jelena postanowiła działać natychmiast. Według jej zdania, nadeszła najstosowniejsza chwila do ucieczki, ponieważ nie będzie żołnierzy w mieście, w razie, gdyby chciano za nimi urządzić pościg.

Jak zwyczajnie, Jelena przyszła znowu w odwiedzin do Michała, lecz tym razem przyniosła więcej wódki i przekąsek, niż zwykle. Poprosiła także i dozorcę, ażeby przyszedł. Ten nie dał się dwa razy prosić.

Popijano i zajadano przekąski, a Jelena ciągle dolewała do kieliszków i zapraszała do picia przede wszystkim dozorcę. Poczęła się na oko do niego zalecać, przypijając z nim raz po raz, tak, że dozorca pozwolił sobie nawet na dosyć grube żarty wobec niej, na co ta odpowiadała głośnym śmiechem, udając zadowoloną.

Dolewając wódki Jelena dolewała Michałowi i sobie zaledwie do połowy, zaś dozory zawsze nalała pełny kieliszek, a niekiedy częściej, aniżeli sobie. Wódka poczęła działać swoje i ani się biedak spostrzegł, kiedy zsunął się na prycę Michała. Za chwilę odezwało się ciężkie chrapanie, jako potwierdzenie, że dozorca zapadł w głęboki sen.

Była już prawie godzina 10 wieczorem. Michał był poinformowany, że dzień dzisiejszy jest wyznaczony do ucieczki. Jelena wstała, wyciągnęła klucze z kieszeni dozorcę, wyszła z Michałem i zamknęła drzwi celi na klucz, a klucz pozostawiła we drzwiach. Z budynku więziennego nie poszli jednak do głównej bramy, gdzie na straży stał żołnierz, lecz przez mieszkanie dozorcę poszli do bocznej furtki, od której Jelena także miała klucz i przez którą dozorca zawsze ją wprowadzał do Michała. Furtkę znowu zamknęto, lecz klucza nie pozostawiła w furtce, lecz go zarzuciła.

Kroki swoje skierowali wprost do mieszkania Jeleny, gdzie oprócz potrzebnych rzeczy do dalszej podróży było przygotowane także i cywilne ubranie dla Michała.

Po przebraniu się Michała do ubrania cywilnego puszczono się natychmiast w dalszą drogę, kierując się tam, gdzie nie było wojsk bolszewickich, to jest w stronę zachodu.

Nie obawiali się pościgu w pierwszych godzinach, ponieważ dozorca spał spity w celi więziennej, a chociażby się przebudził, to i tak prędko się na wolność nie dostanie. Zanim się dostanie na wolność, będą już za siedmioma górami. A jest pytanie, kiedy spostrzeże ich ucieczkę, czy wogóle będzie robił jakiś popłoch, ponieważ sam miałby z tego powodu napewno nieprzyjemności.

Stosunki, jakie panowały na początku rządów bolszewickich w Rosji były takie, że o jednego więźnia napewno nikt się nie pytał. Bo przecież ileż to więźniów umierało w więzieniach bolszewickich, których następnie bez jakichkolwiek oględzin grzebano. Dlatego mógł też umrzeć i Michał.

Druga rzecz była, że nie wiadomo, jak długo utrzymają się bolszewicy w mieście, czy w najbliższych dniach nie zajmą miasta kołczakowcy, lub legiony czeskie.

Tak sobie całą rzecz przedstawiali Jelena i Michał, a mieli w tym wypadku zupełną rację.

Już czternaście dni byli w podróży, a nikt ich nigdzie nie zaczepił, nikt ich nie pytał, skąd idą lub dokąd idą, każdy ich uważał za małżonków.

Po czternastu dniach podróży przybyli nareszcie do Kijowa.

Kiedy już Michał znalazł w Kijowie zatrudnienie, nalegała na niego Jelena, aby ją poślubił. Lecz Michał ciągle jakoś z tem zwlekał.

Jelena, widząc ciągle zwlekanie, zażądała kategorycznie, że albo poślubi ją natychmiast, albo, że wyda go policji, jako uciekiniera z więzienia. Michał, nie mając innego wyjścia, poszedł za parę dni z Jeleną do urzędu stanu cywilnego, gdzie odbył się ich ślub według nowych ustaw bolszewickich, dopuszczając się tym sposobem bigamii, czyli dwużeństwa.

Przez jakiś czas żyli razem dosyć spokojnie i szczęśliwie. Lecz usposobienie Jeleny nie było takie, ażeby zadowolnić się

mogła jednym mężczyzną. Przyzwyczajona do burzliwego życia, wyszukiwała towarzystwa innych mężczyzn, z którymi go zdradzała. Oprócz tego Jelena, widząc, że Michał jest zmuszony milczeć, poczęła go jeszcze maltretować i w różny sposób mu dokuczać.

Ciężko znosił Michał to poniżanie i panowanie nad sobą. Niejedna gorzka łza spłynęła mu ukradkiem po licach, tak jak kiedyś w więzieniu. Nic więc nadzwyczajnego, że postępowanie Jeleny z nim, zrodziło ponownie w jego głowie zamiar ucieczki i opuszczenia Jeleny. Nie było jednak sposobności, ponieważ Jelena zagroziła mu, że w razie najmniejszej próby ucieczki, natychmiast wyda go policji. Strzegł się więc Michał uczynić po raz drugi nierozsądny krok, wiedząc, że tym razem by już napewno nie uszedł z życiem. Dlatego też cierpliwie znosił wszelkie prześladowania ze strony Jeleny, lecz myśl o ucieczce nie opuszczała go. Cekał tylko aż nastanie jakiś przewrót, lub nadarzy się jakaś inna sposobność do opuszczenia Jeleny.

Pewnego rana, a było to latem, Jelena nie wstała z łóżka. Michał zapytał się jej, dlaczego nie wstaje, a ona rzekła:

— Jakoś mi ciężko, coś kłuje mnie w piersiach, jestem chora!

Michał był zdania, że to napewno są skutki jakiejś hulanki, pozostawił więc Jelenę w spokoju, będąc przekonanym, że za dzień lub dwa to przejdzie i będzie znowu zdrowa. Lecz choroba wzmagala się coraz bardziej i Michał sprowadził lekarza. Tenże stwierdził silne zapalenie płuc i polecił natychmiast przewieźć chorą do szpitala.

Jelenie nie podobało się, że musi pójść do szpitala, lecz nie było innej pomocy. Michał też natychmiast postarał się o dorózkę i pojechał z Jeleną do szpitala. Po drodze prosiła go, żeby jej nie opuszczał, lecz żeby strzegł domu, że ma nadzieję, że w szpitalu długo nie zostanie. Michał przyrzekł jej wszystko przy odchodzie, tak, że nie miała najmniejszego podejrzenia.

Michał, powróciwszy do domu, nie miał nic śpieszniejszego, jak pozabierać rzeczy najpotrzebniejsze do podróży i spróbować

raz jeszcze ucieczki, aby nareszcie wydobyć się z niewoli kobiety rosyjskiej.

VII.

Rewolucja bolszewicka już cośkolwiek osłabła, nie włóczyło się już tyle luźnych band czerwono-gwardystów po kraju, dla tego też nie było już takiego niebezpieczeństwa dla jeńców z dawnej armii austriackiej, którzy ciągle wracali do swego kraju rodzinnego. Do tych należał także Michał.

Było to w roku 1923, kiedy Michał stanął nad granicą bolszewicko-polską. Już prawie że dziesięć lat upłynęło od czasu, kiedy opuścił strony rodzinne.

Bez przeszkody, nie spostrzeżony przez pograniczną straż bolszewicką, przeszedł przez granicę na stronę polską. Zaledwie jednak uszedł parę set kroków od granicy, został zatrzymany przez polską straż graniczną. Ponieważ nie miał żadnych papierów przy sobie, ażeby się wylegitymować, a przechodzenie granicy w tym miejscu nie było dozwolone, został odprowadzony na posterunek i oddany komendantowi. Bez strachu przyznał się Michał, że uciekł z niewoli rosyjskiej, opowiedział, lecz niezupełnie, swoje przeżycia i podał miejscowość, z której pochodzi. Celem sprawdzenia jego podania, został w asyście policjanta odstawiony aż na posterunek do Dzieduszyc. Tam opowiedział to samo co pierwotnie na strażnicy, a po stwierdzeniu jego tożsamości został zwolniony, ażeby mógł nareszcie po tak długich latach udać się do rodziny.

Zanim jeszcze przyszedł do domu, to żona jego Jagna już się dowiedziała, że na posterunku znajduje się jakiś mężczyzna, który powrócił z niewoli rosyjskiej i wydaje się za jej męża. Nie chciała początkowo wierzyć, albowiem męża swojego już dawno oplakała, jako nieżyjącego i była przekonana, że napewno chodzi tu o jakiegoś oszusta, ponieważ niemożliwe, aby przez ośm lat nie dał o sobie nic wiedzieć.

Pędzona jednak ciekawością, kim może być ów jegomość, postanowiła pójść na posterunek. Czy naprawdę byłby to on? Lecz dlaczego tak długo pozostawał w niewoli, dlaczego nie wrócił prędzej jak

inni? Dlaczego nie dawał znać o sobie? Te i jeszcze dużo innych myśli snuło się jej po głowie.

Zanim jednak doszła na posterunek, ujrzała jakiegoś mężczyznę z tłumoczką pod pachą, który wolnym krokiem zdążał przeciw niej. Chociaż dziesięć lat się nie widzieli, chociaż obaj już byli cośkolwiek zmienieni, a przede wszystkim Michał, przecież się zaraz poznali i obaj przyśpieszywszy kroku, padli sobie w objęcia. Ściskali się i obaj płakali z radości, że po tak długich latach przecież znowu są razem.

Kiedy przyszedł do chaty rodzinnej, nie mógł się dosyć naopowiadać o swych przeżyciach i przygodach, jakie zażył w niewoli. Przede wszystkim chłopaki, które już były wyrosnięte i po zapoznaniu się z tatusem, ciągle stawiali mu jakieś pytania, na które musiał im odpowiadać. Opowiadał o wszystkim: o wojnie, o tym jak był ranny, następnie o pracy we dworze, jak pierwszy raz uciekał i jak go złapali itd., lecz o Jelenie i o małżeństwie z nią wogóle nie wspominał. Nie chciał, żeby wiadano o tym, że w Bolszewii pozostawił drugą żonę.

Prawie że już dwa lata minęły od czasu, gdy Michał powrócił z niewoli. Czuł się znowu szczęśliwym wśród swojej rodziny i znowu, jak przed wojną, pracował na roli. Już powoli zapominał o tem wszystkim, a zapominał także i o Jelenie. Był pewnym, że Jelena albo w szpitalu umarła, albo kiedy się przekonała, że go już więcej nie ujrzy, zupełnie zrezygnowała i zapominała o nim. Wszak już przed tym miała poza nim dosyć innych mężczyzn, to obecnie może mieć ich jeszcze więcej. Lecz w tym wypadku Michał grubo się pomylił.

Pewnego razu otrzymał niespodziewanie wezwanie stawienia się w sądzie. Ciekawym był, co mogą w sądzie od niego żądać. Jest przecież pewny, że żadnej sprawy tam niema. Lecz zawezwali, więc musi pójść. Kiedy przyszedł do sądu, sędzia śledczy oznajmił mu, że ze sądu w Kijowie, gdzie Michał jako jeńiec ostatnio przebywał przyszło na niego doniesienie, że pomimo, iż jeszcze przed wojną był

żonaty, tam w Rosji ożenił się powtórnie z Jeleną Popadjow, co nie zgadza się z ustawą i jest karne.

Nieprzyjemny strach ogarnął Michała na tą wiadomość, za pierwsze, że groziło mu tutaj więzienie za dwużeństwo, a za drugie, że będzie miał nieprzyjemności z Jagną. Zapierać było tu trudno, bo akta ze sądu w Kijowie leżały przed sędzią, w których była dokładna data jego zaślubin.

Jelena, która po czterech tygodniach wróciła ze szpitala, widząc, że Michał przecież zwał groch, wściekała się ze złości, lecz wiedziała, że nic nie poradzi, bo Michał z pewnością będzie już w Polsce. Radaby się na nim zemścić za jego czarną niewdzięczność, lecz jak? Dopiero po pewnym czasie poradził jej jeden ze znajomych, że mogłaby wnieść do sądu doniesienie na Michała o dwużeństwo a tym sposobem zemści się na Michale, bo sąd w Kijowie napewno wyśle akta za Michałem do Polski. Jelena usłuchała rady i zrobiła doniesienie do sądu na Michała o dwużeństwo, przyczem zeznawała jako świadek, legitymując się jako jego żona. Widział więc Michał, że nic mu już tutaj nie pomoże, że będzie się musiał przyznać do wszystkiego, co także uczynił. Bronił się jednak tym, że działał tu pod przymusem, a zarazem wniósł podanie do sądu o unieważnienie jego drugiego małżeństwa.

Akt oskarżenia został jednak wypracowany a w krótkim czasie Michał stanął przed sądem. Rozprawa nie trwała długo, bo świadków nie było, a był tylko oskarżony Michał i akta z doniesieniem ze sądu z Kijowa.

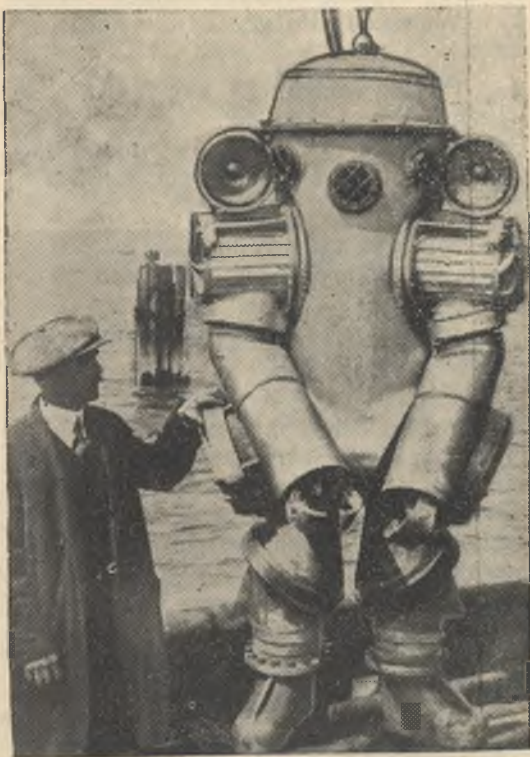
Niedługo był też i wyrok sądu, który brzmiał:

„Ponieważ Michał Jahyła działał w tym wypadku pod przymusem groźby utraty życia, z powodu tego sąd zwalnia go od winy i kary, a zarazem orzeka drugie małżeństwo z tego samego powodu, zawarte w Rosji z Jeleną Popadjow, za nieważne.“

I dopiero po jedenastu latach skończyła się tragedia żołnierza austriackiego, jako jeńca wojennego.

Najnowsze ubranie dla nurka.

Człowiek zdobył ziemię, zdobył morze, zdobył i powietrze. Chcąc jednak dostać się do głębin morza, co nie jest tak łatwą rzeczą, bo trzeba mieć do tego odpowiednie przyrządy, odpowiednie ubranie. Nurek tj. tyń który spuszcza się na dno morskie, to nie ryba, lecz człowiek który oddycha płucami a nie skrzelami. Dlatego już tutaj są trudności z dostarczaniem powietrza. Następnie trzeba sobie przedstawić, jaki ogromny ciężar wody spoczywa na dnie morza, powiedzmy chociażby tylko w głębokości 100 metrów. I tu więc trzeba pierwsze: ażeby człowiek faktycznie mógł się spuścić, trzeba go odpowiednio zaciążyć, bo trzeba wiedzieć że jeżeli taki kolos jakim jest okręt potrafi się utrzymać na wodzie, to i człowiek żywy tak samo by nie utonął, jeżeli się nie napelni wodą. Dalej trzeba mieć na sobie coś takiego, ażeby wytrzymać ten ciężar i te ciśnienia wody, w przeciwnym razie zostałby taki nurek zupełnie zgnieciony. Na obrazku naszym widzimy takie ubranie nurka, najnowszy wynalazek amerykański.



KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

Ktoś zapukał na drzwi. Kopyścino otwórz i widzi żebraka.

— A już was tu długo nie było, wy darebaku jeden. Robić się wam nie chce, a chodzicie i obciążacie ludzi. Natchmiast mi się wynościć, bo zawołam męża.

— Ale nie cyganią gospodyńko, bo panoczka nimają w chałupie.

×

Policjant ujrzał złodzieja, gdy ten wdrapał się na dom bogatego kupca.

— Hej! Co tam robicie?

— Pst! Ani słowa więcej, bo ja jestem lunatyk! Jak mnie obudzicie, to spadnę i zabiję się!

×

— Ty, Zosia, co to za moda? Sąsiadka mi mówiła, że widziała w parku, jak siedziałas Pawłowi na kolanach. Cóż to ma znaczyć?

— Tak mamusi! Ławka w parku była świeżo nabarwiona, więc nie mogłam sobie przecież uszkodzić toalety.

×

Pani przyjechała z urlopu i pyta się służącą:

— Czy pan jadał obiad i kolację zawsze w domu?

— Zawsze. Tylko kilkakrotnie nie jadł śniadania w domu, bo przyszedł tak późno, że musiał iść natchmiast do służby.

×

— Mam ci zwierzyć wielką tajemnicę. Czy nie będzie nas tu kto podsłuchiwał?

— Nie bój się. Jesteśmy sami.

— Wiesz co? Pożycz mi sto koron.

×

— Pijecie wódkę? — mówi lekarz do pacjenta.

— Ale panie doktorze, nigdy nie myślałbym, żeby mnie kiedy pan poczęstował.

×

— Panie, tu jest przedział dla kobiet! — mówi konduktor do wsiadającego pasażera.

— Tylko bez obawy, panie konduktorze. Już ja sobie dam rady.

×

Po meczu bokserskim w Nowym Jorku przechadza się Schmelling po ulicy wieczór, aż nagle widzi, jak ogromny chłop bije na ziemi jakiegoś małego i słabego osobnika. Schmellingowi żal się zrobiło biedaka, i wyciągnawszy swą pięść, uderzył nią tak silnie olbrzyma w twarz, że ten padł na ulicę. Teraz powstał ów mały osobnik, popatrzył się na Schmellinga, wyciągnął 50-dolarówkę, podał mu ją i mówi:

— Dziękuję, panie! Oto jest nagroda za uratowanie życia! Jest to połowa tego, co mu ukradłem.

×

Dwaj adwokaci, jeden ogromnie wielki a drugi nadzwyczaj mały, zastępują w sądzie dwóch chłopów, którzy pobili się o miedzę. Każdy z adwokatów broni swego klienta, tak, że obaj się przy tym pokłócili.

— Panie kolego! — mówi wielki adwokat — niech pan nie gada głupstw, bo mógłbym przecież pana schować do kieszeni.

— Toby szło! — odpowiada znów mały adwokat. — Ale wtedy pan kolega miałby o wiele więcej rozumu w kieszeni, aniżeli w głowie.

×

— Co kosztuje to ubranie?

— Płaci to pan gotówką, czy na raty?

— No, a co kosztuje za gotówkę, a co na raty?

— Za gotówkę 400 koron, a na raty 800 koron, ale połowę trzeba zapłacić natychmiast.

×

Koledzy widzą, jak Chroboczek w gospodzie pije „czystą“ przez słomkę.

— Jakto? Boisz się bakcyli? — pytają się go z ciekawością.

— Nie, ale przysięgłem mojej żonie, że nie chwycę do ręki ani szklanki, ani kieliszka i przysięgi chcę dotrzymać.

×

— Panie, czy nie widział tu pan w pobliżu żandarma?

— Nie widziałem.

— Tak jest wszystko w porządku. Dawać pieniądze, albo strzelam!

×

— Co? Siedmdziesiąt lat macie, a jeszcze odważyliście się ukraść samochód.

— Przepraszam, ale gdy miałem dwadzieścia lat, to wtedy jeszcze nie było samochodów.

×

Pewien sprytny złodziej ostrawski przebrał się za kobietę, gdy go policja szukała i przechadzał się po ulicach niepoznany. Policjanci chodzili około niego, nie wiedząc, że to on. Aż dopiero złapał go detektyw.

— Jak go pan poznał? — pyta się inspektor.

— Bo szedł około okna wykładowego modystki, w którym był wystawiony najnowszy model damskiego kapelusza i ani na niego nie spojrzał. Odrazu poznałem, że to nie jest habskie stworzenie.

×

Do szofera czekającego z taksówką w Czeskim Cieszynie przed dworcem przychodzi jakiś pan i pyta się go, ile by to kosztowało, gdyby go zawiózł do Ropicy i z powrotem.

— Dwadzieścia koron! — mówi szofer.

— To dużo.

— Taniej nie można.

— Proszę sobie usiąść do samochodu, a ja zawiózę pana za dziesięć koron. Jestem także szofer! — mówi jegomość.

×

— Byłem wczoraj w kąpielu i ważyłem się na wadze.

— Brutto, czy netto?

— Nie rozumiem.

— No, przed umyciem, czy po umyciu?

×

Niezwyczajne budowle ptaków.

Na wiosnę i w lecie roi się u nas od najrozmaitszego ptactwa. Każda para gnieździ się przynajmniej raz na rok, a jednak tak rzadko stosunkowo udaje się ludziom znaleźć gniazdo. Ptaki bowiem są mistrzami w wynajdywaniu na gniazda miejsc najmniej rzucających się w oczy, ponadto umieją swe gniazda doskonale maskować, tak, że często niepodobna ich dostrzec na tle otoczenia. W ten sposób ukrywają ptaki swoje potomstwo przed okiem wrogów.

Niektóre gatunki zapewniają bezpieczeństwo dla swych gniazd przez to, że budują je w miejscach niedostępnych, lub też czynią je niedostępnymi, dzięki pewnym specjalnym pomysłowym urządzeniom.

ARTYŚCI KUNSTU TKACKIEGO I KRAWIECKIEGO.

Z naszych ptaków najsprytniej zabezpiecza gniazdo przed wrogami remiz, mały ptaszek, spokrewniony z sikorami. Z puchu nasion wierzby i topoli, z włókien roślinnych, sierści zwierząt i innych podobnych substancji, tka on na końcach cienkich i giętkich gałązek wierzbowych, zwieszających się nad wodą, wielkie gruszkowate gniazdo. Jedyne wejście do gniazda prowadzi z boku przez wąski, rurkowaty korytarz, skierowany skośnie ku górze. Takie kunsztowne urządzenie doskonale chroni gniazdo przed natarczywością drapieżców. Czworonóg żaden nie dostanie się do gniazda zwieszającego się nad wodą po cienkiej, giętkiej gałązce wierzbowej, zaś ptak drapieżny np. sroka, pustosząca często gniazda ptaków, nie zdoła wcisnąć się do wnętrza przez wąski korytarz, mocnych zaś i grubych ścian nie potrafi rozerwać.

Podobne gniazdzka budują afrykańskie tkacze, chociaż używają innego materiału. Zewnętrzna ściana takiego gniazda jest plecionką z grubych i mocnych źdźbeł traw i włókien roślinnych, wnętrze zaś wyścielone jest jak u innych ptaków miękką tkaniną. Dostęp do niego jest jeszcze trudniejszy niż do gniazda remiza, gdyż wejście prowadzi prosto od dołu przez

długą misternie uplecioną rurę. Tędy dostaje się ptak do pewnego rodzaju przedścionka, który łączy się z drugą częścią gniazda, właściwą komorą lęgową.

Egzotyczny mieszkawiec Indii angielskich, krawczyk, znany jest ze swoich zdolności, którym zawdzięcza nazwę we wszystkich językach. Zeszywa on nitką bawełnianą własnego wyrobu brzegi dwóch wielkich i mocnych liści i w worku w ten sposób powstałym ściele gniazdo.

W bardzo dowcipny sposób umie niedostępnić swoje gniazdo nasz pluszcz kordusek. Jest to ptaszek wielkości szpaku, brunatny, z białą gardzielią, uwijający się stale nad potokami górskimi. Wyśmienity nurek wyławia swój pokarm złożony z rybek i owadów wodnych z dna potoków. Gniazdo swoje umieszcza na ziemi w pobliżu wody, często poza wodospadami, tak, że chcąc się do niego dostać, musi przebić ścianę spadającej wody. Dla zabezpieczenia przed pyłem wodnym nakrywa gniazdo od wierzchu mchem.

JADALNE GNIAZDA.

Na niedostępnych skałach nadmorskich wsch. Azji i wysp oceanu Spokojnego, lepią swoje jadalne gniazda salangany, ptaszki pokrewne naszym jerzykom. Wydzielinę własnego organizmu, twardniejącą szybko na powietrzu, przylepiają dzióbkiem do skały, zupełnie podobnie, jak jaskółki błoto do muru. Gniazdo gotowe ma kształt miseczki o cienkich przeźzystych ściankach. Gniazda takie gotowane stanowią przysmak dla Chińczyków, a w ostatnich czasach znalazły zupy z gniazd salangany amatorów także i w Europie.

Mistrze kunsztu murarskiego jaskółki. używają do lepienia swych gniazd gliny i ziemi, zarobionej własną śliną. Taka zaprawa murarska doskonale czepia się ścian domu, schnie szybko i zamienia się w twardą masę.

Gniazdo takie ulepi sobie jaskółka sama i tylko w takim wylęgnie młode.

Pewien nauczyciel, który spędzał swoje wakacje na wsi, zamieszkał we dworku, gdzie zwróciły jego uwagę para jaskółek,

które sobie w chlewie u belki lepiły gniazdo. Przypatrywał im się jak ciągle odlatywały i przylatywały, przynosząc za każdym razem w dziobku kawałek błota i lepiły sobie domek. Żał mu się zrobiło, widząc jak żmudną pracę muszą wykonywać te małe stworzenia, zanim wybudują sobie własny domek. Chciał im zatem pomóc w budowaniu gniazda.

Pod szopą znajdowało się stare już opuszczone gniazdo jaskółek. Zdał gniazdo ostrożnie, a kiedy jaskółki odleciały po nowy materiał, prędko podbił pod nowo-budowane gniazdo gwóźdź, a na to przypiepił stare gniazdo, tak że już było całe gotowe, zanim jaskółki przyleciały z powrotem. Odszedł i z daleka się przypatrywał, będąc pewny, że jaskółki będą się cieszyły z tego, że mają już gniazdo gotowe. Tymczasem stało się coś innego. Jaskółki przyleciały z błotem w dzióbkach, a widząc co się stało zaczęły pisać, błoto z dzióbek wypuściły, oblatując kilka razy w chlewie i koło gniazda, aż nareszcie wyleciały oknem w pole. Parę razy jeszcze powróciły do chlewa naby dla zbadania co się dalej tam dzieje. Kiedy nie podejrzanego nie zauważyły, na chwilę poszczebiotały i znowu odleciały. Za chwilę przyleciały znowu niosąc każdą kawałek błota w dziobku i poczęły sobie lepić gniazdo w innym miejscu, nie zwracając w ogóle uwagi na stare gniazdo.

Z tego wynika, że jaskółki w żadnym innym gnieździe zrobionym przez kogoś innego nie będą wylęgały swoich młodych, tylko w gnieździe zbudowanym swoją własną pracą, w czym różnią się od innych ptaków jak n. p. szpaków, dla których umyślnie robi się tak zw. kałużki.

SKRZYDLACI MURARZE.

Sztuka budowania murowanych domów kwitnie także wśród ptaków południowej Ameryki. Wśród nich tworzy prawdziwe arcydzieło w swoim zawodzie tak zwany garncarz. Z podobnego materiału jak jaskółki lepi on na gałęziach niewysokich drzew gniazdo kształtu kulistego z otworem z boku. Budowa ta jest tak solidna, że nawet ulewne deszcze tropikalne nic jej nie szkodzą.

Bardzo oryginalne kolonialne gniazda budują środkowo - afrykańskie ptaszki z rodzaju Philetarius. Są to małe ptaszki rodzaju wróbla, a jednakże gniazda ich należą do największych na świecie. Początkowo kilka rodzin buduje na gałęziach drzewa pod wspólnym dachem każda dla siebie osobne mieszkanie. Z roku na rok ilość mieszkańców kolonii powiększa się, każda para buduje sobie nowe mieszkanie, doczepiając je do wspólnego dachu, tak, że z biegiem czasu gniazdo całe dochodzi do tak wielkich rozmiarów, że pod jego ciężarem łamią się często gałęzie drzewa.

PROCESY GNICIA ZASTĘPUJĄ CIEPŁO CIAŁA MATKI.

Większość ptaków wytwarza temperaturę potrzebną do wylęgania się młodych przez wysiadywanie jaj. Istnieją jednakże pewne bardzo ciekawe wyjątki.

I tak afrykańskie strusie znoszą jaja w dołkach wykopanych w gorącym piasku pustynnym. Wysiadyują je tylko w nocy, a w dzień pozostawiają je zasypane piaskiem opiece słońca, którego ciepło zastępuje rozwijającym się zarodkom organizmu matki.

W najoryginalniejszy i najdowcipniejszy sposób umieją zużytkować siły przyrody ptaki z wysp archipelagu Malajskiego, z rodziny Megapodidae. Gromadzą one na kilka miesięcy przed zniesieniem jaj na słonecznych północnych stokach wzgórz (na południowej półkuli słońce oświeca wprost przeciwnie niż u nas, silniej północne stoki wzgórz), olbrzymie stosy liści, gałązek i innych substancji roślinnych, otaczają je dookoła wałem piasku i zostawiają na dłuższy czas swemu losowi. Nagromadzony materiał nasiąka wodą deszczową i wkrótce rozpoczynają się w nim procesy butwienia i gnicia. Procesom tym jak wiadomo, towarzyszy wydzielanie się ciepła. Po czterech lub pięciu miesiącach, gdy procesy te są w całej pełni, a wewnątrz stosu wytworzyła się wysoka temperatura, ptaki powracają. Samica znosi wewnątrz pagórka w odpowiednio urządzonej komorze lęgowej jaja i wspólnie ze samcem nakrywa je troskliwie liśćmi. Rodzice jaj nie wysia-

dują, jednakże czuwają w pobliżu nad bezpiecznym rozwojem młodych. W pierwszym rzędzie pilnują, aby temperatura wewnątrz stosu nie podniosła się za- nadto albo nie upadła. W razie potrzeby rozgrzebują stos, aby temperaturę obni- żyć, albo przeciwnie poddać działaniu słońca. W czasie zimnych deszczów na- krywają gniazdo grubszą warstwą liści i gałęzi. Jednym słowem umieją one, obda- rzone jakimś dziwnym instynktem, regu- lować temperaturę potrzebną do wylęgu młodych, dzięki czemu nadano im nazwę ptaków termometrowych.

Ponadto spulchniają często przez roz- grzebywanie nagromadzony materiał ro- ślinny, co ułatwia dostęp powietrza do wnętrza. Jeżeli rodzice zostaną zabici lub przepłoszeni, to zarodki zwykle wkrótce

giną z powodu braku powietrza, które nie może przeniknąć przez stwardniałą powierzchną warstwę gniazda. Jeżeli młode wylęgna się szczęśliwie, wygrze- bują się same na powierzchnię, kryją się prędko w zaroślach i odtąd są już zdane na własny przemysł.

Rodzice, tak troskliwie dbający o jaja, nie troszczą się zupełnie o wylęgnięte młode.

Niezwykły instynkt tak kunsztownych gniazd i tak skomplikowanej opieki rodzi- cielskiej, dziedziczą ptaki nieomylnie. Na- wet ptaki wyjęte wcześniej z gniazda i wychowywane przez człowieka, umieją po dojściu do dojrzałości budować takie same gniazda i z tego samego materiału, jak to czynili ich rodzice, mimo, że nie mogły się tego od nikogo nauczyć.

Indyjscy więźniowie.



W latach 1930 i 1931 doszło w In- djach do wielkich zaburzeń. Władze angielskie którym podlegają Indie po- czyniły szereg aresztowań wśród lud- ności indyjskiej. Po stłumieniu buntu

w drugiej połowie 1931 roku wypu- szczono wszystkich więźniów areszto- wanych podczas wspomnianych zabu- rzeń, których widzimy na naszym obrazku.



O Michale, co diabła w sobie miał.

Z opowiadań ludu wiejskiego.

Znałem go bardzo dobrze. Michał było mu na imię, znany był pod tym imieniem w całej parafii Czarnego Potoka i w wioskach sąsiednich. Jakie było jego nazwisko, nikt na pewno nie wiedział... Kto by się zresztą o to troszczył. Skoro wariat był i to niezwykle, bo diabła w sobie miał...

Mówili wprawdzie ludzie, że Łukasiek mu było na przydomk, ale żaden z majątnych Łukasików do niego się nie przyznawał. Ani ci, co na Wołakach gazdami byli, ani ci, co w Czarnym Potoku na roli siedzieli, ani ci, co we Wolicy kmieściami się zwali, znać go jako swego nie chcieli, bo kto by się tam z takim powinowacił, co diabłu duszę sprzedął i diabła w sobie miał... Nazywał się krótko Michał...

Kiedy byłem małym chłopcem, widywałem go tylko zdaleka. Na folwarku w Jadamwoli do cieląt i źrebiąt służył, dla wszystkich dzieci był w okolicy postrachem. Nie tylko dzieci, ale i kobiety bały się go jak ognia piekielnego, a z parobków dorosłych żaden by z nim w jednej stajni nie spał; a i rozmawiać albo robić z nim we dwójkę, jeżeli więcej chłopów nie było, mało kto by się był odważył. Wprawdzie nie słyszał było, żeby kiedy komu co złego zrobił, ale dziwny człowiek był, — diabła miał.

Widywaliśmy go nieraz z za płotu lub z za węgla, bo codziennie do dworu do Potoka po jedzenie sobie chadzał. Bywało nieraz, postawi na ziemi dwojaki, popatrzy w górę, ku niebu, poczyną coś do siebie mamrać wymachiwać rękami, potem biegnie na oślep, — fosa nie fosa, kamienie nie kamienie, woda nie woda. Najczęściej brało go tak koło pańskiej parii, gdzie w nocy straszało i gdzie duchy inżynierów, którzy za życia źle grunta pomierzili, koło północy z światłami chadzały. Jeszcze gorzej bywało z nim na działach Jadamwolskich nad stawiskami, gdzie boginki jakieś siadywały i każdego idącego w nocy wodziły, jeżeli się trzy razy w nocy nie przeżegnał i „Kto się w opiekę“ nie odmawiał — i jeśli sobie nie

przypomniął, na który dzień ostatnie Boże Narodzenie było.

Toby jednak wszystko było głupstwo... Przecież i Jędrus z Marcinkowic, który często te okolice odwiedzał i Józek Bobak krajan, tamtejszy, — też wariowali, sami do siebie głupstwa gadali, — a nikt się ich nie bał, — bo choć wariatami byli, diabła nie mieli.

Co innego Michał. — Straszne i okropne rzeczy o nim rozpowiadano. Starzy ludzie pamiętali go od dziecka. We dworze wtedy do kłaczat służywał, a że śwarny był, sens i ciekawość do wszystkiego miał, dostał się wnet za leśnego do dworskiego lasu. Lasy były wtedy jeszcze prawie nie tykane, to też i zwierza wszelkiego była wielka siła. Jelenie i sarny, liszki i dzikie świny spotykało się wszędzie, nieraz w zimie człowieka wilki zagryzły, a na drzewach gnieździły się jaźwcy, co krew z ludzi tylko wyssawały, a z największą zaciekłością na kobiety będące w „takim“ stanie się rzucały.

Michał śmiały i mocny był, niczego się nie bał, w lesie mu było jak w domu. Nóż ogromny zawsze przy sobie nosił i niejednego dzika nim zakłuł, strzelbinę jakąś skądś wyrwał i wszelkie bestyństwo, jakie napotkał, strzelał — i nie przytrafiło się, żeby chybił. Czy mu wolno było, czy nie, strzelał. Zresztą, co mu tam!... nie bał się. Oko dobre we dworze miał, bo porządku w lesie dopilnować umiał, jak nikt inny, a przyszło polowanie, to on zawsze najlepiej wiedział, gdzie i jak zwierza ruszyć. Wiedział też, że go nikt nie przyskarży, bo go ludzie szanowali, ile, że jak mógł, każdemu we wszystkim wygodził, gorzałki nieraz w karczynie kazał, wreszcie musieli się go bać, — bo z dzików i wilków mięso jedząc, mocny strasznie był... mógł się mścić. Strzelał co się dało, a zawsze szczęśliwie, więc ładny zarobek z tego miał.

I wszystko by może było dobrze, gdyby nie to, że raz przy zmroku nie dowiedział i jelenia z białym krzyżykiem między rogami postrzelił. — Pan Bóg mu go, czy

diabeł nasłał, niewiadomo, ale od tego czasu — jakby ręką odwinął. Przez cały rok nie zastrzelił nic, bo zawsze stale pułdował. Bywało, że chociaż na parę kroków do bestii takiej strzelał, nie trafiał. Czary, czy nie czary, uroki, czy nie uroki, czy go diabeł kusił, czy pan Jezus doświadczał, sam nie wiedział, ale nie sposób było tak dalej żyć. I śmiech i złość go brała ale poradzić nic nie mógł. Już i fuzję dał poświęcić i ze święconego ołowiu kule robił — i do Bacy do Kamienicy z fuzją chodził, żeby czary odmówił — i w Młyn-czyzkach był u starej baby, co „coś wiedziała“, żeby uroki odczyniła, — to znowu na Mszę świętą do Czarnego Potoku przed Matkę Boską cudowną dawał, żeby go zło opuściło i na Kalwarię na odpust do spowiedzi chodził... wszystko na darmo. Nie wiedział już sam, co ma robić, chodził po lesie jak głupi, od ludzi uciekał, bo się z niego pośmiewali, a że grajcarów uciulanych dosyć miał, więc się nosił już z myślą za służbę podziękować, — w świat iść i roboty innej szukać. Ale go wiadać czarny już dobrze w swoje pazury wziął, że tylko to do tego jelenia z białym krzyżem między rogami strzelał — i już go ze swojej czartowskiej opieki nie wypuścił.

Było w Potoku wielkie polowanie. — Zjechało się różnej szlachty wiele, między innymi przyjechał skądś ze świata jakiś strasznie wielki pan. Hrabia go nazywali, a za nim zawsze chodził jego strzelec, w cudacznym jakimś ubraniu, podobny całkiem do diabła, jak go na obrazach malują.

Jużci to nie kto inny był — jak się to później pokazało — ino sam czarny z piekła rodem, ale wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział. — Strzelec, choć się za Niemca podawał, po naszymu się zgadać umiał, wesoły był, nie honorny, z każdym pogwarkował, a i gorzałki się z ludźmi rad napijał, tyle ino, że ze żydem po szwabsku szwargotał. Ale co tam... Niemiec przecie był.

Z Michałem się też polubili. — Razem na wódkę chadzali, a Michał kontent był, że się mógł przed nim na swoje strapienie użalić, a może sobie i myślał, że Niemiec, człowiek światowy, radę jakową na jego

nieszczęście wymyśli. — Ano nie pomylił się... Dał ci mu Niemiec radę, dał... Niech tam Pan Bóg każdego od takiej rady zachowa.

Siedzieli raz na Wolakach u starego Herszli przy wódce. Michał pijany już trochę był, rozmarkocił się strasznie, głowę podparł, nic nie mówił, w jedno miejsce stołu się wpatrywał — Niemiec go za rękaw pociągnął i powiada:

— Ty się Michał nie turbuj! ja ci poradzę, że szczęście będziesz miał takie, jakiegoś nigdy nie miał, ale musisz zrobić to, co ci każe. Mnie to jedna czarownica poradziła i od tego czasu jeszcze nie chybił; żebyś do muchy strzelił, to trafie.

Michał z uciechy aż oczy wybałuszył, nuże przysięgać, że wszystko zrobi, co będzie trzeba.

Wtedy Niemiec wyciągnął z kieszeni krede (jużci ta pewnie poświęcona była), narysował na stole koło, w kole serce, a w sercu wymalował imię Jezus i powiada:

— Weź nóż, wbij go tu do środka i trzymaj tak długo, aż odmówisz trzy razy pacierz na wspak, z tyłu zaczynając; potem pójdziesz do lasu i wbijesz nóż w ziemię i tak głęboko, żeby go nikt nie znalazł. Ale — powiada Niemiec — pacierz musisz odmawiać tak, żebyś się nie zająknął, bo inaczej wszystko przepadło.

Michał w głowie już miał, a moce szatańskie przystęp łatwy do niego miały, — że to do spowiedzi już dawno nie był i pacierza ponoć jakiś czas nie odmawiał. To też nie pomyślał sobie biedaczysko, co robi. Wziął nóż, imię Jezus przebił i pacierz na opak, jak mu Niemiec kazał, odmawiać zaczął. Ale nie długo to trwało. Już tam wiadać diabeł tak zrobił, a może go i Pan Jezus pokarał, bo się zająknął. Oczy mu w ślup, a włosy dębem stanęły. — W karczmie się zrobił straszny huk, Niemiec gdzieś jakby w ziemię przepadł.

Michał z karczmy wybiegł, po polach gonił, kłął tak straszliwie i bluźnił przeciwko Bogu, że aż strach wspominać — do lasu pognął, drzewa z korzeniami wyrывał, kamienie takie, żeby jednego dziecięciu chłopów nie udźwignęło — po polach rzucał,

Co tam dużo gadać... ten Niemiec to diabeł był i w Michała wstał, Rumor po wsiach się ogromny zrobił, strach ludziom było z chałupy głowę wychylić, ale coś trza było zrobić. —

Zeszły się chłopcy, rada w radę, a taki i na diabła sposób się musi znaleźć.

Wzięli powrozy, wzięli łańcuchy, organista — a mądry człek był — kredą poświęconą je pomazał, wodą święconą z Wielkiej Soboty je pokropił — i poszli do lasu potockiego, gdzie Michał komedie wyprawiał. Zarzucili na niego powrozy, ale co tam dla diabła powrozy... Potargał je jak nitkę. Zarzucili łańcuchy... Nie było na niego rady, bo mocny jakiś diabeł w nim siedział.

Ale był we wsi jeden stary chłop, co wiele świata zjeździł i niejedno słyszał. Ten tak powiada:

— Na takiego, co nie jest sam, powróz, ani łańcuch, choćby najgrubszy był, na nic — bo go potarga. Ale na łyczaku, a jeszcze poświęconym, to i samego diabła utrzyma.

No i prawdę ten chłop powiedział, bo jak Michała poświęconym łyczakiem omotali, to zaraz osłabł. —

Związanego przyprowadzili do księdza. — Ksiądz się zaczął nad nim modlić, egzorcyzmy odprawiać, ale jak diabeł zaczął przez Michała księdzu przeróżne przytyki dawać (bo czego by tam diabeł nie wiedział), kiedy ludzie po cichu to i owo gadali, a gospodynie docinać, pijatki i różne grzechy wypominać, tak się ludzie zaczęli śmiać, a ksiądz na plebanie się schował.

Odprowadzili potem Michała do Łukasiakowej szopy w Potoku, łyczak pomiędzy dwie belki do stodoły przesmyknęli, w stodole przez gruby, długi, żelazny kół łyczak przedzierzgnęli i tak Michała w szopie w stodole uwiązali. Stary Łukasiak grajcarek jego zabrał i jeść mu za to dawać miał. — I tak lato nie lato, zima nie zima. Michał w szopie siedział, garść słomy kiedy niekiedy Łukasiak rzucił, od czasu do czasu gnój z pod niego zabierał. — Ludzie się do niego przyzwyczaili, bo się uspokoił, czasem jeszcze poklął, ale coraz rzadziej się to trafiało, tyle tylko,

że do siebie wciąż coś mamrał. Jaki taki mu i żarcia czasem jakiego cisnął, bo Łukasiak coraz mniej jeść dawał — że to niby już pieniędzy brakowało (choć to nieprawda była), — a on za dwóch musiał jeść, bo diabła przecie w sobie miał. Ale i diabłu w nim widać nie było dobrze, bo się do cna uciszył i uspokoił. Michał też spokojniał, schudł, skóra i kości ino na nim były. Łukasiak go dłużej już nie chciał, co było robić... puścili go. Z początku ludzie się go bali, ale jak widzieli, że pokorny, jest zaczęli go brać do roboty. Robotnik z niego dobry był, za trzech robił, co mu się dało, to wziął, a zapłaty wielkiej nie żądał. Ano nie dziwota, diabeł mu przecież pomagał. A mądry to jakiś diabeł w nim siedział. Skoro zobaczył, że wyprawianiem komedii nic dobrego dla siebie nie zrobił, bo na łyczaku uwiązany musiał siedzieć, to się wnet uspokoił... ale wygnąć się nie dał. Parę razy przyjeżdżali rozmaici księża i święcy i klasztorni i próbowali go z Michała wypędzić, ale on zawsze rozmaitych głupstw księżom nagadał, a widać prawdę mówił, bo zawsze księża od niego co tchu uciekali, a potem to już i żaden egzorcyzmów nie próbował. Później to i sam Michał do kościoła przychodził, ale tylko we drzwiach pod chórem stawał, dalej mu wejść czarny nie dał. Nieraz chciał i pacierz mówić, ale wtedy go zaraz brało, z kościoła uciekał i na głos ze sobą gadał. Ostatecznie dostał się na folwark do służby, gdzie tam z cielećkami i źrebietkami sypiał, boć choć nikomu krzywdy nie robił, wariat był... diabła w sobie miał... Ludzie się go po trochu już bać przestali, ale mu zawsze jeszcze nie dowierzali...

Minęło parę lat. Znalazłem się znów w rodzinnej wiosce. Było to w jeden z tych precudnych poranków czerwcowych, kiedy słońce, wstawszy wczesnym rano, kapie się w rześzystych kropłach rosy, nadając im precudny blask pereł, diamentów i wszelkich innych szlachetnych kamieni. Aromatyczna woń idąca z łąk i pól drażniła silnie mój zmysł powonienia, a koncert śpiewaków polnych uzupełniał i tak już bardzo silne estetyczne wrażenie. Bło-

go mi było w duszy tak, jak tylko młode-
mu człowiekowi w świat dopiero wstę-
pującemu w taki poranek być może. Z łą-
ki dworskiej dochodziły mię głosy ludz-
kie, to znowu słyszałem ostrzenie kos...
Sieczono widocznie siano. Skierowałem
tam swoje kroki, aby zobaczyć znajo-
mym gospodarzy, których dawno nie wi-
działem. Przywitałem ich zwykłym „Daj
Boże szczęście“ i zacząłem z nimi rozmo-
wę, a potem żartem zapytałem się, dla-
czego się dali jednemu kosiarzowi i to ja-
kiemuś staremu tak daleko wyprzedzić.

Kosiarze gęby pootwierali ze zdziwienia
i oczy na mnie wybałuszyli. Za chwilę
dopiero jeden zbliżył się do mnie i wy-
szeptał półgłosem:

— Panie, ta to Michał, to wariat, co
diabła ma w sobie! Ktoby ta blisko niego
siekł... diabła przecie ma.

Przypomniało mi się wszystko, com w
dzieciństwie o nim słyszał. Dreszcz mię
w pierwszej chwili jakiś dziwny prze-
szedł, ale przecież rozum wziął górę.

Nasłuchiwałem się wprawdzie w szkole
dostyć o tych różnych diabłach i o opęta-
nych przez nich, jak również o wypędza-

niu diabłów z ludzi, ale mi się to przecież
w głowie pomieścić nie mogło, żeby coś
podobnego rzeczywiście być mogło. Bądź
co bądź postanowiłem przypatrzeć mu się
bliżej. Podeszedłem do niego i łagodnie za-
gadałem go:

— Jakże się wam siecze Michale?

Stał, przypatrzył się na mnie niedo-
wierzająco, mruknął coś niezrozumiałe-
go... widocznie nie był przyzwyczajony
do takiego obchodzenia się. Dałem mu
papierosa, zapalił. Miałem sposobność mu
się przypatrzeć dokładniej. Był średniego
wzrostu, barczysty, krępy, z pod za-
wichniętych rękawów wyglądały nader
silnie rozwinięte mięśnie i żyły jak po-
wrózki. Na twarzy pooranej głębokimi
bruzdami miał rzadki, rudawy, szczecino-
waty zarost. Z pod kapelusza wyglądały
rozwichrzone, twarde, Bóg wie kiedy cze-
sane włosy. Zaniedbanej powierzchowno-
ści dodawały krzaczaste nad nosem zro-
śnięte brwi jakiejś srogości i dzikości.
Przeniówłem jeszcze raz do niego. Pod-
niósł powieki, popatrzył się na mnie. Dzi-
wne to było spojrzenie... Strach jakiś i
boleść malowały się w nim, a przy tym

Rezerwar na wodę w Hawaju.

*Na wyspach hawajskich mają także
wodociąg, przy którym odznacza się
oryginalny czysto hawajski kształt
rezerwaru na wodę. Ażeby osiągnąć
większe ciśnienie wody, to tą pom-
puje się do wysoko postawionego re-
zerwowaru, która następnie napelnia
wodociąg.*



zupełna rezygnacja. Poznałem z tych jego dużych siwych mętnych oczu, że człowiek ten musi być bardzo nieszczęśliwy i straszne cierpienia w życiu przejść musiał... — Dałem mu jeszcze papierosa, chciał mię pocałować w rękę, potem po-

pluł w garść i gwałtownie sieć począł...

Odszedłem... Kosiarze cały czas stojąc przysłuchiwali się rozmowie. Kiedy przechodziłem koło nich, rzekł jeden: Ej panie, panie, niebezpiecznie to było... diabła przecie ma...

Marie Curie-Skłodowska.

(czytaj: Kūri.)

Skłodowska Maria urodziła się w roku 1867 w Warszawie. Ukończyła gimnazjum ze złotym medalem w 15 roku życia. Nie mając środków na dalsze kształcenie się i chcąc pomóc rodzinie, rozpoczęła Maria pracę zarobkową, jako nauczycielka. Ciągłe jednak myślała o tym, by poświęcić się kiedyś ulubionym studiom przyrodniczym. Walczyć musiała z przeróżnymi trudnościami, zanim w roku 1891 mogła udać się do Paryża na studia w Sorbonie. Tu zdobyła już dwa lata licencjaty: fizyczno-chemiczny i matematyczny. W roku 1895 poślubiła wybitnego uczonego Francuza Piotra Curie i odtąd już wspólnie z nim poświęcała się wytężonej i żmudnej pracy naukowej. Wynikiem tej pracy było odkrycie pierwiastków promieniotwórczych: polonu i radu (polon nazwany od imienia ojczyzny naszej uczonej — Polski). Doniosłość odkryć Marii Skłodowskiej-Curie, kontynuowanych przez nią po śmierci jej męża, jest ogromna. — „Rad“ staje się — według słów R. Świętochowskiego — niewyczerpaną skarbnicą odkryć zastosowań, sprawdzianów. Od tego czasu wdzięczność i uznanie świata zaczyna chylić się przed wielką uczoną. W r. 1903 otrzymuje Maria Curie-Skłodowska, łącznie z mężem i Becquerelem nagrodę Nobla i najwyższe odznaczenie angielskie, medal Davy'go. W roku 1906 wstępuje do Sorbony, jako pierwsza kobieta-kierowniczka pracowni fizyki, a po śmierci męża jako profesor. W roku 1911 otrzymuje — jedyna na świecie — po raz drugi nagrodę Nobla już wyłączną. W roku 1922 zaczynają budować dla niej w Paryżu specjalny „Instytut du Radium“. Uniwersytety, instytuty i towarzystwa naukowe ze

wszystkich krajów zapraszają ją na członka honorowego. Podczas dwukrotnej podróży do Ameryki otrzymuje w hołdzie 2 gramy radu, z których jeden przeznacza do Paryża, a drugi do warszawskiego Instytutu radowego. Curie-Skłodowska staje na najdosłojniejszych szczytach sławy ludzkiej.

Niepodobna byłoby wyliczyć wielu setek prac, które uczeni z całego świata wykonali pod jej kierunkiem. Z dzieł osobistych wiekopomnem pozostanie „Traité de Radioactivité“. A pozatym wiele prób, doświadczeń, spostrzeżeń, analiz, nowych odkryć, praw teorii, badań w rozmaitych kierunkach zawsze na wyżynach genialnego umysłu i niewyczerpanej pracy.

W kilku słowach należy tu wspomnieć jeszcze o paru szczegółach z życia tej genialnej kobiety. Curie-Skłodowska była podobno doskonałą szoferką i aż do ostatniej chwili kierowała sama własnym samochodem. Uchodziła również za dobrą pływaczkę i ten sport również uprawiała z zapałem, ilekroć czas pozwolił jej na wyjazdy nad morze. Podczas wojny wykazała niezwykłą odwagę, sama bowiem kierowała ambulansem, objeżdżającym pozycje frontowe.

Curie-Skłodowska odznaczała się nadzwyczajną zrecznością. W okresie pierwszych badań, kiedy w pracowni państwa Curie stałym gościem był niedostatek, pani Curie-Skłodowska sama majstrowała niektóre skomplikowane aparaty, zbyt kosztowne na ich kieszeń.

Możnaby pisać tomy o tej niezwykłej kobiecie, którą łączyła genialny umysł z tklwym kobiecym sercem. W Paryżu

krąży wzruszające anegdoty na temat jej miłosierdzia.

Przy całej swojej genialności i dobroci Maria Curie-Skłodowska odznaczała się wielką prostotą i skromnością. Na trzy dni przed śmiercią w takich odezwała się słowami do swej córki Ewy:

„Zasadą twego życia powinna być prostota. Pamiętaj o ojcu, który wyrzekł się wszystkich zaszczytów i służyć wam może jako piękny przykład. I ja również, jak ojciec wasz, nie życzę sobie nawet po śmierci żadnych zaszczytów.“

Maria Curie-Skłodowska umarła dnia 4 lipca 1936 w sanatorium w Valence, Francja Południowa.

Testament swój zostawiła Maria Curie-Skłodowska córkom swym Irenie i Ewie, w słowach:

„Jestem przekonana, że walczyć będziecie nieustannie, aby doprowadzić do końca wzniosłe dzieło waszego ojca. Chcę spocząć w grobie obok Piotra Curie. Nie rzucajcie na mogiłę moją kwiatów, pragnę tak jak mój ojciec i matka zejść do grobu w zupełnej ciszy.“

Dla nas jest Curie-Skłodowska znaną z radiowych zakładów kąpielowych w Joachimowie w Czechach północnych, gdzie tysiące chorych na reumatyzm i inne choroby nerwowe szuka leczenia.

Fraszki i żarty.

Ze szkoły.

W klasie, w której uczę, opowiadałem raz przy sposobności, że żołnierze strzelają nad grobem zmarłego towarzysza broni.

Po chwili milczenia mały Jaś wstaje i zapytuje, czy strzela się także nad grobem członka straży pożarnej. Lecz zanim zdołałem odpowiedzieć, woła smarkacz z bardzo mądrą miną: — „Aha, już wiem, nad grobem strażaka towarzysze jego sikają!“

×

— Zapamiętajcie sobie dzieci, że znalezione rzeczy nie są waszą własnością i należy je oddać! — mówi nauczycielka. — Czy kto z was już co znalazł?

— Mój ojciec znalazł złoty zegarek — mówi mały Ferduś.

— Ale chyba go nie zatrzymał dla siebie?

— Ale gdzież tam. Natychmiast go zaniósł do zastawu.

×

— Czem jesteście? — pyta się sędzia oskarżonego?

— Fotograf-amator.

— A to za to was zamkli?

— Tak. Zrobiłem błyskawiczne zdjęcie płaszcza, wieszadło się wywróciło, narobiło trzasku, a mnie pochwycili.

×

— Panie, pan usiadł na swym kapeluszu!

— O, przepraszam! Myślałem, że to jest pański!

×

— Ja chciałem kurę po węgiersku, a przynieśliście mi kurę a la Roentgen! — mówi gość do kelnera.

— Jak to a la Roentgen? Nie rozumiem.

— No, nie widać mięsa, tylko same kości.

×

Do pewnej rodziny przyszli w odwiedziny goście. W ciągu rozmowy mówią:

— Ale też tu jest ruch.auta jeżdżą, pociągi turkoczą, lokomotywy świszczą. Jak też tu możecie spać w nocy?

— Mój mąż tak silno chrapie, że nic nie słyszy, co się dzieje na ulicy! — mówi gospodyni.

×

— A jak wy to możecie wiedzieć?

— Bo gdybych ja miał taką pyskatego, to bych też nigdy nie siedział doma.

×

Na plaży kąpielowej powabna nimfa w ubraniu kąpielowym w największym oburzeniu biegnie do dozorczy i krzyczy:

— Do mojej kabiny wkradli się dwaj mężczyźni! Proszę, ale natychmiast, wyrzucić jednego z nich!

×

AFRYKA ŚRODKOWA.

W Afryce środkowej żyje mnóstwo plemion jeszcze mniej lub więcej dzikich. Są plemiona takie, do których zapuszczenie się podróżnika bez zbrojnej asysty, połączone by było z niechybną zgubą. U jednych plemion zostałby zabity na skutek przesądów u drugich dla rabunku, lub z nienawiści do białych ludzi, do których niektóre plemiona objawiają swoją nienawiść.

Tak Famfamowie, Okundzi, Gallusi, Inengi i inni rozwinięta mają żeglugę, po rzekach, do której używają łodzi tak zwanych pirogów. Pirogi te wyrabiają z jednego pnia ściętego drzewa, stosownie wyłobionego. Niektóre są długie, mierzące nawet po dwadzieścia kilka metrów, a mogące pomieścić około czterdziestu wioślarzy. Są one płaskie, z przodu zwężone i wyniesione w górę, ażeby nie nabrać wody na wirach i prądach, ku środkowi zaś i od tyłu rozszerzone. Znachodzą się nawet pirogi bardzo artystycznie wykonane.

Kiedy murzyni zabierają się do przygotowania pirogi, wydrążają kłoc drzewa na tem samym miejscu, gdzie je ścięto. Jeżeli miejsce to leży daleko od rzeki, co też najczęściej się zdarza, to nie wykończają pirogi na miejscu z obawy, ażeby przy transportowaniu nie uległa zbyt ważnym uszkodzeniom; obrabiają ją więc tylko z grubsz, poczem właściciel zaopatruje się w „alugu” (wódke) i tytoń, zwołuje przyjaciół do pomocy, którzy ciągną napół obrobiony przyrząd wśród wrzawy i licznych libacyj. Nad samym brzegiem wykończają go ostatecznie, następnie moczą przez kilka dni w wodzie, wysuszają, opalają we-

wnątrz i zewnątrz i piroga gotowa. Wtedy znowu uroczystość połączona bywa z tańcami, śpiewem, obrządkami fetysyzmu, poczem spuszcza ją łódź na wodę. Większą pirogę murzyn draży nieraz i pół roku, nigdy bowiem mu się nie śpieszy,



Dzikie ludy zamieszkujące gąszcze Afryki środkowej.

bo czas u niego niczem. Oprócz murzynów żyjących gromadnie w swych wioskach, znachodzą się także murzyni żyjący po gąszczach i puszcach afrykańskich, zupełnie dziko. Toteż spotkanie się w puszczy z takimi dzikusami, jak to widzimy na naszym obrazku, przyrównać można

zupełnie do spotkania się z dzikimi zwierzętami drapieżnymi. Żyją oni przeważnie tylko z polowania na zwierzynę i ptactwo, a w braku tychże owocami leśnymi. Za chatę służy im albo wydrążony pień grubego drzewa, lub niewiele pracy wymagający szałas, gdyż tenże często opuszczają, przenosząc się na inne miejsce, bardziej w zwierzynę i ptactwo obfitujące.

Główną bronią tych dzikusów jest łuk, z którego zwłaszcza na niewielką odległość celnie strzelają. Strzały zaś maczają

w różnych rozczynach roślin trujących, których w krajach podzwrotnikowych jest bardzo wiele. Celują też w rzucaniu dzidą, której koniec również jest umaczany w truciznę. Zraniony strzałą człowiek lub zwierz, chociaż nie ciężko, doznaje od zatrutej strzały okrutnego bólu, bowiem trucizna, którą są namoczone strzały działa zaraz i to działa okrutnie, sprawiając nie do zniesienia ból, tak że zraniony poprostu wije się z bólu po ziemi, z której często nawet już podnieść się nie zdoła, kończąc swe życie.

JANE I COCO.

(Powieść cyrkowa.)

— Nie życzę sobie, byś chodził do garderoby Betty...

— Zabrakło mi ołówka do brwi.

— Znów kłamiesz beczelnie, po włosku...

— Ja ci nie wymawiam, że jesteś niegrzeczna, jak Niemka.

— Jeszcze słowo, a zmiażdżę tę twoją czarna, niewierną głowę...

Wtem dzwonek zabrzmiał przeciągle, głośno. Wsunął się do garderoby pomocnik reżysera i oznajmił:

— Czyście gotowi? Zaraz idzie wasz numer.

Ustały spory, wymysły. Jane szybko kończyła swą toaletę, a Coco mył sobie ręce i wycierał je dokładnie, rozważnie. W cielistych, różowych trykotach wyglądali, jak dwa posagi różne co do wymiarów, lecz jednak harmonijne. Coco był dobrze zbudowany harmonijny, lecz przyroda poskąpiła mu wzrostu. Ubrany w krótkie spodeńki, mógłby uchodzić za 14-letniego wyrostka. Jane zato była wysoka, atletycznie zbudowana o rękach i nogach jak ze stali. Jej jasno blond głowa wydawała się za mała do potężnego tułowia.

Jane i Coco tworzyli stadło małżeńskie. Połączył ich wspólny „zawód”. On był świetnym skoczkiem trampolinowym, ona woltyżerką. Włoski spryt Coco potrafił te dwie umiejętności połączyć w atrakcyjny numer cyrkowy. Coco z dziesięcio-

metrowej wysokości rzucał się w przestrzeń z taką precyzyjnością, iż wywróciwszy kilka kozłów, chwycił Jane za rękę, wiszącą na bujającej się trampolinie. Numer ten budził grozę i podziw w publiczności.

*

Poznali się w amerykańskim cyrku w mieście Detroit. On należał wtedy do grupy siedmiu skoczków, wywracających kozły na trampolinie. Było ich siedmiu, więc i zarobki musieli dzielić na siedem części. Jane woltyżowała na grubym spasionym kucu. Atrakcją jej występu była niespodzianka: wytańczywszy się na rozbiegającym koniku, wynosiła go z areny, jakby martwy jakiś przedmiot. Siła jej budziła zachwyt.

Mały, zgrabny Włoch z zachwytu tego przeszedł odrazu do uwielbień. Jane mu imponowała. Tak długo wywracał oczy, słał powietrzne pocałunki, zapraszał na spacer nad jezioro Michigan, aż pewnego pięknego majowego dnia wielka atletyczna Niemka zgodziła się zostać jego narzeczoną.

Od tej chwili życie jej stało się fantastyczną bajką, pełną przygód.

Gdzie nie znano tej pary gimnastyków cyrkowych? Jane i Coco stali się sławni. Każdy przedsiębiorca cyrkowy chciał upiększyć swój afisz zapowiedzią ich występów.

W karierze swojej artystycznej zbierali triumfy tak w Nagasaki, jak i w Madrycie. Oklaskiwano ich w Sydney i w Chrystianii. Zaznali powodzenia w Londynie i w Paryżu. Omijały tylko miasta włoskie, gdyż Jane nie chciała się nigdy zgodzić na pobyt w ojczyźnie męża. Miała powody. Gdy przejazdem bawili kilka dni we Florencji, Coco zginął jej wśród krętych uliczek nad Arnem. Długo w noc czekała w hotelu na jego powrót, ale Coco nie wracał. Jane powzięła wtedy postanowienie: unikać upojnych, rozkosznych miast słonecznej Italii.

Lato spędzali zazwyczaj w Bretanii lub w Normandii. Jane umiłowała sobie specjalnie „Paris-plage”. Przyjeżdżali tu na kilka tygodni, ażeby na piasku morskim, wśród słońca i ciepłych oceanicznych wiatrów wypocząć po trudach artystycznych. Coco pływał i flirtował z paryżankami. Jane również pływała i pilnowała męża, by pokusy nie posuwały się zbyt daleko.

Był czarodziejski dzień lipcowy. Słońce rzucało uroki na morze i ziemię.

Zieleń pagórków i srebrnawa tafla piasków nadbrzeżnych przeglądały się w granatowej toni morza. Lekka fala kołysała miarowo rybackie żagle, widniejące w dali, na horyzoncie.

Na plaży roilo się od ciał ludzkich, przybranych w jaskrawe kostiumy kąpielowe. Jane i Coco nie lubili tłoczyć się wśród różnych kuracjuszków, wylegujących się na piasku. Brali łódź, odpływali *z kilometr od brzegu i na pełnym morzu* używali rozkoszy pływania.

Do towarzystwa ich niebawem przylączyła się szczebiotliwa, czarna, przystojna Francuzka. I ona lubiła pływać na pełnym morzu.

Dnia tego Jane leżała nieruchomo na fali i patrzyła w jasny lazur nieba. Coco przekomarzał się w wodzie z Francuzką. Wtem do uszu Jane doleciały słowa:

— Czemu pani nie czekała na mnie?

— Bo jest pan obrzydliwy...

— A ty jesteś śliczna, czarująca, pożądana.

— Już to słyszałam.

— I byłam łaskawa...

— To nie było mądre...

— Ale niezmiernie przyjemne...

— Przyjdź dzisiaj...

Jane w pierwszej chwili chciała krzyknąć, lecz zreflektowała się i poczęła podpływać bliżej, aby lepiej słyszeć.

— Więc przyjdiesz? — prosił Coco.

— Zobaczę.... — przekomarzała się Francuzka.

Jane, nic nie mówiąc, podpłynęła do łodzi, zreżennie dostała się do niej i zaczęła wiosłować. Skierowała łódź do brzegu. Pomyślała:

— Ja wam tę idyllę trochę popsuję...

Nim Coco zorientował się, że Jane odjeżdża, dobre kilkanaście metrów musiałby łódź gonić. Krzyczał, darł się, dawał znaki, lecz Jane spokojnie, miarowo uderzała wiosłami i pchała łódź do plaży.

Coco i Francuzka musieli płynąć.

Jane zdecydowała:

— Jak się pomeczą, to im się odechce romansów...

Jane, przepłynawszy do brzegu, weszła do kabiny, przebrała się w gustowny płaszcz kąpielowy i ułożyła się na piasku. W dobre pół godziny wygramolił się Coco z morza z Francuzką. Był zmęczony, Francuzka ledwo stała na nogach.

Coco próbował coś okrutnego wydobyć ze swych ust, lecz wzrok Jane, zimny, zły, powstrzymywał go od wszelkich wybryków.

Gdy Francuzka odeszła do swojej kabiny, Coco usłyszał wyrok:

— Jutro stąd wyjeżdżamy!...

Nic nie powiedział. Powłókł się przebrać. *Zęby szczykały mu z chłodu, choć słońce paliło już ziemię bezlitośnie, dokuczliwie.*

*

Znaleźli się nad jeziorem Genewskim. Jane troskliwie hodowała kury i kaczki, Coco godzinami wysiadywał nad jeziorem oraz błdził wzrokiem po konturach gór. Sezon cyrkowy był już niedaleko.

Jane tak upodobała sobie ten uroczy zakątek ziemi pod Genewą, że zdecydowano za oszczędności zakupić wile. Coco miał kwaśną minę, ale zgodzić się musiał, gdyż bał się oczu zimnych, stalowych, przeszywających. Kombinował przy tem: Gdy Jane będzie miała swoje kury, kacz-

ki i gęsi, popuści trochę cugli jego karpysom.

Myśl ta poprawiła mu humor. Po obiedzie dyskretnie oznajmił:

— Jutro pojedę do Genewy.

— Po co?

— Jakto po co?

Jane kategorycznie oświadczyła:

— Nie masz po co tam jeździć. A wreszcie, jeśli tak już koniecznie chcesz, to pojedziemy razem.

Jane groźnie, spokojnie zawyrokowała:
— Żeby to było ostatni raz, bo połamię ci ręce. Jeżeli tego nie uczyniłam dotychczas, to tylko dlatego, że nasze oszczędności nie wystarczają jeszcze na życie bez pracy.

*

Minał sierpień, przyszedł wrzesień, a Jane i Coco spokojnie mieszkali w swej wili nad jeziorem Genewskim. Coco zmierniał, wychudł. Zrozumiał, że omylił się



...podbiegł koń do młodego pana i ukłękął.

Coco oniemiał. Wściekłość rozsadzała mu głowę. Wreszcie wybuchnął.

— Do diabła, nie mogę przecież być niewolnikiem! Ta twoja niemądra zazdrość....

Nie dokończył zdania, gdy Jane parsknęła śmiechem.

— Czego się śmiesz?

— Jakże mogę być o ciebie zazdrośna!...

Coco chwycił butelkę od wina i rzucił nią o podłogę. Kawałki szkła rozleciały się po pokoju.

co do wyboru drogi, jaką iść należało. Zaczął przewrotnie, po włosku, nadszkakiwać Jane. Wydawało się, iż znów są narzeczonymi.

Nareszcie przyszły pierwsze propozycje na sezon zimowy. Agencje wzywały na występy do Kopenhagi, Berlina, Warszawy. Dobre warunki przedkładały dyrekcje cyrkowe w Madrycie, Lizbonie i Rzymie.

Jane wybrała agencję na Kopenhagę, Berlin i Warszawę. Coco rad nie rad musiał się zgodzić. Cieszył się, że kanikuła mija. Rozpoczęli przygotowania przedse-

zonowe. Znów codzień od rana i wieczorem Jane i Coco odbywali ćwiczenia gimnastyczne. Praca normalna trwała do trzech godzin. Mięśnie nabrały elastyczności, sprawność ewolucyj doprowadzona została do zenitu doskonałości. Jane była zadowolona z Coco jako partnera, a on był zachwycony, że posiada w niej niezawodnego współtowarzysza pracy. Podczas ćwiczeń tych Coco wykombinował kilka nowych ewolucyj, kilka nowych chwytów, które napewno pogłębią zainteresowanie dla ich występów.

*

Liście zaczęły na dobre opadać już z drzew, gdy Jane spakowała kufry. Coco cieszył się, iż dostaje się ze swej podgiewskiej pustelni. Śmiały mu się oczy nadzieją nieznanych przygód, ale nie wydawał się z tym przed nikim. Tak się zdarzyło, że sezon tegoroczny rozpoczynali od Warszawy. Nie znali tego miasta, z ciekawością oczekiwali wrażeń oryginalnych, nowych.

Jechali kurierem przez Austrię, CzSR., jak zgodne, zgrane małżeństwo. Droczyli się ze sobą. Coco na jednej z czeskich stacyjek spotkał dziewczynę z astringentem. Kupił naręcz. Zaniósł je Jane i złożył u jej stóp:

— To na zadatek naszych powodzeń.

Jane astringent przyjęła, ale nie omieszczała dodać:

— Ostrzegam cię jednak przed twoimi powodzeniami...

— Nie jesteś przecież o mnie zazdrośna...

— Ale wymagam, aby zobowiązania małżeńskie były ściśle wypełniane.

— Nie potrzebujesz mi tego przypominać...

— Ja mówię serio i proszę słuchać mnie poważnie. Łączy nas zawód, łączy nas wspólna przysięga w kościele, jesteśmy sobie potrzebni pod każdym względem.

— Wiem to, słyszałem już nieraz.

— Posłuchaj więc jeszcze. Jak się nazywa człowiek, który podpisał weksel bez myśli zapłacenia go w terminie?

— Łajdak!

— A jak się nazywa taki pan, co podpisał zobowiązania małżeńskie i nie dotrzymuje go ściśle, uczciwie?

Coco miał dosyć już tej dysputy. Kręcił się na siedzeniu, jak mucha w ukropie. Rad był, że wszedł już policjant czeski i oznajmił:

— Granica, proszę o paszporty!

Coco był bardzo zadowolony, że znalazł się w Warszawie. I Jane z początku miała takie samo uczucie. Rankami chodziła na spacerów aż do Łazienek.

Jesień była już w całej pełni. Aleje tończyły w żółtych okiściach opadających liści. Piękne, błyszczące, brązowe kasztań złociły się na trawnikach, drózkach, a nawet u podjazdu przy pałacu. Przyniosły je tu ręce dziecięce i porzuciły wśród gwaru zabawy.

Jane błądziła po starym parku i tęskniła za wilą swoją nad jeziorem Genewskim. Dotrzymywał jej towarzystwa Coco, ale mniej zwracał uwagi na majestat starych drzew, na roześmiane głosy bawiącej się dziatwy, a więcej obserwował dorodne niańki, fertyczne bony.

Był oczarowany, gdy usłyszał jakąś zgrabną dziewczynę, przemawiającą do dzieci po francusku. Czar, niestety, przysnął. Szła przy nim Jane i władczo kierowała wolą małżonka.

Coco ujrzał tancerkę Betty po raz pierwszy na próbie. Zwinność jej ekscentrycznego tańca podobała mu się bardzo. Więcej jednakże podobała mu się sama Betty. Nieduża, czarna, o wielkich fosforycznych oczach, patrzyła jakoś kokietująco, pieszczotliwie. Czara zachwyty przepełniła się, gdy Coco dowiedział się, iż może z Betty mówić po włosku. Od tej chwili szukał tylko okazji, by się do niej przybliżyć. Z początku Jane nie zwracała uwagi na te wybryki. Niebawem jednak zaczęły się w niej budzić podejrzenia. Obserwowała Coco. Widziała, iż coś się poczęło dziać w duszy męża. Zastanowiło ją bardzo, iż zawsze jest obecny na występie Betty, choć ich popis jest dopiero w drugiej części programu.

Przychodził do cyrku prawie punktualnie o ósmej. Siadał w wolnej łóżce i czekał na ukazanie się Betty. Były dnie, że zniknął w jej garderobie. Jane pilnie śledziła każde poruszenie męża. Nie widziała popisu czterech pięknych gniadych ogie-

rów, tańczących sprawnie, zadziwiająco rytmicznie shimmy. Cały cyrk bił brawo tym pięknym, zgrabnym zwierzętom. — Jane nie słyszała oklasków, jak również nie zwracała uwagi na muzykalność dwu błaznów, koncertowo grających na miotłach.

Szła wzrokiem za każdym poruszeniem Coco. Od niechcienia niekiedy rzucała jadowite słowo krytyki pod adresem Betty. Coco puszczał te oznaki złego humoru żony mimo uszu. Oczami pieścił małą, zgrabną Betty i już nosił się z zamiarem udzielenia jej jakiegoś pomysłu, by występy kochanej dziewczyny uczynić bardziej efektownymi.

Pewnego wieczora, po przedstawieniu, Coco zniknął z oczu Jane. Chwilę czekała na niego, obeszła wszystkie garderoby, a wreszcie, rada nie rada, wróciła do hotelu.

Noc całą formalnie przegorączkowała. Coco wrócił dopiero rano. Jane powitała go pytaniem:

- Gdzie byłeś?
- To moja sprawa...
- I moja również. Proszę natychmiast odpowiedzieć, gdzie byłeś?
- Tam, gdzie mi się podobało.
- A więc u Betty!
- A może u Betty!...
- W tej chwili wynoś się do niej!...
- Jak będę chciał, to pójdę!

Jane podniosła się szybko, chwyciła Coco za ramiona i wyrzuciła go za drzwi. Stało się to w oka mgnienia. Coco wściekł, zaperzony, zszedł na dół, do poczekalni i napisał do żony list, że żąda rozwodu.

Jane list ten przeczytała, podarła na drobne kawałeczki i wrzuciła do kubła. Postanowiła za wszelką cenę zemścić się.

— Ja mu dam rozwód! — odgrażała się.

*

Jane była tak zdenerwowana, że wszystko wypadło jej z rąk. Ubrała się czem prędzej, gdyż nie mogła usiedzieć w hotelu. Poszła w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Mijała kościoły i nie wstąpiła do żadnego. Gdy znalazła się wśród uliczek Starego Miasta, na chwilę w zranione jej serce wrócił spokój.

Chodziła po pięknym rynku zalanym bladym jesiennym światłem, i długo ważyła w sobie zemstę. Wykwitła wreszcie myśl zbawcza: zerwę umowę z cyrkiem i pojedę do Kopenhagi. Jeżeli się i to nie uda, wrócę do swojej willi nad jeziorem Genewskim. — I roześmiały się jej oczy, złe tego ranka, chmurne. A wargi mściwe ułożyły się w dźwięk pieszczotliwy i wyszeptały:

— Taś, taś... moje kaczuchny...

*

Coco siedział przy stole i czekał na Jane z obiadem. Jak gdyby nigdy nic nie zaszło — zajęła swe miejsce. Jedli obiad w milczeniu. Coco nie ważył się do niej przemówić. Jane nie chciała.

Gdy skończyli jeść, Coco tonem rzeczowym powiedział:

— Mam nadzieję, że występ nasz odbędzie się dziś wieczorem?

Jane nic nie odrzekła. Poszła na górę do numeru hotelowego. Coco zginął jej znów na całe popołudnie.

Był piękny wieczór listopadowy. Ruch na Nowym Świecie przelewał się falą wezbraną. Jane szła pomału, niepewnie. Nogi ugiwały się pod nią, jakby dźwigała jakiś ciężar ponad siły. Gdy przyszła do cyrku, jeszcze ciemno było w całym gmachu. W garderobach artyści już przygotowywali się do popisów.

Jane weszła do stajni. Tu czyszczono konie, które miały znaleźć się niebawem na arenie. Głazurowano im kopyta, fryzowano grzywy. Piękne te zwierzęta niepokoiły się przed występem, jak i ludzie.

Jane szła od konia do konia. Gładziła ręką lby, delikatnie drapała po czołach, klepała po karkach. Dla każdego pupila miała kawałek marchwi. Konie jak gdyby rozumiały tę jej pieszczotę. Gdy podawała im marchew, chwytaly sprawnie, a potem w podzięcie rżały.

Rozległy się dzwonki. Rozbłysły światła. Jane skierowała się na widownię cyrku. Usiadła w niezajętej łozy. Publiczności było już dużo. Zaczęła grać orkiestra. Jane czekała, aż przyjdzie do niej Coco. Nie przychodził.

Popisy szły za popisami. Jane umiała program ten na pamięć. Z zainteresowa-

niem zawsze śledziła tylko ewolucje wykonywane przez konie.

Wybiegł na arenę śliczny, biały, rosty koń. Nozdrza miał białe, kopyta białe... Czarne, duże, nerwowe ślepia rzucały blaski. Orkiestra grała egzotyczną „Jawę”. Koń w takt tej muzyki kłaniał się, stawał dęba, wykonywał skombinowane „pas”. Czynił to wszystko lekko, bez przymusu, jak gdyby na arenie nie było wcale młodego pana z twarzą parobka w dobrze skrojonym drogim fraku. Na znak pejcza

garderoby. Nie zastała w niej jednakże Coco. Z rozrzuconego ubrania męskiego poznała, że mąż jej już się ubrał.

Dobiegały dźwięki orkiestry. Po melodiach poznawała Jane, czyj popis był teraz wykonywany na arenie. Gdy usłyszała charakterystyczne tony tańców hiszpańskich — ręce jej zmartwiały. To teraz tańczy Betty. Ta podła Betty...

Wolała umiać się przemóc, by skończyć toaletę. Niezadługo zajęczał w garderobie dzwonek reżysera. Należało iść na arenę.



Lekarz stwierdził urzędowo: Już nie żyje!

zamilkła muzyka, podbiegł koń do młodego pana i ukląkł. Sala zadrżała od oklasków.

Służba wniosła na arenę przeszkody. Orkiestra znowu zaczęła grać. Koń nieomylnie ją wykonywać dalszą część swego programu.

Do Jane, siedzącej w łożu, podszedł wyrostek w liberii i oznajmił:

— Już czas na panią. Proszę się ubierać.

Jane automatycznie poszła w stronę

Jane spojrzała jeszcze raz w lustro i poszła. W sieni spotkała Coco. Był bardzo ożywiony. Tonem fachowca mówił:

— Uważaj na moje znaki!

Jane i Coco lekko wyskoczyli z za tłumu służby cyrkowej i złożyli ukłon publiczności. Posypały się gdzieś oklaski. Coco znalazł się na trampolinie, Jane poszła w jego ślady. Umieściła się na przeciwnym, rozbujanym, podobnym, gimnastycznym drążku.

Orkiestra zagrała jakiegoś marsza. Co-

co zawołał „Out“. Jane opuściła się głową na dół, wyciągnawszy ręce.

Coco błyskawicznie skoczył w przepaść, wywrócił kozła i schwycił za ręce Jane. Kilka razy przesz yli powietrze. Coco znów rozbijał się i puściwszy ręce Jane, znów znalazł się na swojej trampolinie.

Publiczność zagrzmiała salwą oklasków.

Jane usiadła na trampolinie i rzucała pocałunki publiczności. Wtem w jednej z łóż dostrzegła Betty. Spojrzała na swego męża. Posyłał jej uśmiechy i pocałunki.

Orkiestra kończyła grać marsza.

Jane zmartwiała na trampolinie.

Otrzeźwił ją głos komendy: „Out“.

Opuściła się na swojej trampolinie. Mieli wykonać teraz najtrudniejszy popis. Coco obciągał ciężemki od sznurowanych kamaszy. Jane powinna go chwycić za nogi.

Orkiestra zamilkła. Zajarzyły się jaśniej światła.

Coco zawołał jeszcze raz Out i rzucił się w stronę trampoliny Jane.

Publiczność na rzut ten patrzyła z zapartym oddechem.

Popis nie udał się.

Jane nie schwyciła męża za nogi. Coco poleciał w stronę łóż pierwszego piętra i uderzył głową o ścianę. Jane wisiała na trampolinie i jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło.

W cyrku wszczął się tumult. Publiczność zerwała się z miejsc.

U ściany pierwszego piętra leżał zakrwawiony Coco i ledwo jęczał.

Jane po chwili obudziła się ze swego letargu i pobiegła do zakrwawionego męża.

Nad nim stał lekarz i trzymał rękę na pulsie. Przerażone oczy Jane chciały się wwiercić pod powieki zamkniętych żrenic Coco.

Lekarz urzędowo stwierdził:

— Już nie żyje...

Jane wybuchła głośnym, strasznym płaczem zbolełego ukaranego zwierzęcia, wiedząc o tem, że jest winną tragicznej śmierci swego męża.

Śmiertelna walka na dnie morza.

Podobnie, jak powierzchnia lądu stałego, tak i dno morza jest w różnych miejscach pogiete, tworząc podwodne góry, doliny i wyżyny. Oczywiście, człowiek, pływający po powierzchni morza, tego wszystkiego nie widzi, gdyż patrzy on tylko na mniej lub więcej spokojną taflę olbrzymiego bezmiaru wodnego. Ale ci, którzy w najrozmaitszych celach zanurzają się w głąb morza, jak i badacze, którzy specjalnie poświęcają się badaniu dna morskiego, stwierdzili, że w jednych miejscach morze jest wcale płytkie, w innych zaś osiąga ogromną głębokość. Według badań największa głębokość morza, wynosząca 9.427 metrów, znajduje się na wschód od wysp Karmandec. Morze na wschód i północ od Japonii jest nieco płytsze, bo dochodzi „tylko“ do 8 000 metrów.

Może najpłytszem morzem jest cieśnina Cehringa, łącząca Azję z Ameryką, bo

wynosi tylko 50 metrów głębokości. Do płytkich mórz należy również Bałtyk, gdyż średnia jego głębokość wynosi 90 metrów, a największa głębokość zaledwie 427 metrów.

Woda morska zawiera wiele różnych ciał, od których przybiera smak słonawo-gorzki, posiada bowiem wiele różnych, rozpuszczonych soli. W otwartych morzach zawartość soli potęguje się ku równikowi, natomiast zmniejsza ku biegunom. Najsłodsze jest morze Czerwone, gdyż zawiera aż 40% soli, natomiast morze Bałtyckie posiada jej zaledwie 3%.

Morze przybiera różne kolory. Pod błękitnem niebem jest morze także błękitne; gdy niebo się zachmurzy, przybiera morze barwę zielonawą, a gdy się wzburzy, staje się szare. Głębsze morze jest ciemniejsze, niż płytsze. Niektóre morza świecą w nocy tak, że przy świetle tem można nawet czytać. Świecenie to pochodzi

z miliardów żyłatek świecących, które przepełniają wody niektórych mórz.

Ciepłota morza nie podlega takim zmianom, jak ciepłota lądu stałego. Dzienna różnica w ciepłocie morza nie przenosi jednego stopnia ciepła. W morzu Czerwonym dochodzi temperatura do 32 stopni, w zatoce Perskiej do 34 stopni.

Tak jest na powierzchni morza, ale im dalej w głąb, tem ciepłota ta coraz bardziej maleje. W głębokości 1 000 metrów ciepłota wody morskiej wynosi jeszcze 4 do 5 stopni, ale głębiej nie posiada jej nigdy ponad 0 stopni. Jest tam więc bardzo zimno, toteż na znacznych głębokościach zamiera wszelkie życie.

W takie bezmiary wód, zimne, ponure, niegościnne muszą od czasu do czasu zapuszczać się nurkowie z najrozmaitszych powodów. Jedni spuszcza się na dno morskie, aby robić tam poszukiwania za różnemi żyłatkami, inni, aby ocalić i na powierzchnię wody wydobyć niezmierzone nieraz skarby z zatopionego okrętu. Taka wycieczka nurka na dno nie należy wcale do przyjemności. Jest on przede wszystkim skrzepowany żelaznym pancerzem, który utrudnia wszelkie jego ruchy, a powtórze narażony jest na wiele niebezpieczeństw, czatujących nań na każdym kroku. A ze wsząd cisną na niego całe masy wody, uniemożliwiające mu niemal każde poruszenie.

Gdy tylko spuści się z okrętu w fale oceanu, częstokroć otacza go cała masa rekinów, które podchodzą ku niemu i starają się go życia pozbawić. A dalej czatują nań straszne mieczniki, które, jak to widzimy na naszym obrazku, posiadają

na przedzie głowy ostre miecze, mogące jednym uderzeniem przewiercić człowieka na wylot. Nurek, zamiast oddawać się badaniom i pracy, dla której zapuścił się na dno morza, musi baczyć pilnie, aby



tam nie został napadnięty i pozbawiony życia. W tym też celu każdy z nich opuszcza się na dno morza uzbrojony w ostry nóż i jeżeli zachodzi potrzeba, tnieniem na wszystkie strony, póki nie odpędzi od siebie napastników. Zdarza się

jednak często, iż uśmierci jednego lub drugiego, ale na ich miejsce zjawiają się inne potwory. Siły nurka słabną i niechybnie padłby pod ciosami swych prześladowców. Wówczas, jak niepyszny, musi uciekać. Daje sygnał na powierzchnię morza, wskutek którego oczekujący nań na okręcie marynarze wyciągają go z niebezpiecznych głębi. Jednych wyciągają, inni giną, jako ofiary swego zawodu.

W głębiach morskich są też mątwy

różnego rodzaju, które najpierw zamacają wodę około swej ofiary, a potem rzucają się na nią. Są potwory o niezmiernie długich mackach, jakby ramionach, które oplatają ze wszystkich stron swoją ofiarę i duszą ją bcz litości.

Na te i tym podobne niebezpieczeństwa narażony jest nurek, a narażony jest tembardziej, że wszelką walkę utrudniają mu olbrzymie masy wody, które zupełnie krępują jego ruchy.

ZEMSTA.

Opowiadanie.

Słońce prażyło niemiłosiernie już parę dni, a nadziei na deszcz nie było. Zwiędłe rośliny pokrył delikatny proch i cały krajobraz wyszarzał, utraciłszy świeżą zieloność. Goście letni, którzy wnet z początkiem czerwca zajęli parę domów gościnnych w okolicy, wychodzili wcześniej z rana do lasów, by tam, w cieniu drzew, odpoczywać i zażywać wywczasów.

W pobliżu lasu stawiali nową kolej. Po całych dniach dzwoniły oskardy i łopaty, rozlegało się echem dzwonienie składanych szyn, lokomotywa ciągnęła syreną dawała znać swój przyjazd z materiałem kolejowym.

Robotnicy, którzy tu pracowali, spoglądali zawiśnię z nietajonym smutkiem na mieszczanów, którzy mogli rozwalać się po lesie, podczas gdy oni za lichą zapłatą mozolnie pracowali w gorącu i prochu. Niejedno złośliwe przyklęcie poleciało na wyelegantowane panienki, przez obtargane, zabrudzone towarzystwo robotników.

— Kiedy my pojedziemy na urlaub, Władku? — odezwał się na czarno opalony od słońca Boguś do swojego kolegi, wąsala.

Władek splunął.

— Też kiedyś jeździłem na wakacje, też wysiadywałem w cieniu drzew! — zamruczał Władek, strzelając wzrokiem ku lasu.

— Co?... ty też kiedyś jeździłeś na letni wypoczynek? Ty, Władek? Nie huśtaj lepiej! Byłe sobie od tak na Pankrac!... — przekomarzał się kolega.

— Wierz, albo nie wierz, jednak mówię prawdę!

— Ciekawym...

Władek odłożył oskard, wdając się do rzeczy:

— Wiesz ty, dromedarze, że studiowałem i że mi brakowało tylko dwa lata, a mogłem być inżynierem? A że mój ojciec miał dwór — teraz ma go siostra! — a że żyłem jako dziedzic?

— Dlaczego nie siedzisz teraz w kancelarii i nie jeździsz w samochodzie? Dlaczego mozołisz się tu w szmatach oberwanych, dasz się żreć wszom i pijesz sturuchę?

— To już tak na mnie żywot zaprzyściągł się, kolego! Puściłem się raz i było po sławie. Studia zawiesiłem na kliniek, zacząłem pić — potem ojciec wygnał mnie z domu — i już był ze mnie wędrownik.

— Może z powodu kobiety?

Władek kiwnął głową.

— Tak, kobieta!... Miałem ją rad, miłowałem ją, jak błazen, dałbym za nią życie — a ona, bestia, za plecami moimi schadzała się z innym — z moim najlepszym kolegą! Czula u mnie pieniądze i karierę, dlatego się mnie trzymała.

— Tamten był szykowniejszy?

Władek przytaknął.

— I ja nie byłem też najszeptniejszy. Jeszcze teraz, gdybym się wygolił, zobaczyłbyś...

— Wzięła go sobie ta?

— Bezmała wzięła — czart ich obóch bierz — ale gdybym się kiedy z nimi ze-

brał, szpetnie by to wypadło! Ich szczęście, że o nich nie wiem! — zasyczał Władek gniewnie.

Upłynęło parę dni od wspomnianej rozmowy.

Dziś przyjedzie ku pracy nad-inżynier; żeby mi było wszystko w porządku! — napominał porciak z rana robotników.

Zaraz posypały się docinki:

— Nad-inżynier, to pewnie jakiś „oberwół“. Nie musimy się przynajmniej wygolić? — A wpaść do fraka, do lakierów, do rękawic? Nawet, ot, Władek mógłby wręczyć bukiet i wymodlić ładne powinszowanie? Ma on w gębie!

Parciak uśmiechnął się, bo znał swoją załogę z dowcipkowania i ironii nad tym wszystkim, co było wyższe nad nimi. Główna rzecz, by praca szła porządkowym tempem.

Nad-inżynier przyjechał dresyną na miejsce pracy. Badał, kręcił głową, czuł się niezadowolony.

— Zdaje mi się, — rzekł on — że robota w tym odcinku idzie trochę powoli. Zresztą niema się co dziwić, kiedy pracuje tu taka zbieranina!

Władek właśnie szedł obok, kiedy podsłyszał tę mowę. Stał na miejscu, a popatrzwszy się na twarz nad-inżyniera, zbladł jak ściana.

— Co tak patrzycie? Starajcie się zniknąć! — rozsierdził się na Władka nad-inżynier.

Władek sucho się zaśmiał, a w prawicę lepiej uchwycił oskard.

— Co to jest z wami? Czyście są głuchy?...

— Ależ ja nie jestem głuchy, Bolek, gdzieby tam głuchy! Ani ślepy nie jestem, jak ty, który nie poznajesz swojego najlepszego kolegi! — gadał Władek z nadprzyrodzoną wesołością.

Nad-inżynier zbladł i głucho zapytał:

— Ktoście wy są? Nie poznaję was...

— O! poznałeś ty mnie, Bolku, pardon, panie nad-inżynierze Pikantski; — dobrze wiesz z kim mówisz! Jako się wiedzie miłościwej pani Janinie?

— Boże! toś ty, Władku? — głucho rzekł nad-inżynier.

— A widzisz, że mnie znasz! A więc: Władek Gmuzdecki — jestem do waszych usług! — Na kolejki wszystko w porządku: jeden inżynier, siedem parciaków i sto czterdziestu zawoszonych i otarganych robotników.

Głos Władka był podrażniony. Nad-inżynier cofnął się trochę w tył.

— Nie mam chęci rozmawiać z tobą! Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi! — odrzekł chłodno nad-inżynier.

— Owszem, owszem, tyś się położył Janką, ty psie!

Ostatnie wyzwisko krzyknął Władek i nim się kto spodział, świsnął w powietrzu oskard. — Nad-inżynier ciężko jęknął i usunął się na ziemię.

Koledzy rozbroili Władka, który stał się naraz znów potulny, jak baran i uśmiechał się nawet.

— Na taką chwilę czekałem piętnaście lat! — rzekł on. — Zemsta jest słodka!

Zamknęli go do aresztu, lecz zaraz w pierwszy dzień powiesił się na sznurze, zrobionym z potarganej koszuli.

Przysięga na warkocz.

W średnich wiekach istniał w Niemczech zwyczaj, że kobiety, powołane do sądu dla przysięgi, musiały ją składać na swój warkocz. Jeszcze w roku 1403 taką przysięgę składała hrabina Verona von Zollern. Po sprawdzeniu, że niema przyprowadzanych włosów, musiała owinać lewą rękę swoim pięknym warkoczem i złożyć ją na piersi, prawą zaś trzymała na lasce sędziego, który odbierał od niej przysięgę.

W Austrii istniał także ten zwyczaj, ale kobiety były obowiązane przysięgać na dwa warkocze, — nie na jeden — tak brzmi postanowienie wiedeńskiej Rady miejskiej z roku 1351. Różnica ta pochodziła z odmiennego sposobu noszenia włosów, kiedy bowiem szabskie niewiasty w średnich wiekach spletały włosy w jeden warkocz, austriackie szlachcianki nosiły zawsze dwa warkocze.

Dlaczego diabeł się nie ożenił?

Niema nic gorszego na świecie, jak samotność. Człowiek samotny nie ma przed kim wypowiedzieć swych smutków, nie ma komu okazać swej radości, a kiedy nań żalność przyjdzie jakaś i gniew serce napęli, pozostaje mu jedynie zęby zaciśnąć lub łbem walić o ścianę. Dlatego też podobno ludzie się żenią, aby móc dzielić się z umiłowaną kobietą swojemi radościami i na niej w razie potrzeby wyrzeć swój gniew.

Ale nie tylko człowiek samotny i opuszczony czuje się nieszczęśliwym, przydarzyło się to bowiem pewnego razu i diabłowi. Postanowił przeto wyszukać sobie towarzyszkę życia i w tym celu udał się na ziemię. Wystroił się tedy na ostatni guzik, schował frak, włożył cylinder na głowę i wmieszał się w rojowisko ludzi na ziemi.

Wkrótce czarne jego oko spostrzegło to, czego szukał. Przed schludnym domkiem w ogródku rozkoszne dziewczę podlewało kwiatuszki. Diabeł stanął na chwilę i przyglądał się dziewczęciu. Aj! Cóż to było za szelmowskie stworzonko, prawdziwy diabełek w spódniczce. To biegała, to śmiała się, to przeskakiwała ławki ogrodowe. Dziewczyna zatem, o jakiej diabeł marzył wieki całe!

Nagle diabeł usłyszał czyjeś kroki a za chwilę spostrzegł, że śliczny chłopiec zbliża się do dziewczęcia.

— Aniele mój drogi! — rzekł młodzieniec i ukląkł u stóp dziewczęcia.

Diabłu to wystarczyło. Nie szukał on i nie mógł szukać anioła, bo i cóżby on z nim mógł robić? — Smutny i rozczarowany wycofał się z ogrodu i już zamierzał powrócić do piekła. Ale wkrótce otucha znowu wstąpiła. Przecież jest jeszcze dość dużo dziewcząt na tym świecie — pomyślał — naturalnie, tylko nie trzeba stawiać zbyt wygórowanych wymagań i zaraz żądać tej najpiękniejszej. A przecież, choćby niezbyt piękna, wkońcu się znajdzie!

Szedł tedy, tak rozmyślając, dalej aż wreszcie znalazł, czego szukał.

„Ona“ stała właśnie w oknie i męczyła kota. Chuda twarz, małe, przenikliwe, zie-

lone oczy, bezzębne usta, no i włosy już siwiejące wskazywały na to, że każdy konkurent będzie pożądanym i z pewnością kosza nie dostanie. A i to bezlitośne serce, prawdziwie diabelskie, także coś dla diabła znaczyło!

Diabeł pełen otuchy wszedł do wnętrza domu. — Przyjął go matka panny, która także weszła do pokoju. Przedstawił swą prośbę, prawil o miłości i wreszcie poprosił o rękę córki.

— Cooo? — wrzasnęła stara. — Moja córka, ten anioł mój drogi, miałyby pójść za człowieka w pańskim wieku? Panie! Czyś pan zwariował?

— A więc znowu anioł! Żle! — westchnął syn piekła i odszedł smutny.

Stropione diablisko nie wiedziało, co mu dalej czynić należy. Czy zaniechać swoich zamiarów, czy szukać jeszcze dalej.

— Ciężki początek, — mówił sam do siebie — teraz istotnie nie wiem, co mi czynić należy i dokąd się udać?

Wtem, gdy stał i rozważał, do jego uszu doleciał hałas, podobny zupełnie do tak dobrze mu znanego hałasu piekielnego. Był to świst, krzyk, gwar, pisk, wrzask taki, że nawet diabeł, przyzwyczajony do tego, nie mógł odróżnić, ile osób szlachetnych bierze w tym udział. Naraz usłyszał brzęk tłuczonych szyb i świst w powietrzu rzucanych takich pocisków, jak: flaszki, szklanki, talerze itp. Potem ucichło na chwilę i tylko lekki gwar dolatywał. Lecz zawieszenie broni nie trwało długo.

— Ach, bodajcie jak najrychlej diabli wzięli! — odezwał się nagle przemiły dla diabła głosik kościoty.

— A więc scena małżeńska! — pomyślał szatan, przybrał słodką minę i postanowił wejść, gdyż mu to nie przeszkadzało, że istota, która swym zachowaniem się taki urok na nim wywarła, była — mówiąc po ludzku — już zamężną. Każda mężatka bowiem posiada najwięcej kwalifikacyj na towarzyszkę dla diabła. Mąż-człowiek, to furda dla diabła! W razie potrzeby potrafi sobie on z nim poradzić.

— Pyszna rzecz! — szeptał w drodze do mieszkania zwaśnionego małżeństwa. — Mężowi pomogę, no i sobie...

Wreszcie w chwili, gdy diabeł stanął w drzwiach, scena się skończyła, gdyż kochająca małżonka wszystko, co było pod ręką, zużyła już do ataku, a nie mając nic więcej pod ręką, uciekła się do niezawodnego środka kobiecego we wszystkich nieszczęściach: zaczęła szlochać...

Blady i zdrętwiały małżonek złożył ręce jak przed świętą:

— Ależ uspokój się, aniele mój drogi! — błagał.

Diabeł zgłupiał.

— I to także anioł — westchnął. — A więc na ziemi nie ma ani jednej kobiety, tylko same anioły!

I wrócił biedny diabeł do piekła i żyje dalej samotny, lecz może szczęśliwszy niż wówczas, gdyby sobie był z ziemi wziął jakiego „anioła“.

Tragedia Janka.

Był śliczny wieczór majowy. Na zachodzie widniały zorze przyoblekły niebo blado-różową purpurą i gwiazdki złociste poczęły migotać w przestworzach a nawet księżyc srebrno-blady, wychyliwszy swą uśmiechniętą twarz pełni, zdawał się bawić widokiem przyrody, pogrążonej w jego matowatym świetle, tej przyrody, co rwała się do życia całym tętnem swojej młodości i świeżości wiosny.

Drzewa, ustrojone liściem i umajone kwieciami, rzucały długie cienie, a zapach ich kwieciami z aromatami, płynącymi z rozległych pól i łąk kwiecistych napełniały powietrze. Śpiew zaś ptasząt w gałęziach drzew i karłowatych krzewów i plusk wesołych rybek w stawie oraz szum rwącego górskiego strumyka — mąciły ciszę wieczorka majowego.

Na skraju wioski stoi ubogi domek, pogrążony w zieleni drzew, przed domkiem rozciąga się ogródek z grządkami kwiatów i roślin warzywnych. Tam w tym zaciszu rozmawiał ładny, rośli, o bystrym wejrzeniu góral z równie ładną góralką, dziewczyną smukłą, o modrych oczkach i pękach jasnych, jak len włosów, splecionych w dwa długie warkocze. Opodal rżał koń, przywiązany do drzewa i skubiący trawę w okół.

On był ubogim, ona też, a kochali się nad życie, a chcąc sobie założyć gospodarke, postanowił Janek, takie było imię górala, pójść na obczyznę i zapracować coś grosza, aby mu starczyło na spłaty rodzeństw i na zagospodarowanie się, a

potem powrócić do swej najukochańszej, pojąć ją za żonę i żyć w wspólnym szczęściu błogo, dopóki Bóg pozwoli.

Zegnając się z dziewczyną, góral rzekł:

— Musisz, Zosinko, przetrwać cierpliwie chwilę rozłąki, chwilę może dość długą, może rok, może półtora, może dłużej, a ja, gdy swój cel osiągnę, lotem ptaka powrócę do ciebie w objęcia twoje i wówczas wprowadzę cię w podwoje świątyni, gdzie ksiądz złączy nasze losy na wieki. Ale ty mi, Zosiu, dochowaj wierności!

— Jakże możesz, Janeczku, wątpić nawet o tym. Słowa danego ci dotrzymam, a ty wracaj do mnie szczęśliw, a teraz niech cię Bóg ma w Swej opiece i udzieli ci szczęścia na obczyźnie, — odpowiedziała przez łzy dziewczyna.

I ostatni raz Janek uściśnął jej rączkę, ostatni raz wziął ją w objęcia, poczem skoczył na koń i skinawszy kapeluszem na pożegnanie, pognął gościńcem w dal, na tułactwo, do obcych, lecz pojechał w dobrej nadziei, że za lat parę wróciwszy, zbuduje dla siebie szczęście w swej wiosce rodzinnej, przy boku ukochanej istoty.

Minał rok i drugi miał się ku końcowi, a o Janku nic nie słyhać. Z początku Zosia biegła często, gnana tęsknotą, na pagórek, czy Janka nie ujrzy wracającego z obcej ziemi w jej objęcia. Lecz o Janku ni słyhać, ni go widać, a biednej dziewczynie zwątpienie pomału poczęło wkraść się w serce i różne przypuszczenia snuły się przez jej biedną głowę:

— A nuż nie wróci, może pokochał inną, o mnie zapomniał, zapomniał przysiąc i przyrzeczeń swych, bo ci mężczyźni tacy lekkomyślni są w tym wieku, a ja napróżno czekam i lata mi uciekną w samotności, w tęsknocie — może beznadziejnej...

A to przekonanie wbił jej w serce najwierniejszy kolega Janka, Staszek, i zręcznie w niej tę iskierkę nieufności i zwątpienia podsycił, aż ta wybuchła płomieniem, który spalił miłość Janka w sercu Zośki, ale przeniósł się na Staszka, który, aczkolwiek syn dość zamożnego gospodarza, postanowił wykorzystać nieobecność Janka na przeprowadzenie swych planów, bo Zosia się mu podobała, a jej pracowitość i anielska prawie dobroć oraz jej uroda, mimo jej ubóstwa, były czynnikami, pchającymi Staszka w objęcia Zosi. Że biedna, to nic, wszak ile to przykładów mamy, że z kobietą gospodarną, pracowitą, choć ubogą, prędzej się czegoś dorobić można, niż z zamożną, a grymasną i rozleniwioną.

A że Staszek był też chłopakiem porządnym, trzeźwym i pracowitym, no i ładnym, a do tego majątnym, to też Zośka niedługo patrzyła obojętnie na jego usługi.

A Janek tymczasem harował w czoła pocie, aby zebrać grosz do grosza, ręce mdlały mu z trudu, ale sił dodawała myśl o tej, tam daleko za górami, za lasami. Tęsknota żarła jego siły bardziej od pracy, ale osładzała ją nadzieją, że nadejdzie dzień powrotu do ojczystej ziemi, do rodzinnego siola, do tej chaty bielonej, niskiej, w objęcia drogich sercu, do tego ogródka, gdzie kwitły czereśnie, jabłonie, grusze i bzy, gdzie wykwitła ich miłość, czysta jako łąka...

* * *

Mroźny dzień zapustny, mróz luty i wiatr ostry smaga po twarzy samotnego wędrowca, a śnieg skrzypi pod jego stopami. Twarz opalona z szumiastym wąsem, który mu mróz osrebrzył, barania czapka na głowie, na plecach tłomoczek, a w rękę laska, którą podpira się, a choć ostry wiatr, wyjąc w polu, wieje mu w twarz i sypie tumanem śniegu, an idzie z miną junacką, żwawo, gnany, zda się

więcej jakimś pragnieniem, niż dokuczającym mu zimnem. Aż tu słyszy dźwięk dzwonków i wkrótce wśród śnieżnych pól ukazują się sanki jedne, drugie i dalsze, a przy nich po parę koni, ciągnących je. I widząc orszak weselny, wędrowiec zdejmując czapkę z głowy, by ją wyrzucić na wiat, gdy nagle okrzyk zamiera mu na ustach, oczy wytrzeszczył, dreszcz zimny i gorący przeszedł jego ciałem, bo oto widzi ona, Zosię, za którą tyle lat tęsknił, do której lotem ptaka biegł, byle ją mieć, byle jak najprędzej móc do piersi ją przycisnąć, widzi ją ubraną w bieli, jak anioła, z wiankiem na złotych spleciach, widzi ją przy boku swego kolegi wiernego, Staszka. I oto, gdy był bliskim upragnionego szczęścia, nagle ujrzał się straconym z wyżyn słonecznego nieba w czarnej otchłani, do której słońko powabu życia nie dochodzi nigdy. Tedy bezwiednie się skłonił i z piersi wyrwał się mu okrzyk bólu targającego serce:

— Zosiu, to ja, Janek! Janek, twój pierwszy!.. tu głos urwał, ale tylko echo odpowiedziało na krzyk zranionego serca, bo konie, pędząc z wichrem w zawody, uniosły orszak weselny w stronę kościoła parafialnego.

Ale głos serca szeptał Jankowi:

— Idź prędko, zanim do ołtarza przystąpi ona, zanim ślub złoży, stań przed nią i powiedz jej: Otom twój Janek, a gdzie twe zaklęcia?

I Janek biegnie, ale droga długa jakoś, wicher mu przeszkadza, śnieg sypie się w oczy, ale to nic, byle prędzej, byle jeszcze przywitać się z nią, może wspomni dawną miłość, może serce odmieni...

Wszystko napróżno, bo oto dobiega do bram kościoła i słyszy dźwięki organów na Veni Creator; wchodząc do kościoła, słyszy dźwięczny głos Zosi, płynący po kościele:

— A iż cię nie opuszczę, aż do śmierci!

— Zapóźno! — jęknął Janek i załamałszy ręce, runął z wyczerpania do ławki. W oczach mu ciemne kółka skaczą, serce kołaczę, traci przytomność na chwilę. Po chwili wybiega z kościoła i zamiast do wioski, skierował kroki swoje w stronę ciemnego lasu, gdzie skalny jar przepaści sty dzielił ten las na poły...

Wicher zawył przeraźliwie, zajączal ponury las, przysłuszając głuchy łoskot we wnętrzu skalistego jaru.

Na wiosnę robotnicy, idący kamienie łamać, znaleźli zwłokę człowieka, którego głowa przedstawiała bezkształtną masę, a

z papierów znalezionych przy nim poznało, że to był Janek, ongiś kochanek Zosi.

Powszechnie mniemano, że zbłądziwszy z drogi wśród ciemnej nocy, spadł w przepaść, gdzie znalazł śmierć okrutną.

Potrzeby pokarmowe drzew owocowych.

Drzewa owocowe, dzięki silnie rozwiniętej sieci korzeniowej, nawet na glebach uboższych oraz przy słabym nawożeniu nieźle rosną i owocują. Jednakże cenna ta właściwość drzew nader często błędnie bywa pojmowana. Wielu właścicieli sadów błędnie sądzi, że skoro drzewa rosną oraz kwitną i zawiązują owoce, to widocznie pokarmów w roli mają dosyć, wobec czego zasilanie drzew nawozami w ich mniemaniu jest niepotrzebne.

Drzewa słabo zasilone lub nawet nie zasilane wcale, często rzeczywiście rosną nie najgorzej i pozornie nieźle owocują, ale mimo to wyniki dają mizerne.

Przy braku nawożenia lub przy słabym nawożeniu, przede wszystkim drzewa masowo zrzucają zawiązki owoców, tak, iż do czasu zbiorów najczęściej nie wiele owoców na drzewach pozostaje. A jeżeli owoce przed czasem nie opadają, to zwykle są drobne, słabo rozwinięte oraz niedostatecznie zabarwione. W rezultacie drzewa dają mały plon, owoce zaś przedstawiają małą wartość. Poza tym z braku dostatecznej ilości pokarmów w glebie, drzewa zazwyczaj owocują rzadko. Jabłonie i grusze w najlepszym razie owocują co drugi rok, a w gorszych warunkach — zaledwie co lat kilka.

Inaczej przedstawia się owocowanie sadów obficie nawożonych i starannie pielęgnowanych. W takich warunkach drzewa owocują przeważnie corocznie, dając obfite plony dorodnych owoców.

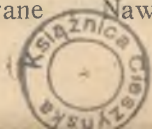
Należyte zasilenie drzew owocowych daje więc doskonałe wyniki. Ogólnie biorąc, sady odpowiednio nawożone, w porównaniu z sadami nienawożonymi, dają zazwyczaj wielokrotnie większy pożytek. Nawożenie sadów w każdym poszczególnym wypadku powinno być dostosowane

do żyzności gleby, do jej siły nawozowej, oraz do gatunku i wieku drzew, a także do użytkowania roli pomiędzy drzewami. Gleby ubogie trzeba oczywiście nawozić w sadach obficie, niż gleby z natury żyzne. Jeżeli sad od dłuższego czasu był słabo nawożony, trzeba stosować o wiele silniejsze nawożenie niż tam, gdzie siła nawozowa roli jest dostateczna.

Drzewa starsze, bardziej rozwinięte, wymagają obfitszego zasilku, aniżeli okopowizny, czy też inne ziemiopłody, to też nawożenie powinno być lepsze, aby zarówno drzewa, jak i zasiewy miały pokarmów pod dostatkiem.

Podobnie jak w uprawie polowej, podstawowym nawozem w sadach jest obornik, mający duży wpływ na wzrost oraz owocowanie drzew. W zależności od warunków, dawka obornika powinna wynosić 250—400 q na 1 hektar, czyli 250—400 kg na 1 ar. Obornik należy stosować późną jesienią, przyorując go nie głębiej niż 12—15 cm. W małych sadach najlepiej obornik przykopać ręcznie widłami amerykańskimi. W wypadkach, gdzie od dłuższego czasu roli w sadzie nie uprawiano, nie chcąc niszczyć drobnych korzeni, znajdujących się tuż pod powierzchnią gleby, najlepiej poruszyć rolę broną sprężynową i następnie pozostawić rozrzucony obornik na zimę bez przykrycia. Wiosną grubsze części nawozu zgrabić i usunąć, a powierzchnię roli wzruszyć broną sprężynową. W żadnym razie nie należy zakopywać obornika obok pni drzew, jak to czyni wielu rolników. Bardziej rozrośnięte drzewa sięgają korzeniami daleko poza obręb koron, chcąc przeto drzewa dobrze zasilić, należy nawozić całą powierzchnię między drzewami.

Nawożenie obornikiem nie wszędzie dla



drzew owocowych bywa wystarczające. Drzewa owocowe potrzebują stosunkowo dużo azotu i potasu, tymczasem zaś wiele gleb tych składników zawiera mało, a ilości dawane w oborniku, najczęściej są niedostateczne. Z tego względu oprócz nawożenia obornikiem, wielce bywa wskazane zasilanie drzew nawozami sztucznymi.

Pragnąc mieć corocznie obfite plony i dorodne owoce, najlepiej w jednym roku nawozić sad obornikiem, a w drugim roku stosować odpowiednie dawki nawozów

sztucznych. To ostatnie nawożenie zaleca się stosować wiosną, dając 200—300 kg azotniaku, tyleż soli potasowej, albo dwa razy więcej kainitu oraz około 200 kg superfosfatu lub 100 kg wysokoprocentowej supertomasyny.

Zamiast nawozów sztucznych, do zasilania drzew można też stosować gnojówkę, dając ją w maju i w czerwcu. Gnojówkę zaleca się rozlewać kilkakrotnie w płytkie dołki poza obrębem koron drzew.

Rozmaitości.

Mierzenie nosa zamiast odcisków palców. Odkrycie typowo amerykańskie. Lekarz z Waszyngtonu, dr. Poole, przyszedł do przekonania, że dotychczasowy sposób identyfikowania ludzi (przeważnie przestępców), zapomocą odcisków palców nie prowadzi do tak doskonałych skutków, jak wynaleziony przezeń system mierzenia łuku nosowego. Nos, twierdzi dr. Poole, ma to do siebie, że się przez całe życie nie zmienia i że niema dwu indywidualów, nawet bliźniaków, któreby wykazać mogły zupełną tożsamość zgięcia nosowego. Tym sposobem zdjęcie nosa, zapomocą promieni Roentgena jest — zdaniem dra Poole — najpoważniejszym środkiem stwierdzenia tożsamości osoby. Tym czasem wykazanie zwojów na skórze palca dawało już wielokrotnie wątpliwe rezultaty, mianowicie przy doświadczeniach zrobionych z dwu braciach, tembardziej bliźniakami.

Taśma dźwiękowa zamiast protokołów. W jednym z angielskich sądów robiono próby zarejestrowania przewodu sądowego na taśmie dźwiękowej. Na sali ustawiono mikrofony przed stolikiem dla świadków, przed przewodniczącym, adwokatem, prokuratorem i na ławie oskarżonych. Zapisywanie odbywa się na metalowej taśmie. Przechowywanie taśm nie wymaga zbyt dużego miejsca, gdyż 1500 m taśmy można skrócić w mały wałek, zaś zapisć na 1500 m można bardzo dużo. Taka taśma może w zupełności zastąpić sekreta-

rza sądu. Mechaniczne protokoły będą się odznaczały całkowitą ścisłością, co nie zawsze bywa z protokołami, spisywanymi przez sekretarzy.

Czyszczenie flaszek odwarem z kawy. Flaskę od oleju wyczyści się łatwo a dosyć prędko w ten sposób: Odwar kawy (grunt z wygotowanej kawy) wysuszony nasypujemy do flaszki i dobrze wytrzepujemy. Odwar kawy usadzi się na ścianach flaszki i wciągnie do siebie wszystkie pozostałości olejowe. Po przetrzepaniu osadem kawy zostawi się flaskę przez jakiś czas stać, ażeby resztki oleju dobrze wsiąkły do osadu kawy, a następnie wypłuczemy flaskę czystą letnią wodą. Flaszka jest zupełnie czysta i można jej znowu używać do innych rzeczy.

Pierwszy karwiński
zakład pogrzebowy

„ASYL“

Augustyn Burda

stolarstwo

i wyrób trumien

w Karwinie

TELEFON L. 103.

Larische-Mönnichs

Rafineria spirytusu i fabryka octu w Karwinie

wyrobia z własnych ziemniaków

pierwszorzędny spirytus

najlepszej jakości

Exquisit—Triplo 96·5—97°

nadających się do wyrobu najlepszych likierów

Dalej spirytus denaturowany do palenia i świecenia.

DYNALKOL

mieszanina spirytusowo-benzynowa do popędu motorów.

Fabryka octu w Karwinie

jest najnowocześniejszą urządzoną.

Wyrabia 10% ocet kwasowy doskonałego smaku.

Jako specjalność prowadzi ocet malinowy i estraganowy dla wielkich hoteli i restauracyj.

Poleca się
najstarszy dom odzieżowy

Abraham Schneider

w Orłowej, tel. 27.

*Wielki skład materij
damskich, bielizny,
różnic oraz innych.*

**D o g o d n e
w a r u n k i
p ł a c e n i a !**

**Korporacjom
specjalne rabaty!**

Jeżeli chcecie budować
zwróćcie się z całym zaufaniem
po cegłę i drzewo do firmy

Inż. Urbańczyk w Frysztarce,
gdzie kupicie dobrze i tanio!

Wytwórnia Wina
oraz hurtownia krajowych,
zagranicznych soków i win
owocowych

Płonka Edward, Karwina

(Dawniej Mackowski) — TEL. 27 b.